

Eric Frank Russell

WIELKA EKSPLOZJA



Biblioteka Fantastyki

84

Eric Frank Russell

**WIELKA
EKSPLOZJA**

Przełożył Wiesław Lipowski

Wydawnictwo ALFA Warszawa 1997

Tytuł oryginału Great Explosion
Copyright © 1979 by The Author's Estate
Opracowanie graficzne serii JACEK TOFIL
Ilustracja na okładce TIM WHITE
Redaktor serii
MAREK S. NOWOWIEJSKI
Redaktor tomu URSZULA PRZASNEK
Redaktor techniczny EWA GUZENDA
For the Polish edition
Copyright © 1997 by Wydawnictwo ALFA—WERO Sp. z o.o.
ISBN 83-7179-071-6

WYDAWNICTWO ALFA-WERO Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Skład, druk i oprawa: Drukarnia WN Alfa-Wero Sp. z o.o.

Zam. 7274/97 Cena zł 15,—

Dla tych wszystkich, którzy wierzą, że gdzieś daleko istnieje lepszy świat.

Prolog

Podczas każdej eksplozji dookoła latają masy pyłów i kamieni. Im większe łupnięcie, tym grubsze kawałki i tym dalej się przenoszą. Są to prawdy fundamentalne, znane całej dziatwie szkolnej, na tyle dojrzałej, że zaczyna prze-wąchać, co w trawie piszczy. Nie znał ich, a może nie bardzo je rozumiał, Johannes Pretorius van der Camp Blieder, choć sądzone mu było wywołać największą eks-plozję w dziejach ludzkości.

Johannes etc. etc. Blieder był szaleńcem tego samego pokroju co Unk (który pierwszy rozpalił ognisko), Wunk (który wynalazł koło), Galileusz, Leonardo da Vinci, bra-cia Wright i wielu innych, którzy zaprzeczyli zdrowemu rozsądkowi i dokonali rzeczy niemożliwych. Był to drobny człowieczek z początkami łysiny, strzępiastą kozią bród-ką, zażawionymi oczami i słabym wzrokiem, potężnie wzmacnianym przez okulary o soczewkach z górskiego kryształu. Chodził krokiem ciężarnej kaczki, szurając swoimi krzywymi nogami, i siąkał mokrym już od uro-dzenia nosem, bo jakoś nigdy nie mógł znaleźć chusteczki.

Akademickiego wykształcenia Pretorius nie miał żadnego. Statek kosmiczny mógłby śmignąć mu z hukiem nad głową w drodze na Księżyc albo Wenus, co już było zjawiskiem powszednim od tysiąca lat, a nasz bohater zerknąłby w górę swoim kiepskim wzrokiem, nie mając zielonego pojęcia, jaka siła każe statkowi tak się śpieszyć. Co gorsza, nie wykazywał śladu najmniejszego zaintere-sowania czy chęci, aby się tego dowiedzieć. Cztery godziny dziennie przez cztery dni w tygodniu siedział za swoim

biurkiem. Resztę czasu przeznaczal tylko na osiagniecie 8 Eric Frank Russell jednego celu: wprawienia w lewitacje monety jednocentowej. Nie pociagaly go bogate, wladcze ani ksztaltne kobiety. Procz krótkich momentow poszukiwania chusteczki cale jego zycie bylo poswiecone idei, ktorej zrealizowanie uwazal za tryumf ostateczny — oto potrafi zmusic centa do lewitacji.

Psycholog moglyby wyjasnic jego obsesje straszliwymi cierpieniami, ktorych Pretorius doswiadczył jeszcze w łonie matki. Psychiatra moglyby uznać je za patologiczne pragnienie zasmarkanego czlowieczka, by wysoko zadzierac nosa i pozowac na wazniaka. Gdyby Blieder byl zdolny do autorefleksji, a nie byl, przyznalby sie moze do nie spełnionej ambicji zostania znakomitym artysta z wodewilu. Wprawdzie nie znal sie na niczym, a juz najmniej obchodziły go cuda techniki, ale z nabożnym uwielbieniem traktowal profesjonalnych magikow i iluzjonistow. Najwieksza chwalą dla niego bylyby wejsc na scene i sprawic, by na widok serii sprytnych sztuczek, ktore wcale nie bylyby oszustwem, lecz najprawdziwsza prawda, publiczności odebraly mowe.

Ale prawda zdaje sie polegac na tym, ze szczodrobliwa Opatrzność zechciala pokierowac jego losem podobnie jak losem innych twórczych imbecyli. Byl zatem Blieder popychany do dzialania rodzajem jasnowidztwa, podświadomym przekonaniem, ze sukces ma juz zapewniony, musi jedynie wytrwac dostatecznie dlugo. Tak wiec przez piecdziesiat lat probowal uniesc w powietrze jednego centa metodami psychicznej, mechanicznej lub najzwyczajszej w swiecie paranoi.

W dniu swoich siedemdziesiątych drugich urodzin odniósł wreszcie sukces. Moneta zastygła centymetr nad płytką czystego kobaltu, pełniącą rolę stopnia wyjściowego aparatury, która nie przypominała niczego sensownego. Pretorius nie wyskoczył z krzykiem na ulicę, by podzielić się z ludźmi radosną nowiną, nie zalał robaka i nie próbował się dobierać do żadnej starej panny. Miast tego zamrugał z niedowierzaniem na pieniądze, siąknął kilka razy nosem i ponowił daremną próbę odnalezienia chusteczki. Potem na kwitującej monecie położył kolejno kilkanaście nowych pieniążków. Nic się nie zmieniło. Kolumna unosiła się pionowo o centymetr nad kobaltową płytką.

Blieder usunął nowe pieniążki, a na pierwszymencie położył ciężki przycisk do papieru. Odległość między monetą a kobaltową płytką nie zmniejszyła się ani o włos. Wobec tego Pretorius usunął przycisk wraz z monetą, aby sprawdzić, jaki efekt wywołają inne metale. Na pierwszy ogień poszedł złoty zegarek. Ten też zawisł o centymetr nad płytką. Pretorius pomajstrował chwilę przy maszynie, wprowadzając tu i ówdzie drobne zmiany z nadzieją na zwiększenie prześwitu. Co prawda w pewnym momencie zegarek zaczął podzwaniać, nie wzniósł się jednak ani też nie opadł. Pretorius skupił się na dźwiękach, regulując i podstrajając aparaturę, aż został w końcu nagrodzony tonem, przypominającym wibrację ostrego szpikulca. I w tej chwili zegarek zniknął, wybijając małą dziurkę w suficie i stosowny otwór w dachu.

W ciągu następnych czternastu miesięcy Johannes Pretorius van der Camp Blieder starał się zapanować nad maszyną, będącą dzieckiem jego umysłu. Nie miał po-

jęcia o metodach naukowych, toteż jego wysiłkami kierowały po społu przypadki z Panem Bogiem. Wreszcie Pretoriusowi udało się zmusić wszystkie przenośne urządzenia domowe, metalowe i inne do lewitacji na wysokości jednego centymetra albo do lotu ku niebu z tak ogromną szybkością, że znikwały w okamgnieniu.

Wreszcie doszedł do wniosku, że musi poszukać pomocy bystrzejszego umysłu. Znamienne, że nie przyszło mu do głowy zwrócić się do kogoś z wydziału fizyki najbliższego uniwersytetu. Napisał natomiast do Mendelsohna Wspaniałego, czołowego iluzjonisty. To było szczęśliwe posunięcie — uczonego byłby go odprawił niczym kolejnego zwariowanego wynalazcę, podczas gdy pan Mendelsohn, profesjonalny hochsztapler, z chęcią zgodził się rzucić okiem na nowe sztuczki. Miał nadzieję udoskonalić je i przywłaszczyć sobie.

Pan Mendelsohn zjawił się o umówionej porze. Nosił czarny płaszcz sceniczny i drwiąco się uśmiechał. Mieszkał u Bliedera przez trzy nerwowe dni, starając się gruntownie rozwikłać tajemnicę triku. Gospodarz na nic mu się nie przydał. Snuł się z kąta w kąt, wiecznie szurając nogami i powtarzając swojemu gościowi, że udało mu się dokonać cudu, ale nie potrafi tego wyjaśnić. Mendelsohn wykorzystał swoją światową sławę i przywołał na pomoc dwóch uczonych. Teraz oni mieli wyświetlić tajemnicę i w miarę możliwości przerobić maszynę Bliedera na coś bardziej praktycznego, co można wykorzystać na estradzie.

Naukowcy przybyli, a wszyscy mieli otwarte umysły, popatrzyli, obejrzeni, przeprowadzili badania, powtórzyli je, dokonali pomiarów, powtórzyli, a później wezwali na pomoc sześciu nowych specjalistów. Po przybyciu kolejnej

grupy ekspertów w domu Bliedera zapanowała atmosfera lekkiej hysterii. Gospodarz był tak przerażony i wyczerpany ogólną wrzawą, że z własnej woli sprzedał aparat za pisemną obietnicę pięciu procent od wszystkich zysków, jakie uda się z niego wyciągnąć, oraz za solenne przyrzeczenie — o co szczególnie nalegał — by nowe prawo przyrody nosiło odtąd jego imię.

Dziesięć miesięcy później Blieder dokonał żywota, nie dając sobie czasu na zainkasowanie prowizji. Po jedenastu latach pierwszy statek wprawiany w ruch siłą, nazwaną uczciwie napędem Bliedera, uniósł się w przestworza. Obrócił on wniwecz kosmiczne odległości i podstawy astronautyki i raz na zawsze położył kres teorii, że nic nie może przekroczyć szybkości światła.

Galaktyka skurczyła się kilka razy prędzej niż Ziemia, kiedy wynaleziono samolot. Układy słoneczne, będące niegdyś beznadziejnie daleko, poza zasięgiem człowieka, okazały się teraz na wyciągnięcie ręki. Ogromne zbiorowisko planet aż się prosiło, by je zdobyć, rozpalając wyobraźnię zatłoczonej ludzkości. Przepelniona Terra dostała po prostu kosmos na półmisku i nie mogła się doczekać, by skorzystać z okazji.

Istna lawina statków z napędem Bliedera wystrzeliła w przestrzeń, albowiem na gwiazdny szlak wyruszyła każda rodzina, sekta, zgraja albo klika, która wyobrażała sobie, że gdzie indziej będzie jej lepiej. Nadpobudliwi, zarozumiali, uczuciowi, męczennicy, ekscentrycy, egoiści, fanatycy i zwykli ciekawscy ulatniali się dziesiątkami, setkami, tysiącami, dziesiątkami tysięcy.

Nie minęło sto lat, kiedy połowa ludzkości pożegnała starą, autokratyczną planetę, rozpraszając się po całym

kosmosie. Osiedlali się, gdzie tylko mogli znaleźć ujście dla swych idei i zakorzenie swe przesady. Były to efekty obsesji właściciela lewitującej jednocentówki i przeszły do podręczników historii pod nazwą Wielkiej Eksplozji.

Oślabiały Terrę przez czterysta lat. Potem nadeszła pora, aby pył i kamienie zebrać...

1

W czasach, gdy statki kosmiczne latały dzięki odparowaniu mazi borowinowej bądź wytryskom cezowojonowym, ich rozmiary ograniczała ilość możliwej do dostarczenia energii. Stosunek ciężaru użytecznego do prędkości wylotowej gazów był czynnikiem, którego żaden konstruktor nie ośmielił się lekceważyć. Blieder skończył z tym raz na zawsze.

Natychmiast statki powiększyły znacznie swe rozmiary i wyporność. Każdy konstruktor i inżynier za punkt honoru stawiał sobie, by nowy statek był większy od wszystkich poprzednich. W rezultacie powstała cała seria kolosów, stopniowo coraz bardziej wychodzących naprzeciw powszechnej opinii o gigantyzmie.

Statek, który przyjmował akurat na pokład ładunek przed swym dziewiczym rejsiem z Terry, był najnowszą konstrukcją, a więc tym samym największą. Jego gigantyczny kadłub ze stopu chromu i tytanu miał trzysta metrów średnicy oraz dwa i pół kilometra długości. Taka wielka masa potrzebuje dużo miejsca. Wielkie brzuszysko

tego statku spoczywało w bruździe głębokości czterech metrów.

Komentatorom dzienników telewizyjnych brakowało słów uznania, toteż bez przerwy powtarzali, że na widok statku „człowiek traci zmysły”. A zawsze chętna do namiętnego tracenia zmysłów publiczność przybywała całymi tysiącami. Chmary ludzi tłoczyły się za barierkami, gapiąc się na statek cielecym wzrokiem grzecznych, posłusznych, zadowolonych podatników. Nikomu nie przyszło na myśl, że ktoś przecież musiał zapłacić 12 Erie Frank Russell za to gigantyczne kuriozum, że mocno i głęboko ugodzono w ich indywidualne i zbiorowe portfele.

Ludzie chwilowo byli niezdolni do poważnego zastanowienia się nad kosztami. Wciągano sztandar, grały orkiestry, była to uroczystość patriotyczna — kto w takiej chwili myśli o pieniądzach, z definicji jest zdrajcą albo głupim dupkiem.

Tak więc statek spoczywał w bezruchu, totem plemienny trzepotał na wietrze, orkiestry podnosiły plemienną wrzawę, a wyselekcjonowana elita plemiennych śmiałków zapełniała pokład. Wchodzących na trapy było ponad dwa tysiące. Dzielili się na trzy odrębne grupy. Wysocy i chudzi, ze zmarszczkami wokół oczu, to była załoga. Przystrzyżeni na jeża, o końskich szczękach — wojsko. Nijacy, łysiejący i krótkowzroczni, to biurokraci.

Pierwsi nosili się z profesjonalną obojętnością faceków, dla których każdy lot to tylko kolejna podróż w życiu będącym jednym pasmem tułaczki. Przygarbione pod ciężkim rynsztunkiem wojsko miało w oczach heroiczną rezygnację ludzi twardych, składających swój los w ręce krzykliwych idiotów, których przedstawiciel stał u pod-

nóża trapu i obrzucał przekleństwami co piątego żołnierza. Biurokraci zaś robili miny męczenników cierpiących katusze, na które nie wolno skazywać nawet psa. Oderwano ich od biur, co było Ostatnią Kroplą.

W godzinę po zaokrętowaniu ostatniego człowieka, kufra, pudła i plecaka przybyła Bardzo Ważna Osobistość. Był nią Ambasador Imperialny, rumiany dostojnik o małych oczkach i wydatnym brzuchu. Wchodząc na trybunę wyniośle obrzucił wzrokiem publiczność, łaskawym skinieniem głowy obdarzył kamery telewizyjne, odchrząknął i podał do wiadomości:

— Dzięki temu wspaniałemu statkowi, pierwszemu z całej serii nowych pojazdów kosmicznych, rozciągniemy niebawem władzę nad naszymi dalekimi kuzynami w ich i naszym własnym interesie. Jak długo istnieją szanse i póki nie jest za późno, będziemy tworzyć imperium kosmiczne o wielkiej sile i ogromnych rozmiarach. — Powszechny aplauz. — Nie wiemy, z jak potężnymi nieprzyjaciółmi może w przyszłości zetknąć się nasza rasa i zanim do tego dojdzie, Ziemia musi skierować na drogę poprawy rodzimych antagonistów, byśmy mogli w obliczu wroga wystąpić wspólnym frontem. Galaktyka kryje wiele niezbadanych tajemnic. Po ich wyświetleniu niektóre mogą się okazać bardzo niebezpieczne. Razem stawimy czoło naszym wrogom i pokonamy ich, tak jak Terra czyniła zawsze w przeszłości. — Powszechny aplauz. — W jednośi siła! Najwyższy czas, by połączyć odległe skrawki naszego świata we wspólnotę z macierzą.

Perorował w tym duchu pół godziny, przelewając z pustego w próżne i żonglując frazesami, z przerwami na gromkie wiwaty. Jak zwykle przesadził do tego stopnia, że

omal nie przekonał samego siebie o słuszności Sprawy. Ociekał słodyczą i coraz bardziej pogrążał się w nastroju do gadulstwa. Widzowie zaczęli się już niecierpliwić, a powszechny aplauz coraz bardziej przypominał zduszony jęk. Przyszli jedynie po to, by obejrzeć start wielkiego pojazdu kosmicznego, a ten rozgadany tłuścioch wstrzymuje jego lot, a ten gadatliwy tłuścioch opóźnia widowisko...

Wreszcie łaskawie skończył inwokacją do Pana Boga, pomachał publiczności dłonią, ukłonił się kamerom, ruszył w górę po ostatnim opuszczonym trapie i zniknął w statku. Zamknięto właz. Po chwili rozległo się wycie syren. Nie zdradzając jakichkolwiek przejawów wydatkowania energii, statek bezszelestnie oderwał się od ziemi. Najpierw wolno, potem coraz szybciej i szybciej, a w końcu zniknął w chmurach.

Na pokładzie dziesiąty mechanik Harrison zwrócił się do szóstego mechanika Fullera:

— Słyszałeś przemówienie. A jeśli to kuzynostwo wśród gwiazd nie chce miłości macierzystej planety?

— Dlaczego miałyby nie chcieć? — zaprotestował Fuller.

— Czy ja wiem?

— To po co szukać urojonych kłopotów? Nie masz dość własnych?

— Tak. Mam jeden — przyznał Harrison. Był to drobny, małpi mężczyzna z odstającymi uszami. — Chodzi o rower, powinienem się nim zająć.

— Co takiego? — Fuller wytrzeszczył oczy na Harrisona.

Ten powtórzył spokojnie:

— Rower. Wziąłem go ze sobą. Ja zawsze zabieram mój rower.

Pierwsza planeta zajaśniała na ekranach niczym różowa kula, ale był to skutek zniekształceń fluorescencyjnych; widziana gołym okiem miała kolor szarozielony. Czwarta z rodziny dziewięciu planet okrążających gwiazdę typu Słońce. Układ znajdował się w swego rodzaju kosmicznej dziurze, pozbawionej bliższych sąsiadów.

W kabinie nawigacyjnej kapitan Grayder powiedział do Ambasadora:

— Według dawnych rejestrów w całym układzie tylko ten glob nadawał się do zamieszkania. Zanim ustała łączność, zrzucono tu około miliona kolonistów.

— Przeżyją nieliczy szok na wieść, że Terra znowu ich dopadła — westchnął Ambador. — Jaka fala szajbusów wybrała to miejsce?

— To jedyna planeta wybrana nie przez osadników — poinformował go Grayder.

— Nie przez nich? Jak to rozumieć?

— Zesłano ich tu, nie pytając o zdanie. To byli przestępcy. Jak któryś za mocno załazł za skórę, Terra się go pozbywała, deportując tutaj, by mógł dzielić życie z podobnymi do siebie. Niech się żrą między sobą, mówiono.

— Teraz pamiętam. Czytałem coś na ten temat w czasie studiów na uniwersytecie — oznajmił Ambador. — Pamiętam, że w podręcznikach do historii podawano to jako ciekawy eksperyment, który powinien raz na zawsze rozstrzygnąć kwestię, czy skłonności przestępcze są dziedziczne, czy środowiskowe.

— Dlatego kazałem lądować najpierw tutaj. Pewni teoretycy chcą poznać odpowiedź. — Grayder zrobił zaba-

sowaną minę. — Kto wie, czy Terra nie przygotowała kolejnej armii pasożytów, którzy czekają na załadunek.

— Jeśli tak, to nie brakowało czasu na ich zgromadzenie. Cztery stulecia.

— Po generalnym sprzątaniu zauważył Grayder - trzeba było widać kilku pokoleń, by skłonności i przestępcze ujawniły się na nowo.

— Jeżeli są dziedziczne przyznał Ambasador. - Ale jeśli środowiskowe, to generalne sprzątanie powinno odnieść bardzo mały skutek lub wręcz żaden.

— Nie jestem ekspertem w tej dziedzinie, sądzę jednak, że nie są ani dziedziczne, ani środowiskowe — zasugerował Grayder.

— Nie? Więc jakie, pańskim zdaniem?

— Przychodząc na świat jesteśmy zdani na los szczęścia. Rodzimy się zdrowi na ciele albo słabowici. W drugim wypadku możemy być cherlakami lub kalekami. Rodzimy się zdrowi na umyśle albo psychicznie chorzy, i w drugim wypadku jesteśmy idiotami lub zbrodniarzami. Sądzę, że większość przestępców można wyleczyć raz na zawsze poprzez operację mózgu, musimy tylko znać właściwy sposób. Ale go nie znamy.

— Może macie rację — ustąpił Ambasador.

— Pytanie polega na tym, czy defekty psychiczne są dziedziczne — ciągnął Grayder. — Czy dzieci ponoszą karę za grzechy ojców nawet do trzeciego i czwartego pokolenia?

— Ci tutaj będą już zapewne dwudziestym pokoleniem.

— Ja tylko cytowałem zdanie innych — stwierdził Grayder. Patrzył na ekran, którego połowę wypełniała błyszcząca, różowa kula. — Niedługo się przekonamy.

Ambasador milczał, czuł pewien niepokój.

— Z naszego punktu widzenia — ciągnął Grayder — Wielka Eksplozja uwolniła świat od stada czarnych owiec. Ale dopiero teraz rozumiemy, że ze statku, który pogrąża się w kosmosie, sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Świat ojczysty oddala się, stopniowo znika w gwiazdnym pyłe. Na każdej nowej planecie Terrańczyk pozostaje Terrańczykiem, choćby od dawna nie miał z nami styczności i był szalonym psychopata. Ma taką samą budowę ciała jak my i tylko to się liczy. Nie jest istotą innego gatunku, zupełnie obcą formą życia.

— A jednak musi się znacznie od nas różnić — zauważył Ambasador. — Inaczej nie tkwiłby na drugim końcu kosmosu. Nieprzystosowany pozostaje nieprzystosowanym bez względu na kształt. — Klepnął się po wydatnym brzuchu, co było nieświadomą parodią jego słów. — Nie czuję uprzedzenia do nikogo, kto opuścił ojczystą planetę, lecz nie jestem też nastawiony do niego przychylnie. Bierzmy ich takimi, jakimi są i osądźmy ich jedynie według ich wartości, jeśli w ogóle będą ją mieć.

— Tak, Wasza Dostojność — odparł Grayder, zniechęcony do dyskusji. Zaraz pojawi się mnóstwo rozmaitych hipotez na temat tego, co jest, a co nie jest wartością.

Statek śmigał dookoła planety, z iluminatorów wpatrywały się w nią dwa tysiące par oczu. Dokładne oględziny powierzchni sprawiły niespodziankę. Wszyscy oczekiwali dobrze widocznych śladów ludzkiej ekspansji i roz-

woju, planeta natomiast wykazywała oznaki bardzo rzadkiego zaludnienia.

Nie było miast, miasteczek ani wsi. Tu i ówdzie migały im skupiska gruzów, przypominające ruiny starych klasztorów. Prawie zawsze stały one na szczycie góry albo w zakolu rzeki, która tworzyła w tym miejscu szeroką pętlę.

Nie było też widać dróg, a lecieli na zbyt dużej wysokości, aby dostrzec ścieżki. Kilka razy przemknęli nad rozległymi obszarami lasów i stepów, pozbawionych jakichkolwiek śladów działalności człowieka. Minęli rozległą szarą pustynię, usianą kolistymi formacjami urwistych kraterów. W jednym dał się zauważyć rodzaj obozowiska złożonego z dwudziestu namiotów.

Ambasador parsknął ze wstrętem.

— Nie zasługują na uwagę. Sam ich wygląd świadczy o tym, że nie da się z nich wycisnąć nawet sześciu kompanii dla Korpusu Kosmicznego, nie mówiąc już o doświadczonej armii. Musiały ich zdziesiątkować choroby albo znaleźli sposób, żeby przenieść się gdzie indziej.

— Chyba się domyślam, dlaczego jest ich mniej, niż należało oczekiwać — zaryzykował po krótkim zastanowieniu Grayder.

— Dlaczego?

— Historia głosi, że zesłaliśmy tu milion przestępców. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek czytał, ile wśród nich było kobiet.

— Ja też nie.

— Moim zdaniem najprawdopodobniej kobiet było najwyżej dziesięć procent — dorzucił Grayder. — Męż-

czyżni na pewno stanowili większość, przynajmniej dziewięć do jednego.

— Niezbyt długo — domyślał się Ambasador, uruchamiając wyobraźnię. — W takiej sytuacji zgraja łobuzów wymordowała by się masowo.

— Może ma pan rację. — Grayder wzruszył obojętnie ramionami. — Niech się żrą między sobą. — Spoglądał przez iluminator na dziobie. — Nie możemy tak krążyć aż do zawrotu głowy. Nie możemy też lądować byle gdzie. Nasz statek potrzebuje długiej, równej powierzchni i solidnego podłoża.

— Proszę samemu wybierać — zaproponował Ambasador — ale niech pan znajdzie lądowisko nie opodal terenów zamieszkałych, jeśli to możliwe. Musimy nawiązać jakiś kontakt.

Grayder pokiwał głową.

— Postaram się. — Nie odrywając wzroku od iluminatora chwycił słuchawkę interkomu i oznajmił po chwili: — Tu jest równie dobrze jak gdzie indziej — po czym zaczął wyszczekiwać rozkazy do mikrofonu.

Gigantyczny statek zatoczył majestatycznie długą, płytką pętlę na prawą burtę, wytracając stopniowo prędkość. Dwa tysiące mężczyzn pochyliło się, oparło o ścianę lub zatoczyło w przeciwną stronę. W kwaterach żołnierskich z koi wypadł rynsztunek, pikując przy akompaniementie ogólnych złożeń na lewą burtę. Starszy sierżant Bidworthy ryknął o ciszę, dorzucając szereg gróźb. Nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Skończywszy lot po spirali, statek znieruchomiał w powietrzu, następnie zaczął opadać. Wielki ciężar łagodnie zmniejszył wysokość, sterowany metodą, którą dawno

nieżyjący Blieder uznał za nadprzyrodzoną. I faktycznie, nawet ludzie całkowicie przyzwyczajeni do lotów takimi statkami nigdy nie potrafili oprzeć się zachwytowi na widok leniwego podchodzenia do lądowania, nie mogli też pozbyć się obaw, że w końcu coś się zepsuje i nastąpi koszmarna katastrofa. Jak dotąd ani jeden statek z napędem Bliedera nie runął na ziemię — zawsze jednak musi kiedyś być ten pierwszy raz.

Tak więc załoga lądowała z mocno przereklamowaną zimną krwią, a żołnierze i biurokraci spadali z żołądkami podchodzącymi do gardła. Piętnaście metrów nad ziemią Grayder pchnął statek nieco do przodu na pozycję, na której mu zależało. Zaskoczyło to wszystkich prócz załogi. Biurokraci jeździli na swych urzędowych tyłkach po metalowej podłodze, żołnierze zderzali się plecami, tworząc obłądne kłębowisko ciał, ramion i ekwipunku, obrzucali się gradem przekleństw. Bidworthy trzymał się kurczowo ścianki działowej, recytując nazwiska tych, których o świcie czeka pluton egzekucyjny. Najwyraźniej oddawał się marzeniom o przelaniu krwi.

Statek dotknął ziemi, usiadł i zarył się w twardym gruncie na głębokość czterech metrów. Do wnętrza przeniknęły odgłosy chrzęstu i skrzypienia pękających i kruszących się pod ciężarem gładów. Wyłączono zasilanie. Biurokraci skoczyli z nadwierzoną godnością na nogi, otrzepali ubrania i przetarli okulary. Żołnierze oderwali się od siebie i zaczęli na nowo układać ekwipunek, słuchając wrzasków Bidworthy'ego.

W maszynowni zabrzączał dzwonek, sygnał do otwarcia włazu w śluzie powietrznej. Główny mechanik McKechnie włączył zasilanie mechanizmu zamkowego,

natomiast dziesiąty mechanik Harrison poszedł sprawdzić, czy rygle zadziałały prawidłowo. W śluzie przyłączył się do niego sierżant Gleed, stary wiarus z pooraną twarzą, który nie mógł się już doczekać postawienia nogi na twardym gruncie.

Zewnętrzny rygiel zamka wsunął się do środka i kłapa od wjazdu poszła w górę. Ujrzeni sielankowy krajobraz, który Gleed chłonał niczym spragniony wielbłąd. Od statku aż po szeroką, ostro zakręcającą w tym miejscu rzekę, ciągnęła się porośła bujną roślinnością łąka. Na wąskim paśmie lądu za wodą stał kompleks zabudowań, być może osada, ciasno stłoczonych, małych domków. W centrum wznosił się obiekt niezwykle przypominający grotmaszt dużego żaglowca, zwieńczony bocianim gniazdem. Na środku rzeki widać było kajak. Siedzący w nim człowiek wiosłował na drugi brzeg.

Głośnik w śluzie wydał pisk. Gleed podniósł słuchawkę i usłyszał głos Graydera.

— Kto mówi?

— Sierżant Gleed, kapitanie.

— Doskonale. Jak najszybciej zejdźcie nad wodę, sierżancie. Ktoś płynie środkiem rzeki na tamtą stronę. Może uda wam się namówić go do powrotu. Chcielibyśmy zamienić z tym człowiekiem parę słów.

— Mam wziąć broń, kapitanie?

Na drugim końcu linii zaległa chwila ciszy, po czym Grayder odparł:

— Nie sądzę, aby była wam potrzebna. Po co stwarzać złe wrażenie? Na wszelki wypadek będą was osłaniać miotacze na statku.

— Tak jest, kapitanie. — Gleed odwiesił słuchawkę i zrobił skrzywioną minę. — Zrzucaj trap — powiedział do Harrisona. — Wychodzę.

— A kto wam na to pozwolił? — zapytał lodowaty głos.

Gleed odwrócił się. Przed sobą ujrzał pułkownika Sheltona,

który chwilę wcześniej wszedł do śluzy. Gleed wyprężył się i stuknął obcasami, przyciskając dłonie do szwów spodni.

— Kapitan Grayder rozkazał mi pogonić za tym gościem w kajaku, pułkowniku — wyjaśnił Gleed.

— Czyżby? — zapytał Shelton, jakby miał wszelkie powody wątpić w te słowa.

— Tak jest — zapewnił go Gleed.

— Ja tu odpowiadam za żołnierzy — stwierdził lodowato Shelton. — Wojsko jest pod moją komendą. Kapitan Grayder dowodzi tylko załogą statku.

— Tak jest.

— Podlegacie moim rozkazom i niczym więcej. Podoficerowie nie powinni zapominać tego faktu ani zmuszać mnie, bym im o nim przypominał.

— Myślałem...

— Tego się od was nie wymaga. To zadanie możecie spokojnie zostawić waszym przełożonym. — Shelton sięgnął po słuchawkę i dodał groźnie: — Zaraz się okaże, czy kapitan Grayder potwierdzi wasze słowa. — Wyraźnie miał nadzieję, że Grayder im zaprzeczy. Mógłby dać głowę, że Gleed chciał się po prostu urwać, by jak najprędzej skorzystać z prawa do kobiet, wina i śpiewu. Za takie podejście wobec niego Gleed był sam sobie winien, miał

bowiem zwyczaj schodzić na ląd jako pierwszy i jako ostatni z niego wracać. Ale ku zdziwieniu Sheltona Grayder potwierdził wersję sierżanta. Pułkownik odwiesił słuchawkę. — No, dobrze — oznajmił. — Jazda nad rzekę... Już i tak zmitrężyliście masę czasu.

Gleed czuł się urażony, ale nie okazał tego. Postawił nogę na pierwszym stopniu.

— Gdzie wasza broń? — rzucił za nim Shelton.

— Tutaj leży — wtrącił Harrison. Podniósł z podłogi pistolet i pokazał pułkownikowi.

— Co z nim robicie?

— Trzymam w dłoni.

— Nie jestem ślepy — zakpił Shelton. — A może brakuje wam piątej klepki, co?

— Proponuję zasięgnąć opinii kapitana Graydera w tej sprawie — odparł Harrison. — On jest moim przełożonym.

W tym momencie Gleed wdrapał się z powrotem do śluzy, wyrwał Harrisonowi pistolet, wepchnął go do futerału i z maksymalną prędkością ruszył na dół. Na jego twarzy malowała się ulga, że nie musi brać udziału w dalszej dyskusji.

Shelton popatrzył w ślad za nim, po czym ponurym wzrokiem zmierzył Harrisona.

— Uważacie, że nie podlegając dyscyplinie wojskowej możecie robić, co wam się podoba?

Harrison nic nie odpowiedział.

Shelton prychnął głośno, odwrócił się i poszedł w głąb statku. Ledwo zniknął, kiedy do śluzy wpadł jak bomba starszy sierżant Bidworthy. Wypiął piersi i chciwie wciągnął długi haust świeżego powietrza. Kiedy przymru-

żonymi oczami zlustrował obcy krajobraz, twarz mu posiniała.

— Kto pozwolił sierżantowi Gleedowi zejść z pokładu?

— Pułkownik Shelton.

— Gleed wam to powiedział?

— Nie... Byłem tutaj, kiedy otrzymał rozkaz.

— Już ja to sprawdzę — zagroził Bidworthy. — Niech Pan Bóg ma was w swej opiece, jeśli łziecie, aby pomóc kłamcy.

Z tymi słowy wybiegł na poszukiwania pułkownika Sheltona. Dziesiąty mechanik Harrison pożegnał go wzruszeniem ramion, wystawił głowę ze śluzy i poruszał odstawającymi uszami.

Gleed dotarł nad wodę, akurat gdy obiekt jego pogoni ciągnął kajak już na drugim brzegu. Rzeka była szeroka, toczyła swe wody leniwym i głębokim nurtem. Gdyby krzyknąć, ile sił w płucach, głos mógłby ponieść na przeciwną stronę. Gleed złożył dłonie przy ustach i ryknął na cały głos:

— Ahoj!

Tubylec przysłonił sobie oczy i spojrzał na Gleeda. Z tej odległości sierżant nie mógł dostrzec rysów jego twarzy; człowiek wydawał się niski, krępy i chyba miał zabłocone ubranie.

— Ahoj! — powtórzył Gleed, wymachując dla zachęty ręką.

Po chwili wahania kajakarz zawołał w odpowiedzi:

— Czego chcesz? — Jego terrańskie słowa były archaiczne, ale zrozumiałe. Doszły do uszu Gleeda jako: „Czego waść życzy” albo „Co waszmość chcecie?”. Nie

zdziwiło to sierżanta, który doskonale wiedział, że czterysta lat to szmat czasu.

— Przyjdź tutaj — krzyknął Gleed. Postarał się, by jego rozkazujący zazwyczaj głos zabrzmiał łagodnie i ujmująco.

— Po co?

— Zamienić parę słów.

— Nie jestem gnojtem — odpowiedział tajemniczo tamten. Jednocześnie wyjął coś z kajaka, zarzucił sobie na plecy i ruszył przed siebie. — Poczekaj! — zawołał na odchodne.

Gleed zmrużył oczy, aby lepiej widzieć. Doszedł do wniosku, że nieznajomy dźwiga na pewno jakąś broń. Jasny gwint, tak, to łuk! Gleed widział kilka łuków w terrańskich muzeach, tu jednak była to autentyczna broń użytkowa. Jak wszyscy współcześni żołnierze lekceważył prymitywny oręż, toteż nie zaprzętał sobie głowy kwestią, czy znajduje się teraz w polu rażenia. Poza tym to nie miało znaczenia. Właściciel broni mozolnie się oddalał i nic nie świadczyło, by zamierzał do niego strzelać.

— Przydziesz, czy nie? — zawołał Gleed. Wiedział, że jego działania są obserwowane przez dziesiątki osób ze statku.

— Poczekaj! — powtórzył tamten.

Mamrocząc pod nosem Gleed poszukał grubej, wygodnej kępki trawy, usiadł i zaczął czekać. Daleka sylwetka z łukiem na plecach wlokła się przed siebie. Wreszcie dotarła do zabudowań i zniknęła. Gleed znudzonym wzrokiem obserwował teren. Nagle spostrzegł, że w bocianim gnieździe na maszcie ktoś siedzi. Widocznie był to posterunek obserwacyjny. Gleed zaczął się zastanawiać,

dlatego uznali za konieczne trzymać stałą wartość w świecie zamieszkanym jedynie przez własną rasę.

Po pewnym czasie w polu widzenia ukazał się drugi osobnik. Zszedł ostrożnie nad brzeg i stanął obok kajaka.

— Czego chcesz? — krzyknął do Gleeda.

— Pogadać, nic więcej.

— Tylko pogadać?

— Tylko.

— O czym?

— Jesteśmy z Terry, co można poznać po naszym statku — wołał Gleed, starając się opanować nerwy. — Kapitan chce z kimś zamienić parę słów.

— To niech sam tu przyjdzie.

— Życzy sobie, by ktoś z was odwiedził statek — nalegał Gleed. Zaczynał już tracić cierpliwość.

— Może sobie życzyć. Uważa nas za bandę gnojtów?

— Posłuchaj — wykrzyknął Gleed. — My nawet nie wiemy, co to jest gnojt.

Tamten przemyślał informację, niechętnie ale podjął decyzję i oznajmił:

— Wyślemy kogoś do was pod warunkiem, że wy wyślecie kogoś do nas.

— Dlaczego?

— Zabijecie naszego człowieka, to my zabijemy waszego.

— Czyście powariowali? — zawołał z niedowierzaniem Gleed.

— Aha! — odparował tamten z taką miną, jakby potwierdzały się jego najgorsze podejrzenia. — Przed chwilą udawałeś, że nie wiesz, co to są gnojty. Od początku kłamiesz.

— Po co mielibyśmy zabijać waszego człowieka? — zawył Gleed. Nie chciał wdawać się w dyskusję na temat niejasnych analogii między wariatami a gnojtami.

— A dlaczego nie?

— Bo nic na tym nie zyskamy.

— To ty tak twierdzisz.

Tym razem przyszła kolej na Gleeda, by krzyknąć: — Zaczekaj! — Następnie wrócił do statku, wspiał się po trapie i wszedł do śluzy.

— Czym cię poczęstowali? — spytał z wielką ciekawością Harrison. — Darmowym piwem?

— Zamknij się — warknął Gleed. Złapał za słuchawkę, ale pospiesznie ją odwiesił. Zaczął się zastanawiać. — Z kim powinien rozmawiać? Z Sheltonem czy z Grayderem?

— Zamelduj pierwszemu, który się zgłosi.

— Tak, racja — powiedział Gleed, wdzięczny za takie proste rozwiązanie. Ponownie sięgnął po słuchawkę. Ledwo dotknął jej palcami, gdy rozległ się tak natarczywy dzwonek interkomu, że sierżant aż podskoczył. Przycisnął słuchawkę do ucha i wychrypiął:

— Sierżant Gleed.

— Wiem — usłyszał głos Graydera. — Widziałem, jak wracaliście. Co się stało? Przyślą tu kogoś, czy nie?

— Dadzą nam kogoś od siebie w zamian za kogoś od nas.

— W zamian? Czy im się wydaje, że przelecieliśmy taki kawał drogi, żeby handlować ludźmi?

— Odniosłem wrażenie, że się nas boją, kapitanie. Zagrozili, że jeśli zabijemy ich człowieka, to oni zabiją naszego.

— Niech to diabli! — krzyknął Grayder. — Nikomu w ogóle nie przyszło do głowy zabijać gościa.

— Zdaje się, że w ich łepetynach jest to dobrze zakodowane.

— Na tej planecie musi dziać się coś bardzo dziwnego — zamyślił się Grayder. — Zaczekajcie chwileczkę.

Gleed czekał. Słyszał przytłumioną rozmowę kilku ludzi w sterówce. Omawiano sytuację. Rozpoznał głosy Graydera, Sheltona i Ambasadora, ale nie mógł zrozumieć słów, które wypowiadali. Kiedy mamrotanie się przeciągało, ogarnął go lekki niepokój. Powoli zrodziło się w nim podejrzenie, że już niedługo będzie musiał sforsować rzekę. Jego wrodzone szczęście sprawdziło się znowu.

W słuchawce rozległ się głos Graydera.

— Nie znajdujemy niczego złego w tej propozycji — podjął. — Rzecz jasna, każda nietypowa transakcja może skończyć się zarówno dobrze, jak i źle.

— Tak jest — odparł Gleed. Nie spodobało mu się słowo „źle”.

— To będziecie wy — dokończył Grayder.

— Słucham?

— To będziecie wy. Udacie się do nich, a ich człowiek przyjdzie tutaj.

— Chciałbym usłyszeć ten rozkaz od pułkownika Sheltona, kapitanie...

— Oczywiście.

Shelton przejął słuchawkę i potwierdził instrukcje.

— Miejcie oczy i uszy szeroko otwarte, sierżancie. Kiedy będziecie wśród nich, postarajcie się zdobyć jak najwięcej użytecznych informacji.

— Dobrze, pułkowniku.

— Od mężczyzn — dorzucił złośliwie Shelton.
— Co proszę?
— Nie marnujcie czasu na kobiety.
— Nie miałem najmniejszego zamiaru tego robić, pułkowniku — zapewnił go urażonym głosem Gleed.
— Wierzę — stwierdził Shelton. — Tysiące innych by nie uwierzyło.

Gleed odwiesił słuchawkę, patrząc na nią wściekłym wzrokiem.

— Urzędasy! — mruknął.
— Nie klnij w służbie — ostrzegł go Harrison. — Zostajesz, czy wychodzisz?
— Wychodzę. Jako zakładnik.
— Jako kto?
— Zakładnik. Doświadczony sierżant za jakiegoś zgniłego, zapchlonego cywila.
— Cóż, na pokładzie kręci się mnóstwo cywilów — westchnął Harrison, mając na myśli biurokratów. — Szczególnie jednego nie da się przeoczyć. Powiedz Sheltonowi, żeby wysłał któregoś z nich zamiast ciebie.

— Nie gadaj głupstw. Rozkaz to rozkaz i koniec.
Zszedł po trapie. Harrison wychylił się z włazu i patrzył w ślad za Gleedem.

Zanim dotarł do rzeki, na drugim brzegu zebrała się już grupka osobników. Wszyscy nosili na ramionach łuki i obserwowali go wyczekującym wzrokiem.

Złożył dłonie przy ustach i krzyknął:

— Idę do was.

Dwaj osobnicy odpięli broń, podali ją towarzyszom, zepchnęli kajak na wodę, wsiedli i zaczęli wiosłować. Gleed przyglądał się im dokładnie, nie odczuwając dzikiej

radości na widok, jaki miał przed sobą. Twarze tubylców były chude i wynędzniałe, mieli paciorkowate oczy, nastroszone włosy i nosili ubrania tak wymiętoszone, jakby psu z gardła wyciągnięte. Na ich korzyść mógł przemawiać fakt, że się golili, przynajmniej raz na miesiąc. Dwójka typowych włóczęgów, pomyślał Gleed.

Podpłynęli do niego, zatrzymując kajak blisko brzegu.

— Wsiadaj.

— Nie — zaprotestował, znając swoje prawa. — Niech najpierw wysiądzie wasz człowiek.

Tamci spojrzeli po sobie wściekłym wzrokiem. Jeden wyszedł z kajaka, stanął na piasku i patrzył leniwie, jak Gleed zajmuje jego miejsce. Wtedy wskoczył za nim, a jego towarzysz odepchnął kajak od brzegu. Obaj poczęli wiosłować jak szaleni. Gleed był jednak zbyt doświadczonym sierżantem Korpusu Kosmicznego, by dać się tak łatwo wykiwać. Kiedy odpłynęli prawie trzy metry od brzegu, rzucił się całym ciężarem ciała na prawą burzę i przewrócił kajak. W tym miejscu rzeka miała niecałe półtora metra głębokości. Gleed złapał najbliższego włóczęgę za szyję i pociągnął go za sobą, brodząc po dnie w stronę brzegu. Tymczasem drugi odpływał co siłą w przeciwnym kierunku, a kajak dryfował dnem do góry z biegiem rzeki. Na drugim brzegu widzowie podnieśli krzyk, machając pięściami i wykonując prymitywny taniec wojenny. Trzech z pleców zdjęło łuki i napinało cięciwy.

Nagle jeniec zrobił zwinny skręt ciałem i wyslizgnął się z podartego kubraka, który został w dłoniach Gleeda. Próbował dać nurka, ale sierżant chwycił go za włosy, wy-

prostował gwałtownym szarpnięciem i kopnął w siedzenie.

Widząc to, tańczący na drugim brzegu nabrali większego wigoru. Wrzaski stały się jeszcze głośniejsze. Gleed nie zwracał na to uwagi, założył jeńcowi mocny chwyt i pomaszerował z nim w kierunku statku. Nagle kilka strzał świsnęło im koło uszu i jeńiec próbował rzucić się na ziemię, ale Gleed przytrzymał go w pozycji wyprostowanej.

— Strzelają do nas — zaprotestował tubylec.

— To każ im przestać — warknął Gleed.

— Przestańcie! — wrzasnął jeńiec, gdy kolejna strzała mignęła mu obok głowy. — Przestańcie, zawszone wypierdki.

— Sam nie umiałbym wyrazić tego lepiej — pogratulował mu Gleed.

Z kolei różnica zdań powstała na drugim brzegu — trzech strzelcy wyborowi chełpili się umiejętnością spenetrowania bebeczków Gleeda bez narażania jego więźnia, reszta zaś prosiła o pozwolenie, aby w to wątpić. Spór stał się tak gwałtowny, że jeden z dyskutantów wyrwał drugiemu łuk z ręki i zdzielił go nim w głowę. Kolega ofiary wyraził przekonująco swoje oburzenie i również oberwał po łbie.

— Żadnej dyscypliny w waszej tłuszczy — zauważył Gleed, zerkając od czasu do czasu przez ramię. — Istna banda gnojtów, co?

Jeńiec kopnął go w kostkę. Gleed zrewanżował się jeszcze mocniejszym kopniakiem w tyłek i ponaglił jeńca do szybkiego marszu. Wreszcie dotarli do trapu.

— Pan pierwszy, Mortimerze — zaprosił go Gleed.

Mortimer nie chciał iść, więc Gleed złapał go za włosy i kilka razy rąbnął twarzą o szósty stopień. Nie przyczyniło się to może do zachowania urody Mortimera, ale pomogło mu w podjęciu decyzji, albowiem ruszył w górę. Gleed zaczął się za nim wspinać.

Kiedy sierżant i jego więzień weszli do śluzy, pojawił się konwój w osobach czterech żołnierzy. Przejęli Mortimera i pognali go w kierunku kabiny nawigacyjnej. Gleed stał i kwaśnym wzrokiem spoglądał na swój mundur, przemoczony od pasa do pięt.

Harrison rzekł z miną niewiniątka:

— Gdybym chciał popływać w rzece, to bym się rozebrał.

— Twój dowcip mnie dobija — zazgrzytał Gleed. Chodził od ściany do ściany, tupiąc i wydając butami chlu-począce dźwięki. — Na tym się nie skończy. Na pewno oskarżą mnie o znęcanie się nad spokojnym obywatelem.

— Wcale bym się nie zdziwił — odparł Harrison. — Przecież dzisiaj jest twój dzień.

2

Grayder, Shelton, major Hame i Ambasador przesłuchiwali gościa z mieszanymi uczuciami. Nie podobały im się jego szczurze oczy, plugawa powierzchowność i w ogóle wszystko.

— Jak się nazywasz? — zaczął Grayder.

— Alaman Tung.

Zdziwiło ich trochę, że nie palnął gniewnej tyrady na temat złego traktowania. Nie wzbraniał się też przed udzielaniem odpowiedzi. Po prostu stał przed nimi z nachmurzoną miną, jakby pogodził się z myślą, że w tych okolicznościach wszelkie protesty będą daremne. Słuchacze odnosili wrażenie, że uważał się za jeńca wojennego, który nie wie, co go czeka. Widocznie był przekonany, że Terrańczycy są wrogami i miał prawo tak sądzić, biorąc pod uwagę siniak na nodze od uderzenia buta Gleeda.

— Skąd pochodzisz? — ciągnął Grayder.

— Z warowni Tung.

— To ta osada za rzeką?

— Tak.

— Nazywasz ją warownią. Czy rozumiesz przez to oficjalne centrum wojskowe, fortecę?

— Fortecę? — Alaman Tung wykrzywił twarz.

— Te zabudowania służą do obrony?

— Oczywiście.

— Przed kim?

— Przed wszystkimi.

— Wszystkimi — powtórzył patrząc na pozostałych Gray-der. — Co się tutaj dzieje? — Nie czekając na odpowiedź zwrócił się do Tunga: — Każdego, kto podejdzie do waszej fortecy, uważacie za wroga?

— Chyba że zagra sygnał handlowy.

— Aha, więc nie przed wszystkimi, jak mówiłeś.

— Przed wszystkimi, poza sezonem handlowym.

— Jak długo on trwa?

— Kilka dni.

— Często?

— Raz do roku. Najwyżej cztery do pięciu dni rocznie. Na wiosnę.

— I czym wtedy handlujecie?

— Kobietami — odparł Tung z porażającą obojętnością.

Grayder oniemiał z przerażenia.

— Wymieniacie się kobietami jak zwykłym towarem?

— Tylko tymi, które odmawiają zamążpójścia.

Grayder wyszczerzył zęby.

— A co się z nimi dzieje, kiedy już zostaną wymienione?

— To zależy.

— Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem! — Grayder walnął pięścią w stół. — Masz powiedzieć dokładnie, co się z nimi później dzieje.

— Nic takiego. — Tung był wyraźnie znudzony rozmową.

— Jeśli w drugiej warowni spotkają mężczyznę, który im się podoba, rozpoczynają żywot małżeński u jego boku. W przeciwnym razie każą się wymienić jeszcze raz. Ciągnie się to tak długo, aż będą zadowolone. Czasami mam tych bab powyżej uszu.

— Same się proszą, żeby je przenosić z miejsca na miejsce? — zdziwił się Grayder.

— Nie widzę w tym nic straszego,- kapitanie — rzucił leniwie Ambasador, zanim Alaman Tung zdążył odpowiedzieć. — Wydając córkę za mąż w gruncie rzeczy odstępuje się ją mężczyźnie, którego sobie wybrała. Główna różnica polega chyba na tym, że tutejsi faceci nie

oddadzą panny na wydaniu, jeśli nie otrzymają w zamian drugiej.

— Lecz...

— A zresztą, to naturalne prawo, że młodzi pobierają się poza własnymi rodzinami. Częste małżeństwa między krewnymi nie są wskazane. — Obrzucił wzrokiem przesłuchiwanego. — Nazywasz to miejsce warownią Tung. Czy to znaczy, że mieszkają w niej wyłącznie Tungowie?

— Tak.

— Jedna, ogromna rodzina? Sami krewni, choćby łączyło ich tylko dalekie pokrewieństwo?

— Niewolnicy Tungów nie spokrewnieni — odparł z jawną pogardą.

— Niewolnicy? — wtrącił Grayder, znowu przybierając gniewny wyraz twarzy. — Ilu niewolników mają Tungowie?

— Dziesięciu.

— Jak ich zdobyliście?

— Na wojnie.

— Wzięliście ich do niewoli?

— Oczywiście. — Jeniec uśmiechnął się z przekąsem, prawdopodobnie uznał to pytanie za wyjątkowo głupie. — Leżeli pokotem ranni i gotowi do wzięcia. To nie były ciężkie obrażenia, więc szybko wrócili do zdrowia i mogli przystąpić do pracy. Tylko idiota pracuje, jeśli ktoś go może zastąpić. My, Tungowie, nie należymy do idiotów.

— A co byś powiedział, gdybyśmy ciebie uczynili niewolnikiem? — spytał z wielką ciekawością Grayder.

Tym razem pytanie zaskoczyło Alamana Tunga. Minęła kłopotliwa chwila, nim ponownie otworzył usta.

— Macie taki zamiar?

— Nie.

— Przecież jestem silnym i zdrowym mężczyzną. Byłbym dla was cenniejszy żywy niż martwy. Stracie na mojej śmierci.

— My ludzie nie zabijamy, jeśli nie musimy — poinformował go Grayder. — Nie robimy z nich również niewolników.

— To co z nimi robicie?

— Nic.

— Więc po co tu jestem?

— Potrzebujemy od ciebie informacji. Później będziesz mógł odejść.

— Jesteście półgłówkami — westchnął Alaman. — Albo kłamiecie — dodał ze zmieszaniem i nieufnością.

— Idioci i kłamcy nie budują takich statków kosmicznych

— odparł Grayder. — Skoro masz do czynienia z czymś, czego nie rozumiesz, nie staraj się tego pojąć. Wystarczy, jak będziesz odpowiadał na nasze pytania. — Umilkł na chwilę, czekając, by jego rada zapadła głęboko w umysł Tunga. — Ilu ludzi mieszka w waszej warowni?

— Około siedmiuset.

— Ile jest w sumie tych warowni?

— Dużo.

— Konkretnie! Liczba!

— Skąd mam znać liczbę? W jaki sposób ktokolwiek może znać liczbę warowni? — zdenerwował się Alaman Tung. — Już samo zabłąkanie się poza granice własnego terytorium łowieckiego bywa ryzykowne, więc nie sądzi-

cie chyba, że ktoś wybierze się na badania ogólnoplanetarne? Nikt nie zna liczby, nawet Ronowie.

— Ronowie? Co to za jedni?

— Śmiecie, upierdliwe śmiecie. Tylko oni się przenoszą i nie mają nawet własnej warowni. Szwendają się po pustyni jak dzikie zwierzęta i od czasu do czasu grasują na cudzym terytorium łowieckim. Nigdy nie walczą, jeśli nie muszą. Na pierwsze oznaki ataku znikają w pustyni.

— Zauważyliśmy podobną bandę. Mieszkali w namiotach

— włączył się major Hame.

Grayder pokiwał głową i wrócił do przesłuchania.

— A więc żywność zdobywacie na polowaniu?

— Przede wszystkim. Czasami kobiety coś przyniosą, jeśli znajdą. Niewolnicy także ją wytwarzają, ale mało.

— Czy nie lepiej, bezpieczniej i łatwiej byłoby produkować żywność systematycznie i na szeroką skalę?

— Co? Żeby jacyś nocni rabusie wszystko ukradli, gdy już znajdzie się w spiżarni? — roześmiał się Alaman Tung. — Nie jesteśmy tacy naiwni, by wyrabiać żywność dla obcych. A w dodatku to by oznaczało pracę.

— Nie lubisz pracy?

— A kto ją lubi?

— Widzisz w niej coś złego? — naciskał Grayder.

— Dużo. Praca jest głupia. Nikomu niepotrzebna, no, chyba że gnojtom. Po co pracować, jeśli można się bez tego obyć?

Grayder zignorował tę konkluzję i spytał:

— Ojciec ci to powiedział?

— Nie kto inny. A jemu jego ojciec. Oni wszyscy mieli tęgie łby, rozumiecie? Dlatego wypędziliście naszych

przodków z Terry. Mieli tęgie łby. Wyście pracowali, a oni nie. Nie spodobało się wam, że mądrzy ludzie próbują wystrychnąć was na dudka. Dzięki temu wasza niższość uwidaczniała się jak na dłoni. Więc musieliście się ich pozbyć.

— To wszystko wiesz od ojca?

— Każdy o tym wie — odparł Tung, jakby stwierdzał niezbity fakt.

— No cóż — westchnął Grayder — skoro wasi przodkowie byli od naszych o tyle lepsi, to dlaczego sami nas nie wykopali?

— Było was za dużo. Na Terze liczba półgłówków zawsze przewyższała liczbę ludzi mądrych.

— Uważasz mnie za półgłówka? — zdziwił się Ambasador.

— Raczej tak — odparł Tung. — Sprawiasz takie wrażenie. Domyślam się, że gdybyś znalazł cenny przedmiot, to byś go oddał właścicielowi.

— Oczywiście.

— No, i sam widzisz.

— Dlaczego miałbym nie oddać? — spytał lekko zirytowany Ambasador.

— Kto znalazł, to jego. Nagroda dla znalazcy za głowę na karku, a kara dla poszkodowanego, że mu jej brakuje. Na pewno nie macie pojęcia o elementarnej sprawiedliwości.

— Gdybym ściągnął ci ubranie z grzbietu i zjadł obiad, do którego chciałeś zasiąść, uznałbyś to za sprawiedliwe?

— No jasne... Skoro byłeś na tyle sprytny, aby tego dokonać, a ja na tyle głupi, aby na to pozwolić.

— Nie chciałbyś się odegrać?

— Jasne, że tak.
— W jaki sposób?
— Odebrałbym przy pierwszej okazji i wziął jeszcze więcej na dodatek.

— A gdybyś nie miał okazji?
— Gwizdnąłbym jeszcze większemu półgłówkowi.
— Inaczej mówiąc — naciskał Ambasador — każdy sobie, a ostatniego bierze Diabeł?
— Mądrzy dbają o siebie, a durnie mogą się wypchać. Nie wiem, co to jest Diabeł. Pierwszy raz słyszę to słowo.

Ambasador zrezygnował z dalszych pytań. Grayder ponownie przejął pałeczkę.

— Słyszałeś kiedyś o Bogu? — zapytał.
— Co to takiego? — znów zdziwił się z głupią miną Alaman.

Grayder opadł w fotel. Bębnił palcami o biurko i nie reagował. Siedział ze wzrokiem utkwionym w Tunga, błądząc myślami gdzieś daleko.

— Szczerze mówiąc, Wasza Dostojność — zwrócił się po chwili do Ambasadora — myślę, że nie warto tego ciągnąć. Tracimy tylko czas.

— Ja też tak sędzę — zgodził się Ambasador. — Niestety, Terra żąda raportu i liczy na to, że go dostanie. Musimy się postarać, by wyglądał na wyczerpujący, nawet jeśli taki nie będzie. Chciałbym zadać naszemu gościowi jeszcze kilka pytań. Niech wie, że doceniamy jego chęć współpracy.

— O ile mówi prawdę — bąknął Grayder, nie spuszcżając oczu z Tunga.

Tungowi nie drgnął ani jeden mięsień. Bez wątpienia usłyszał ostatnią uwagę i dobrze ją zrozumiał, ale nie zatrząsł się z oburzenia jak przeciętny Terrańczyk w podobnej sytuacji. Sprawiał wrażenie, że jest mu kompletnie obojętne, czy uważa się go za wzór wszelkich cnót, czy za niepoprawnego kłamcę.

Tymczasem umysł kapitana fiknął parę koziołków, gdy jego właściciel próbował przenicować umysł Tunga. Tubylec najwyraźniej nie widział różnicy między tym, co słuszne, a tym co niesłuszne, a jeśli nawet widział, to jego poglądy nie odpowiadały normom terrańskim. Nie dostrzegał różnicy między uczciwością a nieuczciwością, sprawiedliwością a niesprawiedliwością. Wobec tego nie potrafił też na pewno dostrzec głębokiej przepaści między prawdą a kłamstwem. Jeśli wszystkie jego odpowiedzi odpowiadały rzeczywistości, co było możliwe, to wyłącznie dlatego, że uznał za korzystne mówić prawdę, a za niekorzystne — kłamać. Czynnikiem decydującym była celowość.

W strumień myśli Graydera włączył się Ambasador.

— Jakie środki łączności wiążą poszczególne warownie? — zapytał.

— Środki łączności? — Tung zrobił zakłopotaną minę.

— Chyba się komunikujecie ze sobą, co?

— Tylko w sezonie handlowym.

— Nigdy więcej?

— Nie.

— No to jak zbieracie informacje z dużych odległości? — zdziwił się Ambasador.

— Nie zbieramy. Po co nam informacje? Nie można ich zjeść, wypić ani przespać się z nimi. Jaki z nich pożytek?

— Zapewne chcecie wiedzieć, co się dzieje na waszej planecie?

— To nas nic nie obchodzi. Pilnujemy własnych spraw i nie wtykamy nosa w cudze — odparł Alaman Tung. — To, co się dzieje gdzie indziej, nie jest naszą sprawą. Ciekawscy to kowale własnego nieszczęścia.

Ambasador spróbował z innej beczki.

— Z iloma warowniami macie kontakt w czasie sezonu handlowego?

— Ze wszystkimi, których tereny łowieckie przylegają do naszego.

— Dużo ich jest?

— Sześć — odparł Tung.

— I to samo odnosi się do nich? Oni też utrzymują kontakt tylko z bezpośrednimi sąsiadami?

— Tak.

— Czy wszystkie pozostałe warownie są tej samej wielkości co wasza? Każda mieści około siedmiuset ludzi?

— Howardów jest więcej niż nas, Sommersów mniej, ale nie znamy ich faktycznej liczby. Możliwe, że gdzieś znajdują się warownie dwadzieścia razy liczniejsze od naszej. Co za różnica, skoro zostawiają nas w spokoju i nie wyściubiają nosa poza granice własnego terytorium?

— A zatem — podsumował Ambasador — nie istnieje żadna specjalna zbiorowość, która utrzymywałaby kontakty ze wszystkimi warowniami?

— Przecież to niemożliwe! Musieliby deptać po cudzych uprawach. Nie pożyliby długo... Chyba że wzorem Ronów wynieśliby się na pustynię.

— Puście go — powiedział Ambasador do Graydera. — Nie wydusimy już z tego mądrali nic więcej.

Grayder nacisnął klawisz w ścianie. Pojawiły się strażę; odprowadziły Alamana Tunga do służby powietrznej i odesłały po trapie na dół. Tung zszedł po szczeblach niezgrabnie, po czym ruszył nad rzekę, jakby utykał na jedną nogę. W odpowiedzi na jego wołania podpłynął kajak i zawiózł go na drugi brzeg. Tung wygramolił się z łódki, sięgnął do prawej nogawki spodni, wyciągnął nóż wojskowy wielkości sporego miecza i zamachał nim wyzywająco w kierunku statku. Bidworthy, który obserwował to wszystko przez iluminator, dokonał natychmiastowej inspekcji straży, przyłapał żołnierza bez noża i określił głupotę winowajcy głosem odbijającym się echem w połowie statku.

— W tych warunkach nie mogę nikomu pozwolić wyjść rozprostować kości — stwierdził w sterowni Grayder. — Skoro każdy, kto znajdzie się w pobliżu warowni, automatycznie uważany jest za nieprzyjaciela, to znaczy, że ten świat należy uznać za wrogi. Wyjdziemy na stuprocentowych idiotów, jeśli poniesiemy straty w ludziach i to od strzałów z łuku.

— Wiem — zgodził się Ambasador. — Strzelali już do sierżanta Gleeda. Jeśli wyszedł z tego cały i zdrowy, to bynajmniej nie dlatego, że nic udało im się go zabić. — Masował sobie brzuch dużymi dłońmi, rozważając sytuację. — Dajcie mi do zrozumienia, że wolelibyście od razu skoczyć na następną planetę, tak?

— W końcu będziemy musieli polecieć, Wasza Dostojność.

— Tak, to prawda. Ale chyba mądrze byłoby zrobić jeszcze jedną próbę gdzieś dalej, schwytać nowego osobnika i także go przesłuchać. Musimy się upewnić, czy jest to stan rzeczy typowy dla całej planety. Istnieje niewielka szansa, że gdzie indziej jest zupełnie inaczej. Ale jeśli po drugiej stronie globu sytuacja będzie wyglądała podobnie, należy przyjąć, że warunki są wszędzie takie same.

— Jak pan sobie życzy, Wasza Dostojność — odparł Grayder bez szczególnego entuzjazmu.

— Uważam za wskazane, by nasz oficjalny raport wywarł na Terze wrażenie, że uczyniliśmy wszystko, co możliwe. Po co ktoś na wysokim szczeblu ma pomyśleć, że kichnęliśmy na tę planetę i poleciliśmy dalej.

— Nie, to byłoby fatalne — przyznał Grayder. Podniósł słuchawkę interkomu i powiedział do głównego mechanika McKechnie'ego. — Zamknijcie włącznik i przygotujcie się do startu.

Dziesięć minut później zawyła syrena, następnie wielki statek uniósł się w majestatycznej ciszy, obrócił dziób nad warownię Tunga i pomknął na zachód. Shelton wezwał do kabiny starszego sierżanta Bidworthy'ego.

— Sierżancie, niech pański pluton czeka w pogotowiu przy środkowej śluzie. Natychmiast po wylądowaniu wyskoczycie na ląd i schwytaście pierwszego człowieka, jaki wam wpadnie w ręce. Obejdzie się bez zbędnej przemocy. Robotę należy wykonać z profesjonalną sprawnością — na zimno i spokojnie. Osobę tę należy bezzwłocznie dostarczyć tutaj. Czy wszystko jasne?

— Tak jest — wypalił Bidworthy z wojskową precyzją.

— Rozkazu tego nie wolno, powtarzam — nie wolno — wykorzystać do przeszmuglowania na pokład kobiety — ciągnął Shelton. Prześladowała go myśl, że jego podwładni marzą tylko o tym jednym. — Zatrzymany musi być dorosłym mężczyzną, najlepiej na tyle rozgarniętym, by umiał liczyć na palcach. Poinformujecie o tym jasno i wyraźnie swój pluton, sierżancie.

— Oczywiście, pułkowniku — obiecał Bidworthy, już układając w myślach stosowne zwroty.

— Aha, jeszcze coś, sierżancie.

— Tak?

— Patrzyłem przez iluminator, kiedy ten Tung wysiadał z kajaka. Nie korzystałem z lornetki, ale mój wzrok jest całkiem dobry. Facet wspiął się na skarpę i pomachał czymś, co wyglądało mi na nóż terenowy, kategoria trzecia, do użytku służbowego w Korpusie Kosmicznym. — Przewiercał słuchającego najostrożniejszym ze swoich spojrzeń. — Czy to możliwe, sierżancie?

Starszy sierżant Bidworthy przyznał, że możliwe. Z przykrością dodał, że do tego prawdopodobne. A potem z wielkim bólem określił to w istocie jako fakt praktycznie niezbity, ponieważ zostało stwierdzone, że obecność pewnego noża w rękach Tunga zbiega się z brakiem pewnego noża na statku.

— Kto go zgubił? — parsknął z gniewem Shelton.

— Szeregowiec Moran, pułkowniku.

— Wybitnie zasługuje na swój stopień. Jak doszło do utraty noża?

— On nie ma pojęcia, pułkowniku. Twierdzi, że cały czas miał nóż przy sobie i nagle ten zniknął.

— Ale posiada chyba miarodajne wiadomości, czy ma jeszcze na nogach swoje buty?

— Liczę na to, pułkowniku — odparł Bidworthy, skupiając kurczowo wzrok na niewidocznym punkcie centymetr przed nosem Sheltona.

— Co poczyniliście w tej sprawie?

Oskarżony o dopuszczenie do utraty sprzętu wojskowego na służbie Bidworthy wziął długi i głęboki oddech, po czym ryknął jak odtwarzacz Kevina:

— 1727365 szeregowy Moran, imiona Patrick Michael, jeden nóż terenowy, kategoria trzecia, do użytku służbowego w Korpusie Kosmicznym, cena magazynowa siedem dolarów czterdzieści. Uznany za winnego i skazany na dziesięć dni pracy w kuchni. Koszt rzeczowego noża zostanie potrącony z żołdu.

— Dziękuję, sierżancie — powiedział z zadowoleniem Shelton.

Bidworthy strzelił w daszek, omal nie urywając sobie ucha, po czym oderwał wzrok od niewidocznego punktu, wykonał pokazowy w tył zwrot, tupnął stalowym obcasem o podłogę i od-maszerował.

— Dyscyplina — powiedział Shelton do Graydera i Ambasadora. — To jest to!

— Może — westchnął Grayder.

— Nie ma żadnego może, człowieku. Dyscyplina i skuteczność to jedno i to samo.

Z obojętną miną Grayder wziął słuchawkę interkomu.

— Kto pełnił służbę w śluzie jako ostatni? — zapytał głównego mechanika.

— Harrison, kapitanie.

— Nie, nie chcę z nim rozmawiać. Spytajcie go tylko, czy zgubił coś niedawno.

McKechnie odszedł, aby po chwili wrócić.

— Nie, nic.

Grayder bez słowa odwiesił słuchawkę, podszedł do iluminatora i patrzył na przesuwaną się daleko w dół ziemię. Za jego plecami Ambasador wydał mięsiste wargi, a Shelton strzelał oczami.

Następne lądowanie odbyło się w sposób improwizowany. Wachta dziobowa zlokalizowała grupę myśliwych, powracających do swojej warowni, zadzwoniła do sterówki i Grayder osadził statek między myśliwymi a ich siedzibą. W tej samej chwili wyskoczył na ziemię pluton wojska, spiętego do galopu wrzaskami Bidworthy'ego.

Żołnierzy było dwa razy więcej. Na ich widok myśliwi nie zatrzymali się, aby pertraktować, po prostu wzięli nogi za pas. Szło im to znakomicie, ponieważ mieli za sobą mnóstwo treningów w uciekaniu. W efekcie przypominało to bezładną gonitwę na przełaj, w której niezdiscyplinowani oddalali się coraz bardziej od zdyscyplinowanych. Obie grupy szybko zniknęły za horyzontem. W sterówce Shelton zaciskał rytmicznie pięści, a w służbie powietrznej Bidworthy krążył od ściany do ściany, miotając przekleństwa.

Godzinę później z przeciwnej strony wyrósł tuman kurzu, który niebawem okazał się myśliwymi. Prowadzili już o kilka kilometrów i nie przemęczali się specjalnie. Zatrzymali się przy upolowanej zwierzynie, którą wcześniej porzucili, podnieśli ją i ruszyli dalej szerokim łukiem,

który miał ich doprowadzić w słusznej odległości od statku do samej warowni.

Teraz zawył interkom służy powietrznej i rozległ się głos Sheltona.

— Szybko, sierżancie! Wyślijcie za nimi świeży pluton, ci mają już dosyć. Złapmy ich wreszcie.

— Żaden pluton nie jest gotowy, pułkowniku — poinformował go zlany potem Bidworthy.

— No to przygotujcie. Chcę zobaczyć skuteczną akcję.

Nowy pluton Bidworthy zorganizował w prosty sposób.

Zgarnął pierwszych z brzegu ludzi, jakich spotkał, bez względu na stan ich ubrania lub rozebrania. Pełzli, sunęli lub na wprost spadali po trapie, szaleńczo próbując jednocześnie dopiąć kurtki, ścisnąć pasy i zaczepić rzemienie przy hełmach.

Ale przynajmniej wykazali dobrą wolę. Kiedy w oddali ukazał się spóźniony tuman kurzu pierwszego plutonu, ruszyli w pogoń ze świadomością, że myśliwi są zmęczeni i przeciążeni. Tempo nadawał długi, krzywonogi kapral, pędzący przed siebie w podskokach jak podniecony kangur. W rekordowym czasie pokonał pięćdziesiąt metrów, potem opadły mu spodnie, owijając się wokół kostek. Kapral runął twarzą w błoto, ale żołnierzom udało się go przeskoczyć. Wszystkim prócz jednego, który wyrównał stare porachunki, depcząc mu po brzuchu.

Warownia, do której zmierzali ścigani, stała na wysokim urwisku, a prowadziła do niej jedyna wąska ścieżka, wijąca się po pobliskim zboczach. Nie było tu rzeki tworzącej fosę, ale naturalne położenie okazało się doskonałe.

Sama warownia przypominała ruiny starego zamczyska i była prawie dwa razy większa od schronienia Tungów.

Obarczona zwierzyną grupa myśliwych dotarła do ścieżki i ruszyła pod górę najszybciej, jak tylko mogła. W tym czasie drugi pluton znajdował się już w połowie drogi do wzgórza, natomiast pierwszy ciężko sapiąc dotarł do statku. Grayder zdecydował, że dość już tego.

— Uważam, że powinniśmy dać sygnał do powrotu.

— Pozwoli pan sobie przypomnieć — powiedział Shelton — że to ja dowodzę wojskiem.

— A ja statkiem — odparł Grayder. — Mam wystartować bez nich?

— Nie, oczywiście, że nie, ale...

— Dajcie sygnał do powrotu, kapitanie — wtrącił Ambasador, odbierając Sheltonowi szansę na wszczęcie kłótni. — Ci faceci nie będą w nastroju do pogawędki, za nadto wyczerpała ich ucieczka po polach. Nie ruszą się z miejsca i nie dadzą za wygraną. Jak zechcemy któregoś złapać, to przyjdzie wyłuskać go siłą.

— Jesteśmy na to przygotowani — zaznaczył Shelton z nutą irytacji w głosie.

— Tego akurat jestem pewien, drogi pułkowniku — uspokoił go Ambasador. — Ale na miłość boską, proszę nie zapominać, że po powrocie na Terrę będziemy musieli uzasadnić, ku zadowoleniu władz, każdy przypadek użycia siły. Nie sądzę, aby ten dało się wytłumaczyć. Spróbujemy w innym miejscu.

Shelton umilkł z gniewną miną. Syrena statku zahuczała trzy razy w krótkich odstępach czasu. Biegący zatrzymali się jak wryci i obejrzeliby za siebie, jakby nie ufali własnym uszom. Syrena zawyła ponownie, dowodząc, że

się nie mylili. Z nie tajonym wstrętem żołnierze wchodzili powoli na trap. Niektórzy garbili się i trzymali ręce w kieszeniach, by pokazać, co myślą o ważniakach z dowództwa, którzy nie mogą się zdecydować.

Tymczasem myśliwi zmniejszyli tempo i urządzili sobie wesołą zabawę, wykrzykując bardzo oryginalne uwagi o gnojtach i ponkach. Jeden, obdarzony szczególnie przenikliwym głosem, dorzucił kilka spostrzeżeń o snelkach. Inny udawał, że biegnie jak opętany, wskutek czego opadły mu spodnie. Widowisko plus bezładny odwrót sprawiły, że Bidworthy miał ochotę gryźć ścianę i wyrywać sobie włosy z głowy.

Zdyszani i spoceni żołnierze wdrapali się na pokład. Bidworthy stał w służbie powietrznej i każdego indywidualnie opieprzał. Nieszczęsny kapral dostał potrójną dawkę pieprzu. Zniknął pospiesznie z pola widzenia, odprowadzany dzikim spojrzeniem starszego sierżanta. Rygiel przekreślił się z hukiem i trzaskiem i śluza powietrzna została zamknięta.

— Zapomniałeś policzyć noże — zauważył Harrisom
— Nie chcę słuchać twoich impertynencji! Ty... ty...
— Może parszywy snelku? — zaproponował Harrison.

— Ty parszywy snelku! — wrzasnął starszy sierżant. Zmęczenie nie pozwalało mu wymyślić czegoś bardziej odpowiedniego. Wyszedł na korytarz i skierował się w stronę kwater żołnierskich. Jego marsz przypominał bieg słonia podkutego kłapami od włazów.

Zawyła syrena ostrzegawcza i zaraz potem statek wzbił się w przestworza. Pokonał dziesięć tysięcy kilometrów, a następnie usiadł w pobliżu niewielkiego jeziora.

Warownia zajmowała całą powierzchnię skalistej wyspy pośrodku toni.

Jeden żołnierz zszedł po trapie na ląd z trąbką w ręku, stanął nad wodą, skierował instrument na wyspę i odegrał pierwszy takt „Dziewczyny moich marzeń”. Nikt nie miał powodu sądzić, że akurat ten kawałek przypomina melodię, którą Alaman Tung określił jako sygnał handlowy, ale zdaniem Graydera w tych okolicznościach wszystkie utwory były równie dobre, każdy zaś lepszy od wyścigu długodystansowego lub ciosu w głowę.

Niemal przez godzinę żołnierz grał cierpliwie co pięć minut wabik dźwiękowy. Wreszcie od wyspy odbiła łódź, wprawiana w ruch trzema parami wiosł. Płynęła spokojnie aż do dwudziestego metra od brzegu, gdzie się zatrzymała.

Rzecznik na dziobie zawołał ze starodawnym akcentem:

— Wyście z Terry?

— Owszem.

— Takoż myślałem. Wyście pierwszy statek, jaki widzimy w życiu. Niektórzy uważali je za mit. Dużoście czasu potrzebowali, by się tu znowu zjawić, no nie?

— Nie do mnie z pretensjami — zaprotestował trębacz, odmawiając przyjęcia na siebie odpowiedzialności. Wskazał kciukiem przez ramię. — Kapitan zaprasza kogoś z was na słówko.

— Doprawdy? Macie coś dla nas?

— Nie wiem.

— To idź i się dowiedz.

Trębacz posłusznie wrócił na statek i zadzwonił ze służby powietrznej.

— Panie kapitanie, chcą wiedzieć, czy coś dla nich mamy.

— Spytaj, czego by chcieli — powiedział Grayder.

Żołnierz wykonał polecenie, po czym wrócił i złożył raport.

— Pytają, co ma pan do zaoferowania.

— Co za bezczelność! A może zagrozić cwaniaczkom, że zatopimy tę ich parszywą łódkę, jeśli nie przyłyną mi-
giem do brzegu? — zawołał Shelton, który tego słuchał.

— Mając wolny dostęp do wszystkich skarbów statku — rozzuchwalił się Ambasador — na pewno zażądadają broni palnej, jeśli jeszcze znają się na terrańskiej broni. Nie możemy im na to pozwolić. Mimo upływu stuleci ta planeta figuruje na liście kolonii karnych. Pozostanie tam tak długo, póki terrańskie władze nie uznają za stosowne jej skreślić.

— W każdym razie za lekką broń ja odpowiadam — przypomniał Shelton. — Nie podaruję im nawet jednego zardzewiałego ogłuszacza, choćby padli na kolana i żebrali.

— Nikt nie myśli o rozdawaniu broni — wyduślił Grayder. W skupieniu patrzył przez iluminator na łódkę. Przez lornetkę połową widział wszystko jak na dłoni. Pasażerowie wyglądali jeszcze żałośniej niż Tungowie. — Odzież powinna wystarczyć. Zdaje się, że nie mają pojęcia, jak szyć porządne ubrania.

— Wychodzi na to, że nie mają pojęcia o niczym, co wymaga ciężkiej pracy — skomentował Ambasador. — Mamy jakieś drelichy na zbyciu?

— Mnóstwo. Zawsze bierzemy więcej, niż potrzebujemy. — Grayder zadzwonił do magazynu i zamówił prób-

kę, którą miał zabrać żołnierz, następnie przełączył się do śluzy powietrznej. — Cassidy dostarczy wam drelich. Zabierzcie go i pokażecie tym żebrakom. Trzy sztuki dla tego, kto wejdzie na pokład porozmawiać.

— Tak jest.

Obserwowali przez iluminator w sterówce, jak żołnierz schodzi nad wodę i pokazuje zapłatę. Nastąpiła czterostronna wymiana zdań, po której wrócił na statek. Zabrzęczał interkom.

— Panie kapitanie, wezmą drelichy oraz trzy pary butów takich jak moje. Chcą też trąbkę.

— Coś podobnego! — oburzył się Shelton. — Frymarczymy z brudnymi potomkami łobuzów niczym Arabowie targujący się o dywan. Za kogo oni nas mają?

— Powiedźcie im — rozkazał Grayder — trzy drelichy i nic więcej. Lepszej okazji nie znajdą, to nasze ostatnie słowo.

Żołnierz podreptał jeszcze raz. Ultimatum wywołało gorącą dyskusję na łodzi. W końcu wiosła się zanurzyły, dopłynęli do brzegu i wysiadł jeden człowiek. Kiedy żołnierz prowadził go w kierunku statku, pozostali wycofali się na bezpieczną ich zdaniem odległość i zaczęli czekać.

Niebawem przybysz pojawił się w kabinie. Miał wychudłe ciało, bystre oczy czujnego koczkodana i przypominał wyjątkowo pechowego sutenera.

Indagację rozpoczął Grayder, głównie dlatego, że inni chętnie oddali mu pierwszeństwo.

— Siadaj. Jak się nazywasz?

— Tor Hamerverd.

— Co to za miejscina na wyspie?

— Bastion Hamerverd.

— Bastion? Nie nazywacie jej warownią?

— To cudzoziemskie słowo.

— Tak? Kogo nazywacie cudzoziemcami? Gdzie oni żyją?

— Gdzieś daleko — wyjaśnił Tor Hamerverd, pokazując na wschód.

— Byłeś tam kiedy?

— Za nic w świecie! Po co chodzić i szukać kłopotów, kiedy się ma ich aż nadto u siebie?

— To skąd wiesz, że używają tego obcego słowa? — spytał Grayder, szukając jakichkolwiek przejawów łączności planetarnej.

— Mieszka u nas kilka kobiet z wymiany. One go często używają.

— Czy te kobiety zgodziły się na przejście do was z własnej woli?

Najwyraźniej Hamerverd uznał to pytanie za nonsensowne.

— A co miały robić, jeśli nie podobał im się żaden mężczyzna we własnym bastionie? Wasze kobiety nie wybrzydzą i nie przebierają w chłopach?

— Niech pan to zostawi, kapitanie — wtrącił Ambador. — Tę kwestię omawialiśmy. Wszędzie jest tak samo pod tym względem, już wystarczy.

— A co sądzisz o ubraniu, które wam dajemy? — Grayder zmienił temat, przyglądając się odzieży gościa.

— Nieźle. Przydałoby się więcej. I jakieś buty — odparł Tor, spoglądając z nadzieją na słuchających. — Wyślano was tu z zaopatrzeniem?

— Nie, w zupełnie innym celu — stwierdził Grayder. — Po upływie tak długiego czasu przyjęto za rzecz oczywistą, że zaopatrzyliście się solidnie na własną rękę. Nie widzimy tu niczego, co miałoby wam w tym przeszkodzić. Potrzebne są jedynie dobra organizacja i praca.

— Nikt nas nie będzie organizował — oświadczył stanowczo Hamerverd. — Nikt też nie zmusi nas do pracy. Nie będziemy tego tolerować. Do diabła z takimi dobrodziejstwami!

Słuchacze wymienili spojrzenia, po czym Grayder zadał kolejne pytanie.

— Poważnie, nigdy nie słyszałeś, że praca ma zalety?

— Jasne, że słyszałem. — Hamerverd zachichotał, jakby coś sobie przypomniał. — Kazał się nazywać Samelem Chmurnym. A naprawdę był Samelem Durnym. Stale gardłował o uczciwości, prawdomówności i podobnych bzdurach. Ponadto żył zgodnie z tym, co mówił. Harował jak niewolnik, a połowa bastionu jeździła na nim jak na łysej kobyle. Od urodzenia miał nie po kolei w głowie.

— Co z nim się stało?

— Umarł z przepracowania, nadal prawiąc te swoje głupoty. Żyłby o wiele dłużej i łatwiej, gdyby nie był wariatem.

— Nikt go nie słuchał?

— Tylko dla zabawy.

- Na Terze wszyscy pracują.
- A jakże.
- Nie wierzysz?
- On też? — spytał Hamerverd, robiąc gest w kierunku wydatnego brzucha Jego Dostojności.
- Oczywiście — zapewnił go Ambasador.
- Nawet widać to po tobie — ironicznie stwierdził Hamerverd.
- Moja praca ma wielkie znaczenie, na wypadek gdybyś nie wiedział.
- Nie kpij sobie, grubasie.
- Skoro wątpisz w naszą pracę, to jak twoim zdaniem wyprodukowaliśmy lepsze ubrania, które mamy na sobie, oraz statek, którym latamy?
- Macie niewolników, całe armie niewolników. My zaś żyjemy tu dlatego, że nasi praojcowie nie chcieli wam służyć; Wybrali wolność, rozumiesz?
- To dla mnie coś nowego — zauważył z nutą sarkazmu Ambasador.
- Co?
- Że mieli wybór odnośnie osiedlenia się tutaj. Według mojej najlepszej wiedzy i wiary, deportowano ich siłą.
- Jeśli taka jest twoja najlepsza wiedza, grubasie, to najgorsza musi być straszliwa.
- Przestań mnie nazywać grubasem — nalegał Ambasador.
- Będę cię nazywał, jak mi się podoba — odparł Hamerverd. — Teraz nie jesteś na Terze.
- Ani ty, dzięki Bogu — westchnął Ambasador.

Tym razem Shelton przybrał najsurowszy ze swoich wyrazów twarzy.

— Jeśli nie uznasz za stosowne zachowywać się uprzejmie, to my nie uznamy za stosowne wręczyć ci obiecanej nagrody — ostrzegł Hamerverda.

— Nie naciskaj mnie, ślepawy ponku — powiedział Hamerverd. — Podejrzewałem, że wasza obietnica jest nic nie warta.

Chcąc przywrócić spokój do dyskusji włączył się Gray-der.

— Skoro nie wierzyłeś, że dostaniecie ubrania, to dlaczego zgodziłeś się tu przyjść?

— Chcieliśmy się dowiedzieć, czemu po tylu latach nagle postanowiliście nas odwiedzić.

— To są względy wyższej polityki.

— Zawracanie głowy — zadrwił Tor Hamerverd. — Chcesz, abym ci coś powiedział?

— Mów.

— Jeśli Terra sądzi, że najwyższy czas rozpocząć handel, to w porządku. Mamy dużo do zaoferowania. W każdej chwili wymienimy dziesięć ton świeżego jaszczurczego mięsa za kilka karabinów, części zamienne i amunicję. Jesteście zainteresowani?

— Nie.

— Ale jeśli Terra zamierza robić jakieś podejrzone interesy, możecie wypchać się i wracać. Nie odstawicie nas na inną planetę. Nie wejdziecie na tę i nie odbierzecie jej. Jesteśmy i zostaniemy tutaj tacy, jacy jesteśmy. Nie będziemy słuchać rad Terrańczyków. Nie udało wam się zmusić miliona naszych przodków do tego, by ruszyli dla

was palcem i nie zmusicie dziś do tego o wiele większej liczby naszych ludzi.

— A kto cię upoważnił do przemawiania w imieniu całej planety? — chciał się dowiedzieć Ambasador.

— Przemawiam za bastion Hamerverdów. Inne bastiony mogą mówić same za siebie. Ale mogę się założyć, że wiem, co powiedzą. — Machnął z pogardą ręką. — Mullersi i Yantoffsi są umyślowo opóźnieni, lecz nawet oni mają tyle rozumu, by nie zacząć harować dla Terrańczyków.

— Nigdy nie przyszło ci na myśl — spytał Grayder — że pewnego dnia możecie wpaść w ręce przybyszów, którzy nie będą waszymi krewnymi tak jak Terrańczycy?

— Na przykład?

— Jakiejś obcej rasy o imperialnych zapędach.

— Na przykład?

— To się dopiero okaże — uchylił się od odpowiedzi Grayder.

— Uwierzemy, kiedy zobaczymy — oznajmił Hamerverd.

— Tyle że wówczas może być za późno.

— To nasze zmartwienie, nie wasze.

— Myślicie, że będziemy siedzieć beczynn timer — jeszcze raz wtrącił Shelton — kiedy słabe, rzadko zaludnione planety, skolonizowane przez naszych braci, są jedna po drugiej anektowane?

— A kto je będzie anektował?

— Obca rasa, jak wspomni timer kapitan.

— Kapitan nie powiedział niczego, czego warto byłoby słuchać — odciął się Hamerverd. — Że dopadną nas

jakieś stwory, jeśli nie będziemy uważać. Już my wiemy, co to za stwory!

— Może masz na myśli Terrańczyków? — spytał Ambasador.

— Zgadłeś, grubasie.

— Uwagi tego osobnika... — Ambasador ociężale zwrócił się do swoich. — Uwagi tego osobnika mogą, ale nie muszą odpowiadać powszechnej opinii, jaka panuje na tym świecie. Nie mamy czasu, by wyjaśniać to z dwudziestoma albo pięćdziesięcioma tysiącami warowni z osobna. Trwałoby to wiele lat.

— Niestety, tak wygląda sytuacja, Wasza Dostojność — przyznał Grayder. — Wyraźnie mamy tutaj do czynienia z ogromną liczbą małych, niepodległych i samowystarczalnych społeczeństw w sile kilkuset osób każda. Brak wśród nich prawdziwej jedności i centralnej władzy. Żadne nie liczy się z nikim i niczym.

— My lubimy tak żyć — dodał Hamerverd. — Nie podoba nam się żaden inny styl życia. A już najmniej podoba nam się styl terrański.

— Bardzo mało albo w ogóle nic nie wiesz o Terze — wskazał Ambasador. — Od czterystu lat nie macie z nią kontaktu. Wszystko się zmieniło przez ten czas.

— Tutaj też, grubasie.

— Nie na lepsze, jak widzę. Zdaje się, że poszliście na głupi, niesprawny kompromis między życiem rodzinnym, a pradawnym sposobem życia plemiennego. W rezultacie powstała masa drobnych klanów ze swymi byle jak skleconymi domostwami, terenami łowieckimi i niczym więcej. Żadnych wygód, żadnego bezpieczeństwa i postępu. Żadnej moralności.

— Żadnych podatków, żadnej pracy i reglamentacji
— dorzucił Hamerverd.

Ambasador zbył to pogardliwym machnięciem ręki.

— Niech sobie bierze te ubrania. Są mu potrzebne, Bóg mi świadkiem. Pewnie przydałoby się brudasowi także parę kawałków mydła.

— Co to jest mydło? — rzucił podejrzliwie Hamerverd.

— Substancja do usuwania brzydkiego zapachu.

— Jakiego zapachu?

— Nie możesz go znać, żyjąc w nim tak długo — zauważył Ambasador. — Ja zaś zaczynam się już domyślać, dlaczego wasze kobiety każą się przenosić z miejsca na miejsce. Nadzieja ożywia ludzkie serca aż do śmierci.

— To ma być zabawne, ty brzuchaty palancie?

— Starczy! — wtrącił ostro Grayder.

W tym momencie do kabiny wszedł żołnierz. Grayder odwrócił się w jego stronę.

— Dajcie mu ubrania i niech już idzie.

— Tak jest.

Wyszli. Niebawem Hamerverd z zawiniątkiem pod pachą stanął na brzegu. Łódka podpłynęła i wzięła go na pokład. Pokonawszy około pięćdziesięciu metrów przystanąła, kołysząc się łagodnie na spokojnej wodzie, a trójka jej pasażerów zaczęła wykrzykiwać jakieś uwagi i robić wulgarnie gesty w kierunku statku.

Shelton sięgnął do interkomu.

— Aha. Sierzancie, czy szeregowiec Wagstaff ma swój nóż?

Chwila ciszy, a potem Bidworthy odparł:

— Tak.

— No, to już coś — stwierdził Shelton.

Ambasador patrzył przez iluminator na beczelnych trefni-siów w łódce.

— Świat pełen wstrętnych oberwańców — powiedział, krzywiąc się ze wstrętem.

— Dziedziczne czy środowiskowe? — zagadnął Grayder.

— Oczywiście, że dziedziczne. Pan myśli inaczej?

— Nie byłbym taki pewny, Wasza Dostojność.

— Nie? — Ambasador zmierzył go wzrokiem. — Zesłaliśmy tu milion niepoprawnych przestępców, tak?

— Tak, owszem.

— No i co widzimy?

— Nie wiadomo. Wyrzuceni przez nas z Terry osobnicy byli wielokrotnymi mordercami, nieuleczalnymi zbrojeńcami, wszelkim kryminalnym śmieciem, na utratę którego mogliśmy sobie śmiało pozwolić. Ich potomkowie nie wydają się równie źli. Owszem, przyznam, że pod pewnym względem są szaleni, ule to nie czyni z nich przestępców, jakimi byli ich przodkowie.

— Przykro mi, ale nie zgadzam się z panem, kapitanie — odparł szorstko Ambasador. — Są brudni, rozwiąźli, leniwi, niezaradni i zupełnie pozbawieni zasad etycznych. To kryminaliści cierpiący na poważny brak okazji do przestępstwa — albowiem w świecie złożonym wyłącznie z ludzi ich pokroju można się zreć jedynie nawzajem.

— Prawda wyjdzie na jaw — zaproponował Shelton — jeśli zabierzemy kilku osobników z powrotem na Terę.

— Boże broń! — wykrzyknął Ambasador. Przynął sobie krzesło, rozsiadł się i intensywnie myślał. — Na

każdej planecie powinienem nawiązać kontakt z władzą centralną i zawrzeć porozumienie o wzajemnej obronie. Ta planeta jest zakwalifikowana jako nieprzyjazna, toteż stanowi wyjątek. Otóż jestem upoważniony uczynić to, co uznaję za najrozsądniejsze w świetle panujących warunków.

Obrzucił ich wzrokiem, jak gdyby zapraszając do dyskusji, niestety chętnych nie było. Mówił więc dalej:

— Mam również ustanowić siebie przedstawicielem terrańskiego rządu na największej i najlepiej zorganizowanej planecie, a na pozostałych zostawić konsulów wraz z personelem i ochroną.

— Dużo będzie tutaj z niego pożytku — roześmiał się pułkownik Shelton. — Potrzebowałyby pan armii biurokratów, nawet mianując tylko po jednym na warownię. Co więcej, by przeżyć dłużej niż tydzień każdy z nich musiałby mieć dostatecznie liczną ochronę, aby mogła go pilnować rano, w południe i wieczorem. — Umilkł, by jego słowa dobrze zapadły w umysły słuchających, po czym dokończył: — Proszę oszacować łączną liczbę niezbędnych żołnierzy, a okaże się, że wystarczyłoby ich do przeprowadzenia wojskowej okupacji planety.

— Nie do pomyslenia! — oświadczył Ambasador. — Wartość strategiczna za niska, a koszty zbyt wysokie. — Pomyślał jeszcze trochę i zdecydował: — Nim dojdziemy do ładu z tą planetą, trzeba będzie zadbać o głęboką i wszechstronną edukację mieszkańców oraz zaprowadzić zmiany organizacyjne, czy im się to podoba, czy nie. Ale to już zmartwienie Terry, nie nasze. Sporządzimy szczegółowy raport dla ekspertów, a następnie...

Przerwał mu dobiegający z zewnątrz odgłos jakiegoś potężnego prychnięcia. Grayder stanął przed iluminatorem i zaciekawiony wyjrzał. Inni zrobili to samo.

Łódź znajdowała się teraz na środku jeziora i z wolna płynęła w kierunku bastionu na wyspie. Na dziobie stała jakaś postać, która trzymała w ręku metalicznie lśniący przedmiot. Ponownie rozległ się szyderczy dźwięk. Grayder przyłożył do oczu lornetkę, aby po chwili oddać ją bez słowa Sheltonowi. Teraz ten wyteżył wzrok, po czym rzucał przekleństwo i złapał za słuchawkę.

— Jest tam starszy sierżant Bidworthy? Więc gdzie jest? No to idźcie po niego. Muszę z nim natychmiast porozmawiać.

— Hej, Casartelli — zawołał czyjś głos na drugim końcu linii. — Pułkownik ma sprawę do szefa.

W ślad za tym inny głos rozbrzmiał tubalnie w metalowym korytarzu.

— Hej, Pongo, jesteś tam? Stary Sernik wyje do Sekstusa Sadysty. Przekaż draniowi.

— Poinformujcie łaskawie szeregowca Casartellego, że ma się za godzinę zameldować u Starego Sernika! — ryknął do słuchawki Shelton.

— Tak jest — wróciło z nutą przerażenia, uzupełnione po krótkiej ciszy zapewnieniem: — Starszy sierżant już idzie, pułkowniku.

— No, sierżancie? — zapytał ponuro Shelton, kiedy zgłosił się Bidworthy.

W słuchawce dał się słyszeć najpierw kaszel zakłopotania i dopiero potem starszy sierżant przemówił wyraźnym, oficjalnym tonem.

— Z przykrością melduję, pułkowniku, że szeregowiec Wagstaff zgubił trąbkę.

— A jak zdołał to uczynić?

— Zostawił ją na kamieniu przy brzegu, pułkowniku, kiedy zabrał tego gościa na statek. Nie odprowadził go z powrotem, więc zapomniał o trąbce. Przed chwilą sobie przypomniał.

— Dlatego, że ci prostacy w łodzi postanowili mu pokazać odparł z drwiną Shelton.

Jak na potwierdzenie zza wody doleciał następny przeciągły i cokolwiek przejrzały dźwięk. Shelton zrobił urażoną minę.

— Czarno to widzę, sierżancie.

— Tak jest.

— To była nasza jedyna trąbka.

— Tak jest.

— Wyposażono nas w jedną i drugiej nie mamy.

— Tak jest.

— A teraz przepadła.

— Tak jest.

— Najpierw nóż, a potem trąbka.

— Tak jest.

— Umiecie powiedzieć coś innego poza „tak jest?” — krzyknął Shelton.

— Tak jest — przyznał sierżant.

— No to powiedzcie!

Bidworthy wziął długi, solidny oddech i wyrzucił z siebie:

— 1768421 szeregowiec Wagstaff, Arnold Edward Sebastian, obwiniony o utratę sprzętu na służbie, mianowicie jednej trąbki mosiężnej G-mol typu Gabriel.

— Czego?

— Jednej trąbki mosiężnej G-mol typu Gabriel — powtórzył Bidworthy. — Tak brzmi przepisowa nazwa magazynowa, pułkownika.

— Nie chcę tego więcej słuchać — oświadczył Shelton i z trzaskiem odłożył słuchawkę, po czym zirytowany opuścił kabinę.

Ambasador uniósł brwi.

— Nasz kochany pułkownik wydaje się bardzo rozdrażniony.

— Każdy przechodzi złe chwile — zauważył Grayder.

— To prawda, to prawda — westchnął głęboko Ambasador. — Mamy jeszcze inne światy do odwiedzenia. Sądzicie, że poradzimy sobie bez trąbki?

— Raczej tak, Wasza Dostojność.

— No więc, co gryzie Sheltona?

Statek wzbił się w przestworza, ale nie od razu odleciał. Parokrotnie okrążył planetę i robił zdjęcia, które miały powiększyć kolekcję fotografii z pierwszego podchodzenia. Aktualna rejestracja objęła tylko kilka fragmentów słonecznej strony, dostarczyła jednak sporo informacji o tym świecie jako całości.

Pluton interpretacji telemetrycznej miał masę roboty przy tych zdjęciach, sporządzając mapę danych w oparciu o znane rozmiary i liczbę ludności warowni Tungów. Kiedy statek mknął już między gwiazdy, przedstawili swoje statystyki.

Świat jako całość, oznajmili, zawierał prawdopodobnie około szesnastu tysięcy warowni, nie licząc pięćdziesięciu lub stu obozowisk Ronów. Najmniejsze warownie

liczyły czterystu mieszkańców, a największe — trzy tysiące. Przeciętne zaludnienie warowni sięgało około tysiąca dwustu osób. Łączna liczba mieszkańców wynosiła od siedemnastu do osiemnastu milionów.

Ambasador podniósł wzrok znad raportu.

— Doszedłem do wniosku, że te dane są wyjątkowo użyteczne — ironizował. — Usprawiedliwiają stratę czasu, jaki spędzili nad nimi eksperci. Dysponujemy teraz mnóstwem tak zwanych faktów, poprzedzanych każdorazowo słowem „prawdopodobnie”. Pokazują one uznania godną ostrożność ludzi, którzy nie lubią przyjmować odpowiedzialności za słowo.

— Rozsądne przypuszczenia są lepsze niż żadne, Wasza Dostojność — podsunął Shelton, któremu odeszła już cała złość na pechowego szeregowca Casartellego.

— To nie są nawet rozsądne przypuszczenia — zaprzeczył Ambasador. — Opierają się jedynie na tym, co widać. Nie wzięto w ogóle pod uwagę tego, czego nie widać.

— Nie mam pojęcia, jak można by to zrobić — odparł Shelton. Nie rozumiał, do czego zmierza Jego Dostojność.

— Nie oczekuję rzeczy niemożliwych ani nie proszę o nie — odciął się Ambasador. — Chodzi mi o to, że uogólnienia oparte wyłącznie na danych widocznych, mogą okazać się całkowicie bezwartościowe w świetle danych niewidocznych. — Mówiąc dźgał raport władczym palcem wskazującym. — Szacunki wskazują na szesnaście tysięcy warowni powierzchniowych. A ile ich jest pod ziemią?

— Podziemne warownie? — wykrzyknął zaskoczony Shelton.

— Oczywiście. Z tego, co wiemy, może ich być nawet i pięćdziesiąt tysięcy.

— Nie widzieliśmy ani jednej.

— Mówi, że nie widzieliśmy — powiedział Ambasador do Graydera i rozłożył ręce na znak, że szkoda słów.

— Nie widzieliśmy masy innych rzeczy — zauważył Grayder.

— Wiem — odparł Ambasador. — Nie widzieliśmy kobiet. Ani jednej. Ale skoro ta rasa istnieje, wynika z tego wniosek, że kobiety też istnieją. Oto sensowne przypuszczenie, uczynione niezależnie od widocznego dowodu.

— Stale wspominali o kobietach — wskazał Shelton. Ambasador udał, że tego nie słyszy.

— Przelecieliśmy nad niezliczoną liczbą warowni, a nie widzieliśmy ani jednej fabryki — ciągnął Jego Dostojność. — Nie sądzę jednak, by ukrywali je pod ziemią. Moim zdaniem nie posiadają fabryk... Nie pozwala im na to niski poziom życia i niechęć do uczciwej pracy.

— Jest jeszcze coś, czego najwyraźniej nie posiadają — wtrącił Grayder. Myślał przez chwilę, a później dodał: — O złoczyńcach, których tu deportowaliśmy, mówi się jako o zgrai pijaków. Jakies dziewięćdziesiąt procent było nieuleczalnymi alkoholikami.

— No i co?

— Nie widzieliśmy żadnego obiektu przypominającego browar lub gorzelnię.

— W samej rzeczy, nie widzieliśmy — przyznał Ambasador.

— To znaczy — dokończył Grayder — że niezależnie od ewentualnych wad mieszkańcy tej oto planety przynajmniej są trzeźwą gromadą.

— Niekoniecznie. Może brak im surowców do warzenia na dużą skalę. Nie mają też technologii ani odpowiedniej wiedzy. Przeszli zatem na miejscowe narkotyki. Ten Tor Hamerverd miał szklany wzrok, był agresywny i bezczelny. Narkoman, bez dwóch zdań.

Grayder wzruszył tylko ramionami, nie chciał o tym dyskutować. Zresztą dyskusje były bezowocne. Zwykły brak sprawdzonych danych powodował, że temat musiał być oderwany od rzeczywistości, a zastrzyk osobistych uprzedzeń nie poprawiał sytuacji. Grubas naturalnie obraził się za grubasa, przez co pyskacz okazał się narkomanem.

— Kiedy byłem mały, nie cierpiałem szpinaku — rozpamiętywał Ambasador. — Ilekroć znalazłem na talerzu szpinak, połykałem go w całości, w ogóle nie żując. Uwolniwszy się w ten sposób od zielska, mogłem spokojnie rozkoszować się drugim daniem. — Uśmiechnął się na to wspomnienie. — Myśmy postąpili tak samo: zaliczyliśmy jedyną wrogą planetę i obecnie powinniśmy mieć w perspektywie coś przyjemniejszego. Która jest następna, kapitanie?

— Jakaś dziura o nazwie Higieja.

— Ach, tak. Teraz sobie przypominam, druga na liście. Powinienem zaznajomić się z garścią danych, jakimi dysponujemy o tych wysypiskach śmieci, ale nigdy nie udało mi się znaleźć czasu. Dużo informacji ma pan w tej swojej księdze?

— Niewiele. Higieja figuruje jako ciepła, tryskająca życiem i urodzajna planeta, zawładnięta przez tłuszczę, która nazwała siebie Dziećmi Wolności. Odlatywali jednym statkiem za drugim, aż nikt z nich nie został na Terze.

W jakiś czas później na Higieję udała się również druga, całkiem inna horda, znana jako Naturyści, prawdopodobnie za zgodą tych pierwszych. Łączna liczba uciekinierów nie jest znana, ale ocenia się ją na około dwóch i pół miliona.

— Dzieci Wolności — zamyślił się Ambasador. — Czy to nie ta sekta religijna, lepiej znana jako kwakrzy?

— Nie, Wasza Dostojność. Pan myśli o Stowarzyszeniu Przyjaciół. Zajęli planetę, którą nazwali Amity. Nie ma jej na szlaku naszej ekspedycji. Może szuka ich ktoś inny.

— No, to będą mieli cholernego pecha — wtrącił Shelton.

- Czytałem kiedyś o tych Amitach i mam konkretny powód, by ich pamiętać. Zajadli pacyfiści, każdy jeden bez wyjątku.

— Co nas to obchodzi? — zachnął się Ambasador. — Niech sobie będą cudzym zmartwieniem.

— Ta druga hałastra może być równie wstrętne — zauważył Shelton. — W życiu nie słyszałem o Dzieciach Wolności, ale wyglądają mi na anarchistów.

— Wie pan coś o nich, kapitanie? — spytał Ambasador.

— Nie, Wasza Dostojność. W czasach Wielkiej Eksplozji odleciało ponad trzysta mniejszości. Człowiek nie jest w stanie zapamiętać najdrobniejszych szczegółów o wszystkich.

— Chyba nie. Przydałby się na pokładzie profesor historii. — Ambasador wodził spojrzeniem po ścianie w kontemplacyjnym milczeniu, po czym dodał: — Jedno nie ulega wątpliwości — to będą świrusy. Można jednak przy-

znać, że świrusy stoją o włos wyżej od pospolitych przestępców.

— Pod warunkiem, że trzymają złodziejskie paluchy przy sobie — podsumował Shelton. — Kiedy te wszystkie izolowane grupy położą chciwy wzrok na statku wyładowanym towarami, których potrzebują, może z miejsca uwierzą w Świętego Mikołaja.

— Cóż, macie o jedno zmartwienie mniej — poinformował go Ambasador. — Trąbki nie zdołają już ukraść.

Następny glob wykwitł z przestrzeni niczym niebieskozielona, brylantowa kula, krążąca dookoła bladopomarańczowej gwiazdy, dokładnie przypominającej Słońce. System uzupełniało dziewięć innych planet plus dwanaście księżyców, ale według starodawnych zapisków jedynie Higieja była zamieszкана.

Gdy planeta urosła na tyle, że dawały się rozróżnić szczegóły powierzchni, kamery poczęły fotografować stronę słoneczną. Rozległe obszary leśne ciągnęły się nie naruszone. Przecinały je liczne rzeki, nad którymi nie było widać ani jednego mostu. Spora część lądu nic zagospodarowana i prawdopodobnie nie tknięta ludzką stopą.

Zamieszкана jednak część globu świadczyła o tym, że osadnikom powodziło się całkiem dobrze. Wiele najszerszych i najżyźniejszych równin, intensywnie uprawianych aż po granicę lasów, przecinały szosy i tory kolejowe. Wśród tych płaszczyzn, jak paciorki różańca ciągnęły się wioski i miasteczka. Tu i ówdzie widoczne małe fabryki oraz kamieniołomy i kopalnie odkrywkowe. Mignęło też duże miasto nadbrzeżne z kompleksem stoczni i statkami o białych żaglach stojącymi w porcie.

Spółeczeństwo było chyba kilka razy większe i dużo energiczniejsze niż mieszkańcy poprzedniej planety. Widoczne gołym okiem zdobycze stanowiły pogładową lekcję dla próżniaków i dowodziły raz jeszcze, że w pocie czoła będziesz swe cele osiągał.

Na miejsce lądowania Grayder wybrał długie, niskie pasmo górskie z granitową odkrywką. Nie szukał najlepszej pozycji ze strategicznego punktu widzenia; ciężar, którym manipulował, wymagał twardego podłoża skalnego, a kapitan odpowiadał za przyziemienie w takim punkcie, by nie zakopać się po włazy w śluzach powietrznych.

Statek usiadł ze zwyczajowym chrzęstem i zgrzytem dobiegającymi spod kadłuba. Ustało zasilanie. Kanały napowietrzania stanęły otworem i zaczęły ssać ciepłe i bogate w tlen powietrze.

Rozwarły się luki w dziobowych, rufowych i środkowych śluzach powietrznych. Tym razem załoga nie zrzuciła trapu; spuściła pomost.

Wyjście nastąpiło w ściśle określonej kolejności. Najpierw Ambasador, który stawiając dostojną nogę na ziemi, nie mógł się oprzeć i powiedział:

— Biorę tę planetę we władanie w imieniu Terry.

Jako drugi pokazał się kapitan Grayder, swobodny i obojętny. Trzecim był pułkownik Shelton. Ten wodził dookoła srogim wzrokiem, jakby nie tracił nadziei, ale spodziewał się najgorszego. Czwarty pojawił się starszy radca rządowy, spoglądając z ciekawością przez okulary o grubych soczewkach. Potem oczywiście niżsi rangą i w identycznej kolejności: osobisty sekretarz Ambasadora, drugi oficer statku, major Hame — zastępca dowódcy oddziałów wojskowych i przedostatni gryzipiórek.

Zeszła kolejna ranga, później następna, aż pozostali tylko fryzjer Jego Dostojności, sprzątacze w bagażowni, lokaj, członkowie załogi o skromnym statusie Z.A. (zwykły astronauta), żołnierze o niskim statusie prostych, anonimowych szeregowców oraz masa tymczasowych urzędników, marzących o nominacji na stałe i posiadaniu własnych biur. Ta ostatnia gromada nieszczęśników miała według rozkazu wypucować statek, powstrzymując się jednak od palenia tytoniu.

Gdyby ten świat był obcy, wrogi i po zęby uzbrojony, kolejność wyjścia byłaby odwrotna, wypełniłyby się w ten sposób biblijne słowa, że ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi. Ale Higieja, mimo że oficjalnie nowa, nieoficjalnie nie była ani nowa, ani obca. Co się zaś tyczy ogólnego braku wrogości, przyjęto to za pewnik. Higiejanie nie należeli do kryminalistów, toteż można było oczekiwać, że okażą właściwy szacunek lepszym od siebie.

Od podnóża masywu górskiego rozciągały się ziemie orne, porośnięte obficie zbożem w rodzaju jęczmienia. Lekki wiaterek kładł wśród łąnów długie cienie, jak pędzące na morzu fale. Pola uprawne kończyły się na linii horyzontu, gdzie zaczynał się las. Po drugiej stronie, w odległości dwóch kilometrów, widać było średniej wielkości miasto. Obejrżeli je przez lornetki. Podmiejskie wille, które stały najbliżej, były nieduże, lecz ładne i wydawały się solidnie zbudowane z cegły lub kamienia. W centrum nie dostrzegli ani jednego wysokiego budynku, najwyższy liczył raptem cztery kondygnacje. Cała miejscowość kąpała się w czystym powietrzu i jaskrawym słońcu, nad dachami nie unosiły się mgła ani smog. Nie było śladu mechanicznych pojazdów drogowych, ale od północnego skraju mia-

sta ciągnęła się długa, skłębiona smuga dymu oddalającej się lokomotywy parowej.

— No i cóż, drogi kapitanie — ucieszył się Ambasador. — Muszę przyznać, że ten śmietnik przedstawia się o wiele lepiej niż poprzedni. — Dla okazania aprobaty wciągnął nosem orzeźwiające powietrze. — Piękne miasteczko, warte włączenia do naszego imperium.

— Tak jest, Wasza Dostojność — odparł Grayder. Nie zaprzętał sobie głowy zwracaniem uwagi, że mieszkańcy mogą mieć na ten temat inne zdanie.

— Podobałoby mi się jeszcze bardziej — wtrącił Shelton — gdyby mieli więcej siły roboczej i silniejszy potencjał gospodarczy. Z wojskowego punktu widzenia są słabi. Jeśli chodzi o nas, traktat o wzajemnej obronie będzie korzystny tylko dla jednej strony.

— Nie należy pogardzać żadnym wkładem w siłę militarną Terry — sprzeciwił się Ambasador. — Poza tym te odległe planety będą służyć jako enklawy buforowe i przyjmować pierwsze I uderzenie.

Grayder miał ochotę zapytać, czyje uderzenie, ale wątpliwości zachował dla siebie. Przez kilka ostatnich stuleci statki z napędem Bliedera spenetrowały znaczną część przestrzeni, nie znajdując żadnych form życia, które byłyby inteligentniejsze od ziemskich psów. Według niego cała ta gadanina o ewentualnym zagrożeniu z kosmosu była jedynie pretekstem dla rozciągnięcia władzy nad jak największą liczbą planet.

Ambasador nie odrywał lornetki od oczu.

— No, problem nawiązania kontaktu za chwilę nie będzie istniał — oznajmił z zadowoleniem. — Dwoje ludzi zmierza do nas wśród jęczmienia. — Wydał usta w rado-

snym uśmiechu i dodał: — To ładnie z ich strony, że tak szybko reagują.

— Może raczej głupio — stwierdził Shelton. — Skąd wiedzą, że jesteśmy z Terry? Gdyby mieli więcej rozumu od przeciętnego kmiotka — co bynajmniej nie znaczy dużo — przed przyjściem dokonaliby zwiadu i sprawdzili naszą tożsamość.

Ambasador obserwował nadchodzących. Nad falującym zbożem widział tylko dwie głowy.

— Zapewne pracowali w pobliżu, kiedy wylądowaliśmy, bo inaczej nie zjawiliby się tak prędko — domyślił się. — A więc są rolnikami. Drogi pułkowniku, nie może pan żądać, aby jacyś wieśniacy byli geniuszami wojskowymi.

Shelton zamilkł, nie zmienił jednak zdania, że od każdego należy wymagać pewnej dozy ostrożności, nawet od hreczkosieja. Wszyscy czterej obserwowali, jak tamci torują sobie drogę wśród łąnów, wynurzają się u podnóża góry, na którą następnie zaczęli się wspinać.

W tym momencie Ambasador opuścił lornetkę, przetarł oczy i kilkakrotnie zamrugał. Shelton wydał obelżywe chrząknięcie. Za jego plecami starszy sierżant Bidworthy grzmiał jak czynny wulkan.

Higiejanie byli bardzo wysocy i atletycznie zbudowani, ich ciała wyglądały wręcz nienaturalnie potężnie. Każdy niósł na ramieniu torbę zawieszoną na pasku. Każdy

był gustownie przyodziany w sandały, ale tylko w nie i w nic poza tym. Nie licząc obuwia na stopach byli nagusieńcy, jak ich Pan Bóg stworzył.

Przyjrząwszy się z jawną pogardą swojej publiczności, pierwszy osobnik rzucił braterskie pozdrowienie tymi oto słowy:

— Terrańczycy — jak zwykle nieprzyzwoici.

Ambasador akurat ponownie wybałuszał oczy, kiedy owo

spozrzeżenie przebiło się do jego mózgowicy. Z miejsca się nastroszył.

— O co ci chodzi?

— Unikacie wspaniałego blasku słońca i widoku ludzkiego ciała — poinformował drugi. Zatrzymał wymownie wzrok na ambadorskim brzuchu i zwrócił się do swego kompana: — Trzeba jednak przyznać, że ten ma słuszne powody do wstydu się swego ciała, no nie, Pincuff?

— Taak — przyznał Pincuff. — Lata żarłoczności i zaniedbań zebrały żniwo.

— Wypraszam sobie — mruknął Ambasador.

— On sobie wyprasza, Boogle — zadrwił Pincuff, parskając głośnym i wulgarnym śmiechem. Jego ruchliwe oczy zwróciły się na statek, dostrzegł iluminatory, wypełnione zdumionymi twarzami. — Spójrz na tę zgraję, Boogle. Boją się wyjść i pokazać. Błdzi i cherlawi, co do jednego.

— Taak — potwierdził Boogle. — Popatrz na te pożał się Boże zapadnięte klatki piersiowe. — Mówiąc to, rzucił się plackiem na ziemię, zrobił dwadzieścia pompek,

skoczył na nogi, wymasował sobie żebra i skinął ręką na Ambadora. — Teraz kolej na ciebie.

— Dla twojej informacji jestem przedstawicielem Terry, a nie akrobatą z cyrku.

— Co ty powiesz? To zrób ze sześć przysiadów.

— Nie. Wykluczone.

— To chociaż jeden — nalegał Boogle. — Tylko na początek. Zawsze możesz kiedyś się poprawić. To ci dobrze zrobi.

— Ja decyduję o tym, co mi dobrze robi — oświadczył Ambador, z trudem panując nad sobą. — I nie przyjechałem tutaj, żeby oddawać się idiotycznej gimnastyce. Chcę się widzieć z osobą na stanowisku kierowniczym.

— Po co?

— Cel jest poufny.

— Słyszałeś? — zapytał Pincuffa pełen podejrzeń Boogle. — Coś tu śmierdzi.

— To dochodzi ze statku — poinformował Pincuff. — Cały jest wypełniony stęchłym powietrzem i starymi łachami. Nikt się tam nie kąpał od miesiąca. Istny chlew.

— Powietrze na statku oczyszcza się automatycznie i sterylizuje sześć razy na godzinę — powiedział Grayder.

— Też tak myślę — zgodził się Pincuff. — Bo inaczej można by je kroić nożem.

— Prawdziwi śmierdziele — dorzucił Boogle. — Chyba jedyna rasa, która musiała wynaleźć stacje odwyszawiania.

— A ty skąd o nich wiesz? — zapytał lodowato Ambador.

— Jesteśmy wykształceni. Mamy mnóstwo wiadomości o Terze. Wszyscy są tam nieprzyzwoici w sprawach

ciała, nieprzyzwoicie wyglądają, nieprzyzwoicie się zachowują. Schorowani, zawszeni i zdegenerowani. Prześladowają każdego, kto nie boi się stawić czoła wiatrom, deszczom i słońcu w swoim pierwotnym stanie.

— Nazywasz to edukacją?

— Taak. Bo też i jest.

Ambasador podjął ryzyko i zaatakował z innej strony:

— Sądzę, że to ortodoksyjna nauka Dzieci Wolności, hm?

— Józefie Świąty! — zawołał z przerażeniem Pincuff.
— On uważa nas za Doukhoborsów.

— Jeśli szukasz Douków — oznajmił pogardliwie Boogle — są kawałek drogi za tymi górami i pławią się w błocie. Wygnaliśmy ich kilkaset lat temu.

— Za co?

— Mimo wysiłków nie mogliśmy z nimi współżyć. Gromada złotoustych durniów modlitwami i kazaniami nieustannie próbowała nawrócić nas na swój własny sposób myślenia i urągała nam, gdy nie chcieliśmy przejrzeć na oczy. Myśleli, że skoro my, Naturyści, jesteśmy represjonowani za nagość, to musimy być łatwymi kąskami. Wpuścili nas tutaj z nadzieją na wzmocnienie własnych sił. To był ich błąd.

— I co się stało?

— Czekaliśmy na właściwy moment, aż będziemy gotowi, i wówczas przegnaliśmy ich na południe. Kto się przyłącza do Douków, ten ma źle w głowie. A właśnie tego zarzutu żadnemu z nas, Naturystów, nie można postawić.
— Kilka razy solidnie się przeciągnął, poskakał w kółko, odstawił półminutową walkę z cieniem, a na koniec

oznajmił: — W zdrowym ciele zdrowy duch. Mądrze mówię, Pincuff?

— Taak — odparł Pincuff.

— Jest was więcej niż tych... hm... Douków? — próbował zdobyć informacje Ambasador.

— Ma się rozumieć. Co najmniej dwadzieścia razy tyle. Oni wymierają.

— Znaczy, że Naturyści zajmują większość rozwiniętej części planety?

— Owszem.

— A więc wasz rząd jest faktycznie rządem całego tego świata?

— Taak.

— Świetnie! Żądam rozmowy z członkami waszego rządu.

— Nie żąda dużo — zauważył Pincuff, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego.

— Zaiste, niedużo — przyznał Boogle. — Sprowadźcie swój rząd — tak po prostu. Wydaje mu się, że oni siedzą beczynnie, tylko czekają na wezwanie i zaraz przybiegną w podskokach.

— Pochlebca — powiedział Pincuff do Ambasadora.

— Proszę tylko, byście udali się do tego miasta i donieśli o naszej obecności — nalegał Ambasador. — Sferom urzędowym można ufać, z pewnością podejmą jakieś kroki.

— Miasto doskonale zdaje sobie sprawę z waszej obecności zapewnił Pincuff. — Jesteście idealnie widoczni, poza tym trudno byłoby nie zauważyć lądowania statku tej wielkości.

— Mamy oczy — dorzucił Boogle. — Dobrze, zdrowe oczy. - Wskazał na starszego radcę rządowego, który z fascynacją wpatrywał się weń przez okulary w rogowej oprawce. — Nie jesteśmy na wpół ślepi, jak ten wrak ludzki o twarzy idioty.

— Idę o zakład, że połowa z nich nosi okulary — powiedział Pincuff. — A druga połowa ich potrzebuje.

— Tak samo jak sztuczne zęby — poparł go Boogle. Rozdziawił usta, odsłaniając garnitur czystego, białego uzębienia i podetknął tę wystawę przed oczy Ambadora. — Wszystkie moje własne. A ty ile masz?

— Nie twoja sprawa — odparł Ambador.

— Wstyd mu przyznać, ale nie ma w ustach choćby jednego prawdziwego zęba — zakomunikował wszem i wobec Boogle.

— Ma za to wkładki w butach — domyślił się Pincuff.

— Nie noszę wkładek — zaprzeczył Ambador.

— No to zademonstruj, jak to robisz. — Boogle wykonał parę podskoków niczym oszalały kangur. — Śmiało, spróbuj. Trzymaj się mojego tempa. Raz-i-dwa-i-prze-grasz-i-trzy-i-cztery-i-dokładasz-mi.

— Bzdury! — zachnął się Ambador.

— Sprawność fizyczna to dla niego bzdura — oznajmił Pincuffowi Boogle.

— Wyobrażasz sobie coś bardziej typowego dla Terrańczyków?

— Taak. Nieprzyzwoitość.

— Przedłużanie tej głupiej rozmowy na nic się nie zda — oświadczył Ambador Grayderowi, Sheltonowi i pozostałym.

Wracajmy na pokład i zaczekajmy na kogoś mądrzejszego. Z tymi słowy ruszył w górę na pomost. Reszta poszła za nim, skrupulatnie przestrzegając kolejności wchodzenia. Na końcu maszerował Bidworthy, zatrzymując się jedynie po to, aby swoim piorunującym wzrokiem spopielić Higiejan.

— Zatruta wątroba i nadmiar żółci — zdiagnozował Pineuff.

— Tłuste pośladki — dodał Boogle. — Beznadziejny brak kondycji. Przydałoby się trzydzieści kilometrów marszobiegu i godzinka w łaźni parowej.

— Idźcie do diabła — oświadczył Bidworthy, wprawivszy pomost w dygotanie sprężystością swego kroku.

— A w dodatku niezdrowy oddech — zauważył Pineuff, jakby dla potwierdzenia wcześniejszych wniosków. — Wracajmy na łono cywilizacji.

Ignorując setki twarzy, które nadal wpatrywały się w nich z iluminatorów, odwrócili się i odeszli w stronę miasta, siłą rzeczy ukazując publiczności swoje tylne partie. Dla obserwujących widok zadków Pincuffa i Boogle'a kojarzył się w dziwny sposób z deklaracją niepodległości.

Pierwszy oficer Morgan zajrzał do komórki i zmarszczył brwi na widok, który się przed nim roztoczył.

— Co, znowu przy nim siedzicie? Nie umiecie wymyślić lepszego sposobu spędzania wolnego czasu?

— Owszem... wycieczki rowerowe — odpowiedział dziesiąty mechanik Harrison. — Nie mogę ich odbywać na statku. Muszę być na dworze, mieć twardy grunt pod kołami i ładny krajobraz wokół siebie. Nie przeszkadza panu, że lubię się zajmować rowerkiem, co?

— A róbcie sobie, co chcecie — odparł Morgan. — Myślę jednak, że to zwariowana metoda korzystania z czasu po służbie. — Wyjął elektroniczny notes i stuknął w niego palcem. — Na którą turę wyjściową mam was wciągnąć — pierwszą, drugą, czy trzecią?

— A więc idziemy na urlop, tak?

— Jeszcze nie teraz. Urlopy zaczynają się w czwartek wieczorem, o szóstej. Kapitan zna przepisy i czeka na mój grafik do zatwierdzenia. Na którą was wciągnąć?

— Każda tura ma swoje wady i zalety — zamyślił się Harrison, wycierając nos w szmatkę do polerowania. — Pierwsza idzie na ślepo, ostatnia korzysta z informacji tych, co już wrócili. Z drugiej strony, jeśli pierwsza wzbudzi niechęć tubylców, to wszystko skrupi się na ostatniej. Dwóch pijanych rozrabiaków może zapracować na wybite zęby późniejszych urlopowiczów.

— Zdecydujcie się — przynaglał niecierpliwie Morgan. — Nie mogę tu sterczeć cały dzień i słuchać, jak rozpatrujecie wszystkie za i przeciw każdej tury. Którą wybieracie, pierwszą, drugą, czy trzecią?

— Poproszę o trzecią. Wolę być przygotowany, niż iść w ciemno.

— Trzecia — powtórzył Morgan, rejestrując w notesie. — Gdzie są dziewiąty mechanik Hope i ósmy mechanik Carslake?

— Dziesięć minut temu pobiegli do swoich kajut. Mówili, że chcą włożyć filmy do kamer. Wydawali się czymś bardzo podekscytowani.

— Czyżby? — Morgan wbił w niego wzrok. — Gdzie byliście przez ostatnią godzinę?

— Tu, czyściłem rower. Dlaczego pan pyta? Czy to coś złego?

— Nie, nic złego — odparł Morgan i poszedł szukać Hope'a i Carslake'a. Dziesiąty pożegnał go przeciągłym spojrzeniem.

Chwilę później, kiedy Harrison obracał tylne koło i słuchał gładkiego tykania naoliwionego trybika, do komórki zajrzał sierżant Gleed.

— Był już u ciebie Morgan?

— Tak.

— Którą wybrałeś?

— Trzecią.

— Błąd — oświadczył Gleed. — Urlop nie utrzyma się tak długo. Trzeba było iść z pierwszą. Lepszy wróbel w garści niż kanarek na piersi.

— Na dachu.

— Wiesz, do czego zmierzam. Pędź do służby, jak będziesz miał okazję, i nie oglądaj się na progu. Pierwszej turze się upieczesz, drugiej może też, trzeciej nigdy w życiu.

— Dlaczego?

— Już będzie dość kłopotów z niektórymi w pierwszej grupie. Znasz marynarzy.

— Co masz na myśli?

— Miejscowym rozrabiakom nie spodoba się mina niektórych naszych chłopców. Od słowa do słowa i pójdą w ruch pięści, co jest równie pewne jak to, że Bidworthy szczeka przez sen. Może się nawet polać krew. Wtedy Grayder wstrzyma urlopy następnym turom.

— Nie pojmuję, co cię tak gryzie — zdziwił się Harrison, zaczynając po raz szósty polerować siodełko. — Dla-

czego właśnie tu mielibyśmy mieć więcej kłopotów niż gdzie indziej?

— Jak długo majstrujesz przy tym bicyklu?

— Czy ja wiem? Nie liczę godzin. Nie jestem na służbie, więc co za różnica.

— Widziałeś tubylców?

— Nie — odparł Harrison. — Ale należą do naszej rasy, tacy sami jak my. Napatrzyłem się już na Terrańczyków.

— Ale nie w takim stanie.

— W jakim?

— Higiejanie są w stanie pierwotnym.

— Nie rozumiem.

— Może zaaplikujesz sobie chwilę przytomności? — zaproponował Glead i dodał: — Oni są nadzy. Golusieńczy.

— Nie!

— Tak!

— Kobiety też?

— Nie widzieliśmy ani jednej, ale możesz dać głowę.

— Nie wierzę.

— Uwierzysz — obiecał Glead.

Przed wieczorem zjawiała się delegacja. Składała się z sześciu starszawych, opalonych nudystów, prowadzonych przez osobnika wyglądającego tak, jakby miał dziesięćdziesiąt lat więcej od Pana Boga. Paradował z półtorametrowej długości brodą, która okrywała jego klatkę piersiową i sporą część brzucha, nadając mu wygląd człowieka niestosownie w tych warunkach ubranego. Trzymał w ręku pozlacane berło zwieńczone drewnianym krążkiem pokrytym reliefem w kształcie tarczy herbowej.

Stanąwszy u stóp pomostu, brodacz spojrział w górę na śluzę, gdzie próżnował sierżant Gleed. Po sędziwej twarzy gościa przymknął grymas niezadowolenia, po czym uniósł ceremonialnie swoje berło i przemówił:

— Zdrowym bądź.

— Jestem — odpowiedział Gleed, nie czując się szczególnie schorowanym.

Przybysz zdawał się wątpić w to zapewnienie, ale nie był w nastroju do dyskusji.

— Jestem Radaschwon Bouchaine, burmistrz Sunnyside. — Pokazał ręką na miasto, a później zaprezentował swoich towarzyszy, którzy przyglądali się ubraniu Gleeda niczym stare panny obserwujące od dawna niezwygłego szczura. — A oto niektórzy z moich rajców.

— Bardzo mi miło — odwzajemnił się Gleed, obdarowując ich krzywym uśmiechem.

— Chcielibyśmy zobaczyć się z waszym przywódcą — dokończył burmistrz Bouchaine.

— Zaczekajcie tu, dowiem się, co on na to. — Gleed zdjął ze ściany słuchawkę interkomu i wysłuchał rytmicznego sygnału na drugim końcu linii. W końcu stwierdził, że jest mu wszystko jedno i ktokolwiek się zgłosi, zostanie przywódcą. Okazało się, że był nim Grayder. — Kapitanie, przy trapie jest grupa golasów — poinformował go. — Chcą z panem rozmawiać. Jeden twierdzi, że jest miejscowym burmistrzem. Na dowód wziął ze sobą totem.

— Przyprawódźcie ich do nawigacyjnej, sierżancie — polecił Grayder.

Gleed wrócił do wyjścia na pomost.

— Możecie wejść na pokład.

Słowa te wywołały wśród siódemki dysputę, podczas której obficie padały słowa brud, zarazki i robactwo. Gleed słuchał tego z narastającą irytacją. Nie spodobała mu się opinia gości, że wszyscy na statku są po uszy wypchani bakteriami. W końcu dał upust uczuciom i wrzasnął:

— Za kogo nas uważacie, za kolonię trędowatych?

Zapadła chwila ciszy, po upływie której burmistrz Bouchaine zadał pytanie:

— Czy wasz przywódca nie mógłby przyjąć nas na zewnątrz?

— Nie, tatuśku. Ja nie wydaję mu rozkazów. To on wydaje je mnie. Kazał mi zaprowadzić was do nawigacyjnej. Idziecie, czy nie?

— Co mam do stracenia w moim wieku? — westchnął burmistrz, podchodząc do pomostu. Pięciu rajców z wahaniem ruszyło jego śladem. Szósty klapnął na tyłek i przybrał minę człowieka, który zdecydowanie nie zamierza nigdzie iść.

— Burmistrzu, wolałbym nie narażać się na zakażenie.

— Rób, jak uważasz, Gerpongo — odparł burmistrz, wspinając się po szczeblach.

— Rób, jak uważasz, Gerpongo — powtórzył Gleed najbardziej złośliwym tonem, na jaki mógł się zdobyć. — Klapnij na tyłek, Gerpongo, i bądź szczęśliwy. Niech czyste i świeże powietrze popieści twoje ciało, Gerpongo, a będziesz wniebowzięty-

— Każdemu by się to przydało — odparł celnie Gerpongo. — Właśnie na to liczę.

Niezbyt zadowolony Gleed pomaszerował na czele delegacji w głąb statku, a goście dreptali za nim gęsiego. Za-

chowowali kompletną ciszę, nie wymieniali żadnych uwag i Gleed doszedł do wniosku, że z pewnością starają się nie wdychać powietrza ponad niezbędne minimum. Dotarłszy do kabiny nawigacyjnej wprowadził ich do środka i oddalił się, mamrocząc pod nosem.

— Gerpongo — westchnął. Zabrzmiało jak obcojęzyczne przekleństwo.

Tymczasem w kabinie burmistrz pogładził swoją brodę, spojrzął kolejno na Ambasadora, kapitana Graydera, pułkownika Sheltona oraz majora Hame'a i postanowił zwrócić się najpierw do Jego Dostojności.

— Zdrowym bądź.

— Dziękuję — odparł Ambador, rozkoszując się odrobiną kurtuazji.

— Jesteście pierwszym statkiem, który tu przyleciał ze starego świata, odkąd nas osadzono — ciągnął burmistrz. — Byliśmy oczywiście pewni, że Terra przestała się nami interesować. Mieliśmy wszelkie powody, aby w to wierzyć. Teraz jednak okazuje się, że nie mieliśmy racji. Rząd nakazał mi przeprowadzić rozmowę i poznać cele waszej wizyty.

— Aha, więc skontaktowaliście się już z waszym rządem?

— Naturalnie, natychmiast po waszym lądowaniu połączyłem się z Radiant City.

— A zatem — powiedział rozradowany Ambador — Uprościłoby to sprawę, gdybyśmy mogli porozmawiać bezpośrednio z czołowymi przedstawicielami waszych władz. — Odwrócił się do Graydera. — Zdjęcia, kapitanie. — Grayder otworzył szufladę, wyjął ogromne powiększenia fotograficzne i rozłożył je na biurku.

— Cóż, gdybyście zechcieli wskazać nam dokładną lokalizację Radiant City — zaproponował Ambasador — przeniesiemy tum statek, co również i wam zaoszczędzi mnóstwo czasu i fatygi.

— Mam wam pokazać siedzibę rządu?

— Owszem.

— Nie jestem do tego upoważniony.

Ambasador zmierzył go wzrokiem.

— Z jakiego powodu?

— Najpierw muszę zapytać ich o zdanie — upierał się burmistrz.

— Ale dlaczego u licha nie miałbyś nam podać lokalizacji rządu? Jaką szkodę mogłoby to wyrządzić? Nie myślisz chyba, że zamierzamy go obalić, co?

— Nie mogę przyjąć odpowiedzialności za zawleczenie potencjalnej epidemii na naszą planetę — oznajmił stanowczo burmistrz.

— Epidemii? — Ambasador powiódł zdezorientowanym wzrokiem dookoła kabiny. — Czego?

— Nie życzymy sobie żadnych terrańskich chorób — oświadczył burmistrz. — Jeśli centrum infekcji ma sąsiedować z Radiant City, potrzebne jest na to oficjalne zezwolenie.

— Szczerze powiedziawszy, nie pojmuję, o czym mówisz — zawołał Ambasador. — Przecież pochodzicie z Terry, więc wszystkie choroby, na które zapadacie, także muszą być terrańskie.

— Nie zapadamy na żadne choroby, poza lekkim przeziębieniem.

— I lumbago — uzupełnił radca.

— Oraz sporadycznymi bólami brzucha — wtrącił drugi i pospiesznie dodał: — Wskutek nieprawidłowej diety. Nie wolno popełniać takich błędów. Jeśli się je popełnia, trzeba być przygotowanym na cierpienia. Dieta ma wielkie znaczenie.

— To prawda, Rampot — zgodził się trzeci. — W zdrowym ciele zdrowy duch.

— Posłuchajcie — wtrącił Ambasador. — Chcę dojść do porozumienia z waszym rządem.

— W jakiej sprawie? — spytał z lisią miną burmistrz, przebierając palcami w brodzie.

— Zawarcia traktatu wojskowego.

— Wojskowego? — Burmistrz Bouchaine przymrużył oczy tak mocno, że prawie zniknęły. Potrzebował trochę czasu na intensywne myślenie, po czym przyznał: — Spotkałem gdzieś to słowo, prawdopodobnie w książkach historycznych. Ale na śmierć zapomniałem, co oznacza.

— Nie macie ani armii, ani żołnierzy?

— Armii? Żołnierzy?

— Żadnych rycerzy ani wojowników?

— Ach, tak, wojownicy. — Zarośnięte oblicze burmistrza okazało nagłe zrozumienie. — Mamy dużą liczbę bokserów i zapaśników. Silnych, muskularnych i fantastycznie wysportowanych, zapewniam cię. Widziałem kiedyś, jak jeden rzucił czterech Douków do rzeki i na wskroś przemokli. Powiadam ci, że...

Pułkownik Shelton słuchał tego z niedowierzaniem. Nagle nie wytrzymał i zapytał:

— Czy przepędzając tych Douków, zabiliście choć jednego?

— Słyszeliście? — zapytał burmistrz swoich rajców, którzy mieli identycznie przerażone miny. Rozejrzał się dookoła, jakby szukał miejsca do wymiotowania.

— No, co im zrobiliście? — nalegał Shelton.

— Przetrzepaliśmy im tyłki — oświadczył burmistrz takim tonem, jakby stwierdził rzecz oczywistą.

Wyraźnie zde gustowany pułkownik nie dawał za wygraną.

— A co byście zrobili, gdyby zaatakowała was forma życia tak obca i dziwaczna, że nie moglibyście poznać, gdzie ma przód, a gdzie tył.

— Jaką formę życia masz na myśli?

— Tę, która może pojawić się nagle i niespodziewanie.

— Skąd?

— Skądś z przestrzeni kosmicznej.

— Tłusta dieta i niezdrowy tryb życia powoduje złe sny — moralizował burmistrz. — My nigdy nie mamy złych snów.

— To będzie coś gorszego od złego snu, kiedy naprawdę się wydarzy — naciskał Shelton.

— Nie wydarzyło się przez ostatnie czterysta lat i nie ma powodów do przypuszczeń, że zdarzy się w ciągu najbliższych czterech tysięcy.

— Jesteście w zbyt kiepskiej sytuacji na snucie jakichkolwiek przypuszczeń — wskazał Shelton. — Nie macie statków, nie prowadzicie badań kosmicznych. Obijacie się na golasa i czekacie na cios.

— To prawda — wtrącił Ambasador. — Być może i waszą planetę zamieszkiwały wcześniej istoty nie zaliczające się do ludzi. Sami byli sobie winni, jeśli dali się zasko-

czyć, gdy spadliście na nich z nieba. Zapewne rozumiecie, że to, co zrobiliście innym, może się powtórzyć? Gdyby obca inteligencja rozprzestrzeniła się nagle wśród gwiazd i zagustowała w Higiei...

Burmistrz zastanowił się przez chwilę.

— Tak, racja — odparł. — Ktoś może powtórzyć nasze... Jeśli ten ktoś w ogóle istnieje. Ale nie do mnie należy rozstrząsanie takiego hipotetycznego problemu. Przekażę to rządowi.

— Świetnie — wykorzystał Ambasador.

— Oni jednak na pewno zapytają — ciągnął burmistrz — co to wszystko ma wspólnego z Terrą? Jakiej odpowiedzi mam udzielić?

— Że bezlitosny wróg może błyskawicznie podbić kilka słabych, niezależnych światów, jeden po drugim. Ale sytuacja będzie wyglądała zupełnie inaczej, jeśli powstanie silna konfederacja, pozostająca w ścisłej łączności ze sobą, zjednoczona dla odparcia wspólnego wroga. Terra uważa zatem, że najwyższy czas podjąć niezbędne działania dla osiągnięcia wzajemnego porozumienia.

— Jakie działania?

— Na początek — odparł bez zająknięcia Ambasador — chcielibyśmy na Higiei ustanowić konsula. Działałby jako nasz przedstawiciel, zwykły symbol władz terrańskich. Oczywiście, wyposażylibyśmy go w niewielki personel do zajmowania się sprawami codziennymi. I w ochronę osobistą.

— Ochronę osobistą? Po co?

— Aby go strzegła przed atakiem z zewnątrz. Zrozumcie, konsul ma prawo do takiej ochrony, a my ponosimy za niego odpowiedzialność. Jedna kompania w skła-

dzie czterdziestu lub pięćdziesięciu żołnierzy uzbrojonych w nowoczesne środki walki. Stanowiliby poza tym cenny wkład w wasze własne bezpieczeństwo — dodał Ambasador, rozplývając się w uśmiechu najszczerzej życzliwości. — Chcielibyśmy też postawić dwa silne nadajniki dalekiego zasięgu, no i zostawić tu odpowiednią liczbę techników dla konserwacji urządzeń.

— Utrzymujących nas w stałym kontakcie z Terrą? — domyślił się burmistrz, nawiązując do pluskiew w ścianach.

— Tak, oczywiście. Szybka łączność jest sprawą zasadniczą w przypadku wojny kosmicznej. Jak moglibyśmy przyjść wam z pomocą, nie wiedząc, że jej potrzebujecie?

— No, nie wiem — oświadczył burmistrz. Nie mógł znaleźć zadowolającej odpowiedzi, domyślał się jednak, że widzi dopiero wierzchołek góry lodowej. — Połączę się z centralą. Decyzje należą do nich.

— Zrób to — pochwalił Ambasador.

Gleed zaprowadził ich do śluzy powietrznej i obserwował, jak schodzą po trapie na dół. Gerpongo oderwał pośladki od ziemi, pogmerał w torbie i wyjął urządzenie w kształcie gaśnicy. Tamci stanęli w szeregu i otworzyli usta, a Gerpongo każdego po kolei spryskał. To była skrupulatna robota: najpierw usta, a później tułów, od przodu i od tyłu. Do śluzy wtargnął zapach lekko przypominający smołę i cynamon. Pierwszy oficer Morgan stanął obok Gleeda, kiedy sierżant z obrzydzeniem kichnął.

— A więc pogawędka się skończyła? — zapytał Morgan.

— Tak. Teraz mają ręce pełne roboty przy zabijaniu wielkopańskich wszy albo czegoś podobnego. Boją się, że mogą zawlec do domu we włosach terrańskie pasożyty.

— Jeśli kapitan jest już wolny, to zgłoszę się do niego w sprawie tej pierwszej tury. Ty jesteś na niej, tak?

— Tak. Ale nie wiem, czy warto — odparł sierżant.

— Nie warto opuścić tej metalowej puszkii na parę godzin? Nie warto przejść się po dobrej, twardej ziemi, skoczyć do miasta, popatrzeć na światła i neony, zabawić się porządnie? Chory jesteś, czy jak?

— Mam złe przeczucia.

— Co do czego? — spytał Morgan.

— Że wszyscy w tej dziurze będą nas starannie unikać. A jeśli ktoś w ogóle się do nas odezwie, to najwyżej z odległości dziesięciu metrów, wachlując powietrze w naszą stronę.

— To odwachluj je z powrotem. Obroną przed wonią zarzucaną jest smród urojony.

— Niezły bal, co? — westchnął Gleed. — Szczyt wesołej zabawy? Każdy zionie powietrzem na drugiego. Chłopie, tak mnie to rajcuje, że nie mogę się doczekać.

— W najgorszym razie przeżyjesz jakąś przygodę — odparł Morgan. — Idę pogadać z Grayderem. — Opuścił służbę powietrzną i poczłapał w głąb korytarza. Zatrzymał się przed drzwiami sterówki, zapukał i wszedł do środka, a następnie położył kartkę papieru na biurku kapitana.

— Pierwsza tura na ląd, kapitanie. Zgadza się pan? Grayder ze znużeniem westchnął.

— Panie Morgan, główny problem polega na tym, że na łodzi wszyscy, przez cały czas, muszą bawić się, jak załozde statku kosmicznego przystało. Muszą respekto-

wać i przestrzegać wszelkich lokalnych zwyczajów i tradycji oraz wystrzegać się wszystkiego, co może wzbudzić niechęć u tubylców.

— Tak jest — zgodził się Morgan. — Wydam kategorię instrukcję w sprawie pijaństwa i awantur.

— Nie martwię się o trzeźwość lub jej brak u moich ludzi, panie Morgan. Myślę o ich ubraniu.

— Zawsze sprawdzamy ze starszym sierżantem Bidworthym schludność załogi przed zejściem na ląd — zapewnił go Glead. — Każdy, kto nie odstawi się na chlubę tego statku, z miejsca...

— Są różne koncepcje odnośnie tego, co stanowi chlubę — zauważył Grayder. — Na przykład kondycja fizyczna.

— Tak jest — odparł Morgan, nie mając pojęcia, do czego kapitan zmierza.

Grayder wyłożył to bez osłonek.

— Panie Morgan, obawiam się, że ludzie będą musieli zejść na ląd bez ubrania.

— Bez ubrania? — Na twarzy Morgana wyrósł grymas niewypowiedzianego przerażenia. — Nago?

— Zgadza się, panie Morgan. Ci Higiejanie to istni dziwacy. Ich zdaniem zdrowiej i przyzwoiciej jest chodzić na golasa. Na razie nie jesteśmy w stanie narzucić im lepszych koncepcji, toteż musimy zaakceptować ich zwyczaje i odpowiednio się przystosować. Kto chce iść do miasta, musi to zrobić nago.

— Ależ kapitanie...

— Nikomu nie zabraniam wychodzić — podkreślił Grayder.

— Uznaję prawo każdego do spędzenia wolnego czasu w przyjaznym świecie. Ale nie mogę pozwolić na to, aby spór o czyjeś gatki wywołał rozruchy. Załoga będzie musiała zażywać wolności w strojach z dnia swego urodzenia — i to jest rozkaz.

— Mój Boże! — zakrzuszył się Morgan.

— Mogą mieć buty — dodał kapitan. — Higiejanie noszą sandały.

Nagle Shelton spurpurowiał na twarzy:

— Może pan robić ze swoją załogą, co mu się żywnie podoba — zazgrzytał na Graydera — ale nie pozwolę moim żołnierzom paradować w samych butach.

Grayder nie chciał, by Morgan stał się świadkiem nieprzyjemnego zderzenia autorytetów. Z rezygnacją wzruszył ramionami, spoglądając błagalnie na Ambasadora. Ten zareagował natychmiast.

— Drogi pułkowniku, nie możemy pozwolić zejść na ląd obsłudze statku, a odmówić żołnierzom. Przywilejów nie wolno rozdzielać ze strachu i z łaski. Wyróżnienie części personelu na pokładzie naszego statku byłoby nadzwyczaj karygodne. Mogłoby wywołać zazdrość i urazę oraz zniszczyć serdeczne stosunki, jakie zapanowały między podwładnymi kapitana a pańskimi.

— Nie bronię moim żołnierzom zejścia na ląd — upierał się Shelton. — Twierdzę po prostu, że zgodnie z regulaminem powinni założyć mundury wyjściowe.

— Są inne regulaminy, pułkowniku. Kapitan Grayder przed chwilą powiedział, że zasada respektowania lokalnych zwyczajów musi być ściśle przestrzegana. Co pan na to?

— Zasada noszenia właściwej odzieży na urlopie jest równie ważna.

— Tutaj właściwą odzieżą jest para szykownych sandałów

— powiedział Ambasador. — Z braku sandałów musimy używać butów. Czy bierze pan na siebie całkowitą odpowiedzialność za wszelkie kłopoty wywołane ordynarną nieprzyzwoitością pańskich ludzi?

— Na miły Bóg! — wybuchnął Shelton. — To przecież Higiejanie są nieprzyzwoici.

— Oni uważają odwrotnie. A nasi ludzie zamierzają odwiedzić ich miasto.

Grayder uświadomił sobie, że taka dyskusja może trwać w nieskończoność, a oszołomiony Morgan słucha ich z wytrzeszczonymi oczami.

— Wasza Dostojność, może pułkownik będzie taki dobry i zaakceptuje pański oficjalny rozkaz, aby jego ludzie zeszli na ląd rozebrani?

— Będzie pan, pułkowniku? — spytał Ambasador.

— Pod ogromną presją — odparł Shelton. W głębi duszy cieszył się, że zdjęto z niego odpowiedzialność.

— Bardzo dobrze — westchnął Ambasador i powiedział do Morgana: — Grafik jest zatwierdzony pod warunkiem, że urlopowicze pójdą bez ubrania.

Morgan sięgnął po listę.

— Nie wiem, co ludzie na to powiedzą — jęknął.

— Ja też — zauważył Ambasador. — Ale ich reakcja powinna być interesująca.

Morgan wyszedł lekko oszołomiony.

5

Człapiąc w stronę rufy, Morgan napotkał Gleeda i powiedział do niego:

— Mam wiadomość dla ciebie.

— Słucham. — Sierżant nie mógł się doczekać. — Intrygujesz mnie.

— Masz się rozebrać.

— Co?

— Możesz iść do miasta, ale na golasa.

— Cha, cha, cha, dobry kawał — roześmiał się Gleed.

— To rozkaz — potwierdził Morgan.

— Czyj? Graydera? Ja nie muszę słuchać jego rozkazów.

— To wspólny rozkaz Jego Dostojności, pułkownika i kapitana. Wcale z ciebie nie żartuję. Wszyscy, którzy idą do miasta, mogą zabrać tylko parę butów i jakiś szampon do włosów. Lepiej idź i przygotuj swoich chłopaków na szok — ja poinformuję załogę.

Powiedziawszy to, oddalił się ze skwaszoną miną. Gleed chwilę się wahał, doszedł jednak do wniosku, że Morgan to oficer zbyt przekonany o swojej wartości, by zniżyć się do dziecińczych żartów. Popędził w stronę żołnierskich kwater i w połowie drogi natknął się na Bidworthy'ego.

— Proszę mi wybaczyć, sierżancie — zaczął z wielkim szacunkiem. — Czy pan coś wie o tym rozkazie, że ludzie mają iść na urlop bez ubrania?

Bidworthy powoli zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i z równą ospałością od głów do stóp.

— Ile lat służby macie już za sobą?

— Dwadzieścia.

Starszy sierżant nisko pochylił głowę.

— Dwadzieścia lat służby. Trzy belki. Sierżant pełną gębą. A wciąż słuchacie koszarowych plotek.

— Powiedział mi o tym pierwszy oficer Morgan — zaprotestował Gleed.

— Widocznie ma spaczone poczucie humoru. Ale wojskowy w waszym wieku i stopniu powinien mieć więcej rozumu i nie nabierać się na takie bzdury.

Gleed okazał diabelską przebiegłość.

— A więc pan wydał rozkaz, że mamy iść w wyjściowych mundurach?

— Ja go nie wydawałem — zaprzeczył Bidworthy. — Wcale nie musiałem tego robić. To jest sztywny punkt regulaminu, który wszyscy świetnie znają. Co więcej, dokonam rutynowej inspekcji dla pewności, że jest przestrzegany. Nie chciałbym być na miejscu tego, kogo przyłapię w niewłaściwym stroju. — Urwał, po czym dodał złowieszczo: — Choćby nawet był nim sierżant.

Nim Gleed zdążył wymyślić stosowną odpowiedź, jakiś żołnierz wystawił głowę zza sąsiednich drzwi.

— Przepraszam, szefie, pułkownik dzwoni do pana przez interkom. Będzie pan stąd rozmawiał?

— Tak.

Bidworthy pospiesznie wszedł do kajuty, nie zamykając za sobą drzwi. Była to dla Gleeda zbyt silna pokusa, pozostał na korytarzu i nadstawił uszu.

— Słucham, pułkowniku! — zagrzemiał gburowaty głos starszego sierżanta. — Tak jest. Pierwsza tura. CO? — Następne słowa wystękał człowiek, który się dusi: — Czy ja pana dobrze słyszę? Jak to, nago? Pułkowniku, przecież regulamin... — kolejne zadławienie. — Rozumiem, pułkowniku. To rozkaz.

Dał się słyszeć trzask odkładanej słuchawki. Szereg ciężkich sapnięć. Kiedy Bidworthy ukazał się w drzwiach, wyglądał jak lustерko. Z twarzą niczym po ataku apopleksji przemknął obok Gleeda, nie zwracając nań uwagi.

Po chwili Gleed wpadł do pierwszej sypialni i rozejrzał się dookoła władcym wzrokiem. Kilku żołnierzy leżało na pryczach z nosami w książkach, inni grali w karty, pozostali szcztokowali bluzy albo prasowali spodnie. Na najbliższej pryczy szeregowiec Piatelli z mozołem pucował buciory.

— Idziecie w pierwszej turze? — spytał Gleed.

— Tak, sierżancie.

— To wypucujcie je tak, żeby lśniły jak nigdy przedtem. Zwyczajny połysk nie wystarczy. Nawet galowy to za mało. To musi być blask fantastyczny.

— Dlaczego?

— Dlatego — odparł Gleed — że te chodaki będą waszym jedynym przyodziewkiem.

— Jedynym? — zdziwił się Piatelli.

— Przecież mówię.

— Zostałem skreślony z listy wychodzących? Wstrzymano mi urlop? Dlaczego padło właśnie na mnie? Nie zrobiłem nic złego.

Tymczasem czytający odłożyli książki, gracze rzucili karty na stoliki, pochyleni nad spodniami wyprostowali

grzbiety. Wszyscy patrzyli na Piatellego. Ten nieśmiało zaaplikował butom jeszcze dwa przetarcia, a później powtórzył skargę:

— Dlaczego padło właśnie na mnie?

— Bardzo niechętnie pozbawię cię glorii męczennika — powiedział Gleed. — Ale muszę stwierdzić, że to padło na każdego. Na wszystkich bez wyjątku. Jest rozkaz, że mamy wyjść nago, od przodu i od tyłu.

— Nie! — zawołali czytający.

— Nie! — chórem zaśpiewali karciarze.

— Nie! — wykrzyknęli prasowacze.

— Tak! — obstawał Gleed.

Piatelli cisnął butami o podłogę.

— To kicham na urlop. Nie idę.

— Dlaczego? — zdziwił się Gleed. — Zdobi cię lubieżny tatuaż?

— W mieście będzie mnóstwo kobiet.

— No to co? Przecież twoja mamuśka też była kobietą. Nie zobaczą niczego więcej ponad to, co widziała ona.

— To wielka różnica.

— Jeśli dobrze pamiętam — ciągnął Gleed — należałaś do batalionu, którego badania medyczne przeprowadzała kobieta. Nie przypominam sobie, żebyś się o to pieklił.

— To była zawodowa lekarka. Matki i lekarki to coś innego niż zwykłe kobiety.

— Higiejańskie kobiety to też coś innego. Oni wszyscy to banda nagusów. Co znaczy jeden więcej wśród miliona gołych facetów?

— Nic mnie to nie obchodzi — odparł Piatelli. — Nie pójdę, jeśli nie będę miał na sobie przynajmniej gatek.

— Tchórzostwo w obliczu wroga — warknął Gleed.
— Zdumiewasz mnie, Piatelli. Brak ci charakteru i odwagi.

— To lepsze niż brak odzieży — mruknął Piatelli.

— Pan figuruje w pierwszej turze, sierżancie — zawołał kłós. — Idzie pan?

— Tylko w towarzystwie — odpowiedział. — Nie widzę niczego zabawnego w wygłupianiu się samemu.

Opuścił salę wśród zgiełku, wszedł do sąsiedniej i przekazał tę samą wiadomość. Potem do następnych. Kiedy skończył, nikt leszcze nie miał tej informacji od Bidworthy'ego. Starszy sierżant doszedł do wniosku, że już sama zgoda na pogwałcenie regulaminu była tak nieprzyzwoita, iż nie miał prawa stać się także instrumentem jej rozpowszechniania.

O dziesiątej rano ośmiu mężczyzn równało szereg w środkowej komorze powietrznej. Mieli oni być zachętą dla pozostałych dwustu, którzy postanowili odłożyć zejście na ląd, póki nie dostaną z pierwszej ręki informacji o szczegółach wycieczki na golasa. Spośród tych ośmiu pięciu należało kiedyś do różnych stowarzyszeń miłośników kąpiele słonecznych i odważnie stawiało czoło znajomym perspektywom. Szósty był zawodowym kulturystą i marzył o zademonstrowaniu piękna swego ciała. Siódmy robił to dla zakładu. Ósmym był Gleed, zdecydowany bronić prawa każdego człowieka do zejścia na ląd bez względu na okoliczności.

Nadszedł Bidworthy. Charakterystyczne wypieki na jego twarzy upoważniały do podejrzeń, że zdążył kilka razy pociągnąć na rozgrzewkę z butelki. Stał nos w nos z pierwszym żołnierzem, wzgardliwym spojrzeniem przeszył jego ciało i skupił uwagę na butach. Widać było, że

starszy sierżant cierpi z powodu braku hełmów do wyrównania, pasów do zaciśnięcia i guzików do przyszycia. Jego postawa była identyczna wobec wszystkich, którzy prężyli się przed nim na bacność, póki nie doszedł do Gleeda. Tu wreszcie znalazł coś, do czego mógł się przyczepić.

— Jak to się stało — zapytał z przesadną kurtuazją — że nie zostałem dotąd poinformowany o waszej nagłej degradacji?

Gleed spoglądał na niego z tępą miną.

— Gdzie wasze dystynkcje? — ryknął Bidworthy.

— Na bluzie od munduru, szefie — odparł Gleed z najbardziej rozbrajającym uśmiechem, na jaki mógł się zdobyć. — Nie mam jej na sobie w tym momencie.

— Czyżby? Dzięki za informację. Nigdy bym się nie domyślił, gdybyście mi tego nie powiedzieli. — Zirytował się trochę i krzyknął: — Przyczepcie jakoś te dystynkcje. Wszystko mi jedno jak. Namalujcie, jeśli trzeba. Wasza go-lizna nie oznacza, że zwolniono was ze służby w Korpusie Kosmicznym i przestaliście być podoficerem. — Z tymi słowy wyszedł gniewnym krokiem ze służby, przystając na progu po to tylko, by odwrócić się i zawołać: — Boże, dopomóż!

— Zdaje się, że coś zżera Sekstusa Sadystę — bąknął zawodowy kulturysta, wypinając klatkę piersiową, i dumny jak paw przemaszerował wokół szeregu. — Idzie pan z nami, sierżancie, czy sam?

— Najpierw muszę przyczepić te cholerne dystynkcje. Jak to zrobić?

— Niech pan odwiedzi szeregowca O’Keefe’a w czwartej sali — zaproponował któryś. — Gość ma całą walizę pomadek.

— Dobrze. Zaczekajcie na mnie, chłopcy.

Poszedł do czwartej sali i odnalazł O’Keefe’a, który siedział na pryczy i ćwiczył sztuczkę kuglarską z dwiema kolorowymi piłeczkami i jedwabną chustką. Pozostali lokatorzy wybałuszyli oczy na wchodzącego nagusa bez najmniejszego szacunku dla szarży.

— Czy to prawda, że masz pomadki? — zapytał Glead, ignorując brak respektu dla swojej osoby.

— Pomadki? — O’Keefe skrzywił się z obrzydzeniem. — Za kogo mnie uważasz? — Wyjął spod pryczy pudełko, otworzył je i wysypał stertę znaczonych kart do gry, druczane łamigłówki oraz podobne akcesoria. Wyszperał między innymi płaską tackę wypełnioną rodzajem kolorowych świeczek. — Szminki teatralne - oznajmił. Wyłowił sztuczną brodę, kruczoczną i puszystą. — Chcesz przymierzyć?

— Nie... Muszę mieć dystynkcje. Pomyślałem, że może udałoby ci się namalować mi je gdzieś nad łokciem.

— Przepraszam — odparł rozbawiony O’Keefe — ale jako zwykły szeregowiec nie mam prawa awansować cię na sierżanta.

— Weź się do roboty i zrób mi te trzy belki — zagroził Glead — bo kiedy znowu obejmę służbę, to przyprawię wszystkich o dreszcz zgrozy na twój widok.

Podstawił ramię z napiętymi mięskami, a O’Keefe zrobił, co mu nakazano. Glead z zadowoleniem obejrzał rezultaty jego pracy i gniewnym wzrokiem obrzucił pokładających się ze śmiechu widzów.

— No, co tak chichoczekcie jak mały? Nie widzieliście nigdy nagiego faceta?

— To nie to, sierżancie — odparł jeden. — Chodzi o buty. One tu nie pasują.

— Ba! — roześmiał się Glead. — Po prostu brak nam sandałów, więc muszą być buty. — Wyszedł z sali i udał się do służby powietrznej. — Teraz jestem wzorem krawieckiej doskonałości. Idziemy, panowie.

Na ląd zeszli w ośmiu. Nie zwracając uwagi na osobiste i złośliwe uwagi wykrzykiwane ze statku, skręcili na słabo widoczną ścieżkę, którą Higiejanie wydeptali w polu jęczmienia. Narzucili sobie dobre tempo i niebawem wyszli ze zboża na wąski trakt, który wiódł do miasta. Nie było na nim żadnego ruchu, jedynie daleko z tyłu rysowało się coś w rodzaju konia i wozu.

— Chłopie, ale mnie rajcuje! Wszystko, żeby choć na chwilę uciec od Bidworthy'ego i tej przeklętej blaszanej puszki — rozochocił się Yarrow, jeden z amatorów kąpiei słonecznych. — Poszedłbym na dwumetrowych szczydłach, gdybym musiał. Nie pojmuję, dlaczego reszta tak się boi.

— Zwróciłeś uwagę? Same wojsko. Żadnego członka załogi. Ani jednego — zauważył wesoły kompan, szeregowiec Kinvig.

— Cykory — zawyrokował Yarrow.

— Ojej, różoskórki! — rozległ się przenikliwy głos.

Spojrzeli zgodnie w stronę źródła dźwięku. Na murku siedziało dwóch dziewiętnastoletnich chłopców, nagich i opalonych na brąz. Pokazywali ich palcami.

— Różoskórki! — pisał jeden.

— Umrzyki! — próbował go zakasować drugi, zanosząc się głupim śmiechem.

— Nie zwracajcie uwagi — szepnął Gleed, maszerując przed siebie z obnażoną godnością.

— Różoskórki! — wrzasnęli zgodnym chórem. — Chorowite zdechlaki!

— Chyba nie podoba im się nasza cera — poskarżył się Kinvig, bardzo zmartwiony takim obrotem sprawy.

— Za kilka dni będziemy brązowi jak oni — oznajmił Gleed. — Czuję, że już ciemniej.

— Możliwe... Mimo to nie lubię, żeby mnie porównywać do trupa. Za kogo te szczeniaki się mają?

Wreszcie tuż przed nimi ukazało się miasto oraz dwaj mężczyźni, wychodzący im naprzeciw. Nie mogli ich nie zauważyć, każdy z nich miał bowiem około dwóch metrów dwudziestu wzrostu, a zbudowani byli jak rozplodowe byki. Ważyli około stu pięćdziesięciu kilogramów każdy i zdobiły ich srebrne krążki z inskrypcją, wiszące u szyi na cienkim łańcuszku.

Zatarasowali żołnierzom drogę i kazali się zatrzymać, obrzucając każdego spojrzeniem obrzydzenia i pogardy.

— Jesteście Terrańczykami? — zapytał jeden niskim, władczym tonem.

— Przecież to widać, Lashman — zauważył drugi. — Bładzi, wychudli, z niedowagą, rujnujący sobie nogi koślawym obuwiem.

— Wiem, Fant — odparł Lashman. — Musimy jednak dopełnić formalności w tej sprawie. — Skoncentrował uwagę na Gleedzie z powodu jego szminkowych dystynkcji. — Terrańczycy?

— Owszem — powiedział sierżant, akceptując rolę rzeczownika.

— Dokąd idziecie?

— Nie twoja sprawa — burknął Gleed.

— Moja. — Lashman pokazał na krążek, który lśnił na jego szerokiej klatce piersiowej. — Należymy do Straży Publicznej. Mamy prawo zadawać pytania. Dokąd idziecie?

— Do miasta.

— Kto dał wam pozwolenie?

Gleedowi nie podobała się ani sytuacja, ani wielkie rozmiary Strażników, uznał zatem, że trochę uprzejmości nie zaszkodzi.

— Nasz dowódca. Odbył rozmowę z waszym burmistrzem i w wyniku jej dał nam urlop.

— Pokażcie zatem certyfikat okadzenia.

— Certyfikat czego?

— Okadzenia — powtórzył Lashman, szepcząc na stronie do Fanta: — Przytępiony słuch. Konieczne przepłukanie uszu.

— Kanaliki zatkane brudem — przyznał Fant.

W tym momencie wystąpił z szeregu kulturysta, napiął mięśnie i zapytał agresywnym tonem:

— Kto mówi, że trzeba nas okadzić?

Lashman wyciągnął dłoń wielkości łopaty, chwycił atletę za kark, uniósł go w powietrze, po czym oznajmił jasno i wyraźnie:

— Zamknij gębę.

Następnie postawił go na ziemi. Ofiara bojaźliwie poczłapała na koniec szeregu.

— Okadzono was, czy nie?

— Jesteśmy zupełnie czysti. Nie pozwolono by nam opuścić statku, gdybyśmy byli nieczysti.

— Tak czy nie?

— Nie.

— Nie możecie wejść do miasta bez kontroli medycznej i dezynfekcji.

— Ojej, woskowaci! — pisnęło z daleka.

— Dlaczego? — zdziwił się Gleed. Był rozczarowany i zły. — Uważacie, że roi się w nas od chorób?

— Prawo to prawo. Skoro wam nie odpowiada, to każcie je zmienić.

— Tak się nie traktuje przyjaciół — upierał się Gleed. — Gdyby burmistrz zabronił nam wycieczki do miasta, poinformowałby nas o tym.

— Czy ktokolwiek go pytał? — wtrącił Fant.

— Nie wiem.

— Wobec tego możesz przyjąć, że nikt. Skąd wam przyszło do głowy, że możecie chodzić swobodnie po cudzym świecie?

— Ja...

— I dlaczego rzuciliście okrycia? — wpadł mu w słowo Lashman. — Dlaczego wystawiacie swoje ohydne ciała na widok publiczny? Nie wiecie, że to nieprzyzwoite i brzydkie?

— Jasny gwint! — Gleed wybałuszył oczy. — Mamy was we wszystkim naśladować.

— Nas? — Lashman zmarszczył brwi. — My nie pokazujemy ciał, które w czymkolwiek przypominałyby wasze. Gdybym był w połowie taki słaby i zgrzybiały, powiesiłbym się na najbliższej gałęzi. Ty też, prawda, Fant?

— Taak — odparł z nabożnym zapałem.

— Pokazujemy silne, zdrowe ciała — upierał się Lashman. — Takie jak to. — Klepnął się w sprężysty brzuch; zabrzmiało jak uderzenie w granitową skałę. — Coś, co warto obejrzyć.

— Uważacie się za dobrych, tak? — zapytał z najwyższą ironią szeregowiec Yarrow.

Lashman popatrzył na niego groźnie.

— Ktoś cię pytał o zdanie, patyczaku?

— Wracajmy na statek — oznajmił Gleed. — Złożę pułkownikowi raport. Może on podejmie jakieś działanie w tej sprawie.

— Ale co z naszym urlopem? — zaprotestował Kinvig. — Wymyka nam się z rąk.

— Co innego proponujesz? — spytał Gleed.

Kinvig nie potrafił nic wymyślić. Pozostali też. Jednocześnie atak na ogromne Straże Publiczne mógłby się powieść, ale rzecz jasna nie przyniosłby im klucza do raju. Przeciwnie, naruszenie nietykalności cielesnej zasługiwałoby na sąd wojskowy. Gdyby przeżyli, aby przed nim stanąć.

— Tak czy inaczej, ja wracam — oświadczył Gleed. — A wy, nędzne golasy, możecie robić, co chcecie.

Z tymi słowy zrobił w tył zwrot i odmaszerował. Zgodnie z oczekiwaniami reszta poszła za nim jak stado owiec, a Lashman i Fant pogardliwie spoglądali na nowy obraz.

Dreptali w ponurym milczeniu, pochłonięci smutnymi myślami i trochę źli. Wkrótce szli już obok muru. W pewnej chwili przeleciał nad nim kawałek darni i uderzył kulturystę w plecy.

— Jau-ha! — rozległ się okrzyk triumfu. — Szkielety!

— Idealnie w celu — zauważył z uznaniem Glead.

Uderzony przystanął, by z purpurową twarzą oznajmić wszystkim razem i każdemu z osobna:

— Za chwilę popełnię morderstwo.

— Nie, nie zrobisz tego — zarządził Glead, chwytając go za rękę. — Kontrakt nie obejmuje dzieciobójstwa. Nie zatrzymuj się, wracamy na statek. Do domu, ukochanego domu.

— Do domu — warknął Kinvig. — Pański dowcip mnie wykończy.

Maszerowali przed siebie, wysłuchując cichnących w oddali wrzasków zwycięstwa i obelżywych krzyków. Wkrótce napotkali wóz, który widzieli wcześniej. Był on zaprzężony do najprawdziwszego ziemskiego konia. Zwierzę przewracało ślepiami, jakby również nie mogło się nadziwić ich widokowi. Mimo że furman nie dorównywał rozmiarami Lashmanowi ani Fantowi, on leż był silnie umięśnionym osobnikiem. Poczęstował Terrańczyków głośnym prychnięciem, szarpnął za lejce i przynaglił konia do wolnego kłusu. Wiózł ładunek siana, w którym siedziały zagrzebane po szyję dwie kilkunastoletnie dziewczyny.

Kiedy ich mijaly, szeregowiec Yarrow zerknął do góry, po czym stanął jak wryty i zawołał tonem oczarowanej uwagi:

— Patrzcie, chłopcy. Najprawdziwsze, żywe panienki.

Dziewczęta pokazały na Yarrowa i zaniósły się niepo hamowanym chichotem. Jedna wykrztusiła jakąś uwagę

do drugiej, wywołując kolejną salwę śmiechu. Wóz powoli odjeżdżał, dziewczęta przytulały się do siebie i tonąc we łzach doprowadzały się do stanu bliskiego hysterii.

— Co je tak śmieszy? — gniewnie rzucił Yarrow.

— My — poinformował go Gleed.

Skreśli na swój poprzedni szlak wśród pól, podeszli do statku i zaczęli się kolejno wspinać. Każdy robił minę pielgrzyma, któremu odmówiono zbawienia, choć nie popełnił żadnego grzechu. W służbie powietrznej dziesiąty mechanik Harrison powitał ich z nie ukrywanym zdziwieniem.

— Co tak prędko?

— Odrzuciło nas lodowate przyjęcie — powiedział Yarrow. — Wróciliśmy, żeby się pokrzepić.

— Może wyskoczysz i sam spróbujesz? — zaproponował Kinvig.

— Nie omieszkam. Idę w trzeciej turze.

— Cóż to będzie za widok, golas na rowerze — do-gryzł mu Kinvig i pobiegł za innymi w głąb statku.

Ze skwaszoną miną ostatni wszedł do służby Gleed.

— Coś nie tak? — zagał Harrison.

— Jeszcze się pytasz. Cuchniemy w ubraniu, a bez ubrania cuchniemy jeszcze bardziej. Zamelduję o tej sprawie pułkownikowi.

Powiedziawszy to, skierował się do kabiny nawigacyjnej, zapukał, poczekał chwilę i wszedł. Wewnątrz nie było nikogo. Rzucił pod nosem przekleństwo i udał się do sterowni. Ta również była pusta. W końcu podążył za swą zwierzyną do kasyna oficerskiego i zapukał ponownie.

— Wejść! — odpowiedział jakiś głos.

Gleed wszedł z wojskową precyzją. Nie zwracając uwagi na dwanaście par zaskoczonych oczu stanął przed Sheltonem w pozycji zasadniczej z wysoko zadartym podbródkiem i rękami nieubłaganie przylegającymi do ud.

— Proszę wybaczyć, pułkowniku. Chciałbym zameldować, że...

— Co to ma znaczyć, u diabła? — warknął pułkownik, rozlewając drinka, którego trzymał w ręku. — Dlaczego zjawiacie się przede mną w tym poniżającym stanie? Kompletnie nagi! Wielki Boże! Czyście rozum postradali?

— Z całym szacunkiem, pułkowniku, idący na urlop dostali rozkaz, żeby się...

— W mojej obecności nie jesteście na urlopie — zaprotestował Shelton z bijącą w oczy irytacją. — Maszerujecie jak na defiladzie. Skoro sierżant nie zna regulaminu, to czego można wymagać od szeregowców?

— Tak jest, ale...

— Jak śmiecie paradować tutaj nawet bez przepaski i kłócić się ze mną? — Rozlał jeszcze więcej. — Idźcie się ubrać. Odpycha mnie widok waszej anatomii. Jak chcecie się u mnie zameldować, musicie to zrobić we właściwy sposób.

— Tak jest — odparł Gleed, z trudem przetykając ślinę.

Strzelił prawidłowo w daszek, którego nie miał, wykonał

w tył zwrot i odmaszerował. Przy drzwiach usłyszał głos Sheltona:

— Poniżające! Korpus Kosmiczny schodzi na psy!

Przybywszy do kwater dla podoficerów Gleed zrzucił buty, włożył szorty, usiadł na pryczy i wbił wściekły wzrok w metalowe przepierzenie.

— Co za życie! — westchnął oskarżycielskim tonem.
— Co za statek! Co za świat.

Ludzie rozmaicie reagowali na nowinę. Radykalna mniejszość opowiedziała się za wyprawą do miasta w mundurach, z bronią na ramieniu i za skuciem kilku higiejańskich mord gumowymi pałkami. Reszta filozoficznie przyjęła fakt, że Terrańczycy stanowią niepożądaną osobliwość i błyskawicznie zaprowadziła zwyczaj tytułowania się „modelami”.

Punkt kulminacyjny ogólnego zamieszania nastąpił, gdy jakiś żołnierz na pytanie Bidworthy’ego odpowiedział niewinnie:

- Model Wagstaff poszedł do umywalni.
- Co? Kto?
- To znaczy, szeregowiec Wagstaff, szefie modelu.

Po południu ludzie nie pełniący akurat służby znaleźli rozwiązanie. Polegało ono na tym, by opuścić statek, ale nie zbliżać się do miasta. Niektórzy wybrali się na spacer w przeciwną stronę, ku odległemu lasowi, kilku grało w piłkę ręczną, większość jednak zadowolila się wylegiwaniem na miękkiej, puszystej murawie, wchłanianiem promieni słonecznych i świeżego powietrza oraz leniwym rozmyślaniem nad tym, co też dowódcy wymyślą, by doprowadzić tubylców do opamiętania. Ponad połowa uważała, że żadna skuteczna akcja nie jest możliwa i nie zostanie podjęta.

— Kosmos to takie miejsce — zaznaczył inteligentnie szeregowiec Yarrow — gdzie wszystko może się wydarzyć, nawet nic.

— Żebyś wiedział, modelu — poparł go Kinvig. — Zwróciliście uwagę, jak wyższa szarża przezornie wzbrania się przed dawaniem przykładu nam, nędznym kreaturom? Czy Shelton próbuje wkroczyć do miasta, jak go Pan Bóg stworzył? A Jego Modelarnia Ambasador? Otóż — nie! Siedzą na tyłkach w kasynie oficerskim, sączą gorzałkę i czekają, aż czas upłynie.

— Boją się świecić golizną — zauważył szeregowiec Jacobi.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent władzy tych gości kryje się

w mundurach, medalach i galonach. Uważam, że powszechna nagość ma dużo plusów. Ściągnij z faceta całą odzież i kogo będziesz miał przed sobą? Kolejnego głupiego capa.

— Tak jest — zgodził się Yarrow. — Przyszliśmy na świat nadzy. Nikt by od tego nie umarł, gdyby tak zostało.

— A oszczędziłoby mnóstwo czasu, zachodu i szmalu — dorzucił Kinvig.

— Dałbym wszystko, żeby popatrzeć, jak Bidworthy udaje waźniaka w samym obuwiu — rozmarzył się Jacobi.

— Ja dałbym jeszcze więcej, żeby zobaczyć, jak Ambasador pyszni się spoza swojego grubego brzuszyska — odparł Yarrow. — Przypominałby maciorę w chlewie.

Szeregowiec Veitch, który leżał w pobliżu, ziewnął potężnie i oznajmił:

- Czy ja słyszę propagandę wywrotową?
- Cicho, modelu — rozkazał Yarrow.

Przyszedł Gleed, który miał już na sobie szorty i buty. Spojrzał w dół na leżących żołnierzy.

— Od ponad godziny lustruję okolicę przez silną lornetkę. Wygląda na to, że skoro Higiejanie nie mają ani samochodów, ani samolotów, to chyba brak im także ropy naftowej. Używają lokomotyw parowych i koni. Cały transport opiera się zapewne na parowozach i koniach. — Zamyślił się, jakby coś przyszło mu na myśl. — Czy któryś z was umie obchodzić się z osłem?

— Ja — podniósł głowę Veitch.

— Świetnie — ucieszył się Gleed. — Sierżant Schne-ed to prawdziwy stary osioł. Zameldujesz się u niego na służbę w kuchni.

Veitch wstał ociężale.

— Jak wystąpię z wojska, sprawię sobie siekiere — oznajmił z goryczą. — A potem odszukam niektórych ludzi.

— Czy ja słyszę propagandę wywrotową? — spytał Yarrow.

Veitch obrzucił go złym wzrokiem i powoli ruszył w stronę

trapu. Gleed położył się na zwolnionym miejscu, spojrzał na błękitne niebo, po czym bardzo głęboko i z lubością westchnął.

— Dziwię się temu Veitchowi. Siedem lat służby, a ciągle frajer. — Nikt się nie odezwał, toteż Gleed zapytał prowokująco: — Dobrze się bawicie, chłopaki?

— Umiem sobie wyobrazić ciekawsze spędzanie czasu — bąknął nieostroźnie Jacobi.

— Święta racja — przyznał Gleed. — Dogoń Veitcha i zamelduj się na służbę w kuchni.

Jacobi oddalił się bardzo niechętnie. Yarrow i Kinvig doszli wówczas do wniosku, że chyba będzie im wygodniej kilkaset metrów dalej. Przenieśli się, nim dalsza rozmowa mogła ujawnić fakt, że w kuchni przydałyby się jeszcze dwie pary rąk.

Gleed uśmiechnął się do siebie. Wyciągnął się na plecach i obserwował niebo, dopóki nie poczuł, że powieki robią mu się coraz cięższe i cięższe. Wkrótce zamknął oczy i odpłynął w sen. Chrapał w najlepsze od godziny, kiedy nagle się ocknął. Ktoś go trącał w łokieć. Był to Yarrow.

— Sierżancie, ten komitet powitalny znowu tutaj idzie przez zboże — powiedział.

Gleed wstał, wyteżając wzrok. Poznał burmistrza i jego świtę. Pędem ruszył do służby powietrznej, gdzie skorzystał z interkomu. Zgłosił się Grayder.

— Kapitanie, delegacja wraca.

— Przeprowadźcie ich do nawigacyjnej jak poprzednio, sierżancie.

— Tak jest.

Nie wypuszczając berła z ręki, burmistrz wszedł na pomost. Lekki wiatr rozwiewał jego bokobrody. Deputowani wspięli się za nim, na dole został tylko Gerpongo. Znów usadowił się na trawie, wziął w objęcia torbę z opryskiwaczem i wymownie spojrzał na próżnujących żołnierzy, jakby dawał do zrozumienia, że już dawno powinni się poddać zabiegowi.

Gleed zaprowadził delegację do kabiny nawigacyjnej i otworzył przed nimi drzwi, ale sam przezornie się wycofał, by nie wpaść pułkownikowi w oko. Uznał, że przez pewien czas lepiej będzie unikać wściekłego spojrzenia

Sheltona. Na kogo wzrok nie pada, na tego szarża nie wrzeszczy.

Burmistrz i deputowani weszli gęsiego, ustawiając się tak jak przedtem. Burmistrz pogładził swoją bródkę i uniósł totem.

— Zdrowym bądź.

— Dziękuję — odparł Ambasador. Bał się, że ta heca ze zdrowiem może zająć trochę za daleko.

— Zasięgnęliśmy opinii naszego rządu i po głębokim zastanowieniu postanowiliśmy przyjąć waszą propozycję — oświadczył burmistrz.

— Ach! — wykrzyknął z zachwytem Ambasador.

— Pod pewnymi warunkami.

Zachwyt ulotnił się równie szybko, jak się pojawił.

— Mianowicie?

Burmistrz wyjął z torby mapę, rozwinął ją na biurku Graydera i położył na niej palec.

— Widzicie, w tym punkcie, który leży niedaleko stąd na północ, wielka rzeka Sambar rozdziela się i opływa wyspę. To jest bardzo ładna wyspa, zdrowa i cała porośnięta zielenią. Zajmuje blisko tysiąc akrów i stanowi idealne miejsce na obóz izolacyjny.

— Izolacyjny? — powtórzył marszcząc brwi Ambasador.

— Możecie tę wyspę zająć pod warunkiem, że wasi ludzie odbędą tam kwarantannę przez jeden rok.

— Kwarantannę?

— Nie wolno im opuszczać wyspy i przebywać wśród nas przed upływem roku. Potem zaś muszą poddać się dezynfekcji i badaniom lekarskim u naszych specjalistów. Wszyscy, których uznamy za zbyt niedomagających,

pozostaną na wyspie, dopóki nie stwierdzimy, że ich forma fizyczna pod każdym względem będzie na to pozwalała. Wszelkie nasze decyzje w tych sprawach uznaje się za ostateczne.

— To wszystko?

— Oczywiście, że nie. Zrozumiałe, że umieścicie na wyspie swego konsula, jego personel i ochronę osobistą oraz dwa nadajniki dalekiego zasięgu z odpowiednią obsługą techniczną. Dokonawszy tego wszystkiego, nie zwiększycie w późniejszym czasie ich liczebności bez naszego zezwolenia.

— Czy coś jeszcze?

— Taak. — Burmistrz oblizał wargi. — Gdyby po roku jakaś liczba Terrańczyków otrzymała prawo swobodnego poruszania się, nie wolno im budzić odrazy w naszym społeczeństwie noszeniem ubrań. Nie możemy pozwolić na zatruwanie umysłów naszej młodzieży takim lubieżnym ekshibicjonizm mem. Terrańczycy muszą zasłużyć na swoje prawa, zachowując się z elementarną przyzwoitością, tak jak my. Nie prosimy o dużo.

— Raczej nie — przyznał trochę oszołomiony Ambador.

— Na koniec — podjął burmistrz — jeśli we właściwym czasie skojarzą się jakieś pary miłosne, a dopełnienie obrzędu ślubnego między Terrańczykiem i naszą kobietą zostanie uznane za korzystne, małżeństwa takie będą traktowane przez was jako urzędowo ważne. Rozumie się przez to, że pan młody otrzyma prawo stałego pobytu na Higiei. Nie wolno wam zmuszać go do porzucenia żony i rodziny w formie służbowego przeniesienia na inną planetę.

— Malkontenci będą mieli piękny sposób, aby zdezerterować z korpusu, kiedy tylko przyjdzie im ochota — wtrącił Shellon.

— I tak mogą dać nogę — zaznaczył Ambasador. — Wystarczy rzucić mundur do rzeki i roztopić się w gromadzie nagusów.

— Nielegalnie — mruknął pułkownik.

— Jeśli połowa ochrony pryśnie w krzaki, co za różnica, czy zrobili to legalnie, czy nie? — spytał Ambasador. — Nie ma ich, tak czy owak.

— Nie musimy ich do tego zachęcać, pokazując legalną dziurę w płocie — zaprotestował pułkownik.

Nim Ambasador zdołał wymyślić stosowną odpowiedź, burmistrz odezwał się z powagą:

— Zbyt dużo spraw przyjmujecie za pewnik i to bez realnego uzasadnienia.

— To znaczy? — zapytał Shelton.

— Najwyraźniej ulegacie złudzeniu, że wszyscy wasi mężczyźni to nieodparci uwodziciele i małżeństwo z nimi nasze kobiety będą uważały za wielki zaszczyt.

— Co złego w poślubieniu terrańskiego żołnierza?

— Na miłość boską — wtrącił Ambasador — drogi pułkowniku, wracajmy do tematu. Mamy coś ważniejszego do zrobienia niż dyskusowanie terrańsko-higiejańskiego szczęścia małżeńskiego. Musimy omówić warunki, na których można będzie na tej planecie ustanowić przedstawicielstwo. — Następnie zwrócił się do burmistrza. — Przepraszam, zaraz wracam.

Wyszedł, szybkim krokiem pomaszerował do kasyna oficerskiego i odnalazł porucznika Deacona.

— Poruczniku, przyjmijcie tu burmistrza z delegacją, kiedy my na osobności będziemy dyskutować ich propozycje. Usadźcie ich wygodnie w fotelach i podajcie jakieś trunki. — Mrugnął tłustym okiem do Deacona i dodał: — Dużo trunków.

— Dużo? — powtórzył Deacon.

— Przecież mówię. Ci nudyści są nazbyt zdrowi jak na mój gust, nazbyt krzepcy i zadowoleni z siebie. Byłoby dobrze, gdyby musieli taszczyć burmistrza do domu tak pijanego, że kurzyłoby mu się z bokobrodów. Mam nadzieję, poruczniku, że się rozumiemy?

— Tak jest, Wasza Dostojność... Chętnie się tym zajmę.

Po powrocie do kabiny w towarzystwie Deacona Ambasador zwrócił się do Higiejan:

— Chcielibyśmy omówić we własnym gronie wasze warunki, jeśli można. Porucznik zaprowadzi was do kasyna. Przekażemy wam naszą decyzję tak szybko, jak to tylko możliwe.

Goście nie zgłosili sprzeciwu i oddalili się w ślad za porucznikiem. Kiedy ich kroki ucichły, Ambasador zatarł ręce.

— Nie dajmy się wymanewrować — oznajmił z przejęciem. — Jest tylko jedna kwestia do rozstrzygnięcia — przyjmujemy ich propozycję, czy nie?

— To mi się nie podoba — stwierdził ponuro Shelton.

— Z powodu?

— To oni dyktują nam warunki, a nie my im.

— To jest ich świat — zauważył Grayder.

— Ale to będzie nasze zmartwienie, kiedy ktoś ich zaatakuje z kosmosu — odciął się Shelton. — Nasze siły są potężne, ich zaś znikome, tak więc główny ciężar walki spadnie na nas. Jeśli chcą terrańskiej ochrony, powinni kupić ją za naszą cenę.

— Sądzi pan, że istnieje duży popyt na ochronę, co? — spytał Ambasador.

— No pewnie. Mamy broń, statki i wojsko. Stanowimy potęgę przemysłową, mamy potencjał produkcyjny i kompetencję techniczną. Higiejanie nie mają nic, co zasługuje na uwagę, nawet ubrań.

— Może i tak — westchnął Ambasador. — Ale gdzie jest ten popyt, skoro nie ma nabywców?

— Kupią na pewno... Inaczej nie zdecydowaliby się przyjmować naszej oferty.

— Nie jestem tego pewien. Wątpię, czy naprawdę biorą pod uwagę zagrożenie ze strony Obcych i czy istotnie chcą traktatu o wzajemnej obronie. Podejrzewam, że poszli na ograniczoną współpracę, ponieważ na coś liczą. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby próbowali obrócić nasze uzasadnienie przeciw nam — pod pozorem hipotetycznego zagrożenia wyłudzić od nas rozmaite narzędzia mechaniczne. Albo jakieś inne rzeczy, na które mają ochotę. — Ambasador spojrzął na Graydera. — Co pan o tym sądzi?

— Lepszy rydz niż nic.

— Słusznie. Ta wyspa stanie się przyczółkiem dla Terry, nawet jeśli niewielkim i ograniczonym. Później znajdzie się jakiś pretekst do jego powiększenia. W końcu władze nie mogą od nas oczekiwać, że będziemy przemierzać galaktyki, konfiskując jedną planetę po drugiej wąż-

tłymi siłami jednego statku. Skoro wielka polityka wymaga brutalności, to niech wyślą całą armadę. — Urwał i myślał przez chwilę! — Akceptując ich ofertę — podjął — spełniamy misję, z jaką nas wysłano. Proponuję zgodzić się i pozostawić naszym miarodajnym czynnikom prowadzenie dalszych machinacji. Co panowie na to?

— Musimy odwiedzić jeszcze dwie planety — przypomniał Grayder. — Nie wiadomo, jakie trudności tam nas czekają. Ani ile czasu to zajmie. Im szybciej skończymy z Higieją i wyruszymy dalej, tym lepiej.

— Nie mogę was przegłosować — westchnął z ciężkim sercem Shelton.

— A więc mamy jednomyślność — stwierdził Ambasador.

Chodźmy im to zakomunikować, a potem przyłączymy się do libacji.

6

— Macie dziwne mniemanie o gościnności — oznajmił na powitanie burmistrz, wskazując czubkiem totemu na Deacona. — Zachęcał nas do rujnacji naszych przewodów pokarmowych alkoholem.

— To terrański obyczaj — wyjaśnił zaskoczony Ambasador.

— Nie wątpię — stwierdził burmistrz, dzielając zdanie, że Terrańczycy zdolni są do każdej podłości. — Skoro lubicie zamieniać się w zdegenerowanych opojów,

to wasza sprawa. Ale nie oczekujcie od nas, że weźmiemy udział w takiej deprawacji. Istnieje tylko jeden napój odpowiedni dla zdrowego umysłu w zdrowym ciele. — Odwrócił się do swoich rajców i zapytał: — A nazwa jego brzmi?

— Czysta źródłana woda! — odpowiedzieli zgodnym chórem.

— Radzę przyjrzeć się jej pod silnym mikroskopem, roi się od drobnoustrojów chorobotwórczych — zaproponował Ambasador. — Wygląda jak kompot z zarazków.

— Możliwe, ale tylko u was, na Terze — przyznał burmistrz. — A jeśli zbiorniki waszego statku są pełne tego paskudztwa, to życzę smacznego. — Zbył niemiłą kwestię machnięciem ręki i zmienił temat: — Podjęliście decyzję? Co mam zakomunikować rządowi?

— Akceptujemy waszą propozycję.

— Jak szybko zdołacie wylądować ludzi i sprzęt?

— Musimy przenieść statek na wyspę albo w najbliższą okolicę, gdzie będzie odpowiednie lądowisko. Nie możemy siadać gdziekolwiek, potrzebujemy twardego, skalnego podłoża.

— Wyspa się do tego nie nadaje. Są na niej lasy, ogrody i pola uprawne. Oraz mnóstwo budynków, wraz ze znakomitą salą gimnastyczną. Przydałaby się chyba naszym ludziom?

— Możliwe.

— Posadzenie obiektu latającego tej wielkości spowoduje masę niepotrzebnych szkód — stwierdził burmistrz. — Ziemia wokół Sambar jest zbyt miękka, poza tym jest tam dużo gospodarstw. Sądzę, że najprościej będzie wylądować ludzi i zaopatrzenie tutaj.

— A jak dotrą na wyspę? — spytał Ambasador.

— Ciężkiemu sprzętowi zapewnimy transport konny. Ludzie mogą iść.

— Pieszko? — zdziwił się Ambasador.

— Pieszko? — wykrzyknął Shelton, jakby pierwszy raz w życiu usłyszał to słowo.

— Trzydniowy marsz ich nie zabije — stwierdził burmistrz. — Nie wierzę, by wszyscy byli aż tacy słabi.

Ambasador zwrócił się do Graydera:

— Nie możemy wykorzystać paru kapsuł ratowniczych statku?

— Nie, Wasza Dostojność.

— Dlaczego?

— Nie nadają się do lotów na krótkie odległości.

— Ładne rzeczy. Wieziemy ludzi miliardy kilometrów w najnowszym, superszybkim kosmolocie, a ostatni odcinek każemy im pokonać na własnych nogach?

— A do czego służą nogi? — bąknął burmistrz.

Ambasador nie znalazł zadowolającej odpowiedzi, toteż musiał uciec się do kompromisu.

— No, trudno. Załogę i sprzęt wyładujemy tutaj.

— Możecie przygotować wszystko na jutro o świcie?

— Sądzę, że tak. A dlaczego?

— Przez noc zdołamy wyciąć trasę w polu i podstawimy na wzgórzu wozy konne. Dobrze byłoby zacząć wszystko jak najwcześniej, by podróżni mieli przed sobą cały dzień. Nieuleczalni alkoholicy i palacze będą się wlekli dwa razy wolniej od nas.

— Pan jeszcze nie zna moich żołnierzy — oburzył się Shelton.

— Proszę dać spokój, pułkowniku — rozkazał Ambasador i powiedział do burmistrza:

— Rano będziemy gotowi.

— W takim razie dam znać rządowi i poczynię niezbędne przygotowania.

Porucznik Deacon wyprowadził gości. U podnóża trapu odbyła się tradycyjna procedura odwyszawiania z Gerpongo w roli głównej. Ambasador stanął przed wizjerem i obserwował przedstawienie do samego końca. Wreszcie delegacja wynurzyła się z jęczmienia i weszła na drogę.

— Mam przecucie, że te dzikusy chętnie by się nas pozbyły — powiedział Jego Dostojność. — Im szybciej wystartujemy na kolejną planetę, tym bardziej będą się cieszyć.

— Pewnie zamierzają poderżnąć gardła wszystkim Terrańczykom, zaraz jak tylko statek odleci — zaryzykował Shelton.

— To nonsens, pułkowniku. Jeśli dotrzymają swojej części ugody, mają wszystko do zyskania, a nic do stracenia.

— Dlaczego więc mieliby chcieć jak najszybciej się nas pozbyć?

— Ze względów psychologicznych — odparł Ambasador, a na jego twarzy malowała się głębia myśli. — Godzą się przyjąć grupę naszych ludzi, zwłaszcza że mogą pokazywać ich palcem jako podłych szpiegów, nie podoba im się natomiast obecność statku. Symbolizuje władzę. Nie mogą mu przeciwstawić niczego podobnego. Sami statków nie produkują i z radością pomachają naszemu na do widzenia.

— Ja też nie będę za nimi tęsknił — westchnął Shelton. — Mam już dość golizny i bezczelności.

Ambasador wyjął z kieszeni cienką książeczkę i przejrzał ją.

— Dysponuję trzema konsułami z ekipą dwudziestu osób służby cywilnej każdy. Może powinienem zapytać, który chce objąć placówkę na Higiei? Po co wydawać zarządzenie, jeśli nie muszę? Ochotnik jest lepszy od rekruta.

— Według moich instrukcji ochrona także powinna składać się z samych ochotników — zakomunikował z dezaprobatą Shelton.

— To źle?

— Przepisy wymagają, by ochrona konsula była co najmniej w sile jednej kompanii: dwóch oficerów, ośmiu podoficerów i czterdziestu szeregowców. A co, jeśli zgłosi się mniej ludzi?

— Będzie musiał pan jakoś im się przypochlebić.

— Z całym szacunkiem, Wasza Dostojność, dowódca nie przypochlebia się podwładnym.

— To proszę przekonać niezdecydowanych, że alternatywą są dłuższe cierpienia pod pańskim butem. Zgłosi się więcej ochotników, niż pan potrzebuje.

— To robota w sam raz dla Bidworthy'ego — stwierdził Shelton. — Zwałę to na niego... Po to go tu mamy — dodał i wyszedł pospiesznie, by poszukać starszego sierżanta.

Godzinę później Bidworthy dokonał inspekcji w kwaterach żołnierskich Kompanii D. Stojąc przed wojskiem w wyzywającej pozie zmierzył każdego nienawistnym wzro-

kiem, odchrząknął i ryknął głosem nie znoszącym sprzeciwu:

— Terrański konsul szuka ochrony osobistej, która ma pozostać z nim na tej planecie. Następujący żołnierze zgłosili się na ochotnika: Abelson, Adams, Allcock, Baker, Barker, Bunting... — Tym samym tonem wyliczył stan osobowy Kompani D do ostatniego żołnierza, po czym zaszczekał: — Jutro o ósmej wymienieni ochotnicy zgłoszą się w pełnym rynsztunku przed środkowym włazem. Nieobecni zostaną oskarżeni o bunt i odpowiednio ukarani.

Na koniec zatopił w nich przeszywające spojrzenie, a mimo to szeregowiec Yensen wystąpił z szeregu.

— Bardzo przepraszam, szefie — przemówił nerwowo — ale ja nie podawałem swego nazwiska do...

— Co? — warknął Bidworthy. — Co mówicie? — Machnął mu listą przed nosem. — Jest tu wpisane, czy nie?

— Przypuszczam, że tak, szefie — zawahał się Yensen.

— Przypuszczacie? Nie macie pewności? Ośmielacie się wątpić w moje słowa? — Szarpnięciem rozprostował kartkę, przytrzymał ją przed oczami pozostałych żołnierzy i dźgnął grubym palcem. — Czyje to nazwisko?

— Moje — przyznał Yensen.

— A więc jest na liście. Nie możecie w jednej chwili zgłaszać się na ochotnika, a w drugiej rezygnować.

— Ale, szefie...

— Cisza! Skoro nie potraficie się zdecydować, moją rolą jest zrobić to za was — krzyknął, a później dodał ze straszną groźbą, która snuła się w powietrzu jak dym: — Pasowałoby wam wasze nazwisko na innej liście, Yensen?

— Nie, szefie — wypalił z nagłą rezygnacją Yensen. Cofnął się o krok, wstąpił do szeregu i zatopił się w zadumie.

— Kto jeszcze ma zamiar próbować sztuczek? — spytał Bidworthy, gotowy wezwać pluton egzekucyjny.

Nikt się nie odezwał.

— No. O ósmej. W pełnym rynsztunku.

Starszy sierżant odszedł, stukając stalowymi zelówkami swoich butów. Wkroczył do kabiny nawigacyjnej i strzelił obcasami:

— Pragnę zameldować, pułkowniku, że Kompania D w komplecie zgłosiła się na ochotnika.

— Naprawdę? — spytał z dumą i zadowoleniem Shelton. — To świetnie. Dziękuję, sierżancie.

Trzeba przyznać, że w pewnych, specyficznych dla siebie granicach, Higiejanie okazali się energiczni i wydajni. Całą noc pracowała grupa ich robotników i wycięła wśród dojrzewającego zboża ścieżkę szerokości dwóch i pół metra. Zaraz o świcie pojawiło się dwanaście koni i wozów, które ze skrzypieniem wjechały na szczyt wzniesienia i ustawiły się w jednej linii przed trapem. Wraz z nimi przybył tuzin nadmiernie umięśnionych Aktywistów Społecznych i jeden osobnik z haczykowatym nosem i bystrym spojrzeniem, który powyżej kolan nosił parę dekoracyjnych podwiązek. Kazał się zaprowadzić do kabiny nawigacyjnej, gdzie oznajmił z urzędową formalnością:

— Zdrowi bądźcie.

— Dziękuję — odparł Ambasador, z fascynacją przyglądając się podwiązkom.

— Jestem Smaile z Ministerstwa. — Wydostał z torby jakieś papiery i położył na biurku. — Oto dwa egzem-

plarze traktatu wynegocjowanego przez burmistrza Bouchaine'a. Podpisaliśmy je i prosimy również o wasz podpis.

— Dobrze — powiedział Ambasador, klepiąc się po kieszeniach w poszukiwaniu pióra.

— Polecono mi zwrócić waszą uwagę na dodatkową klauzulę, którą byliśmy zmuszeni włączyć — dodał Smaile. Sięgnął po pierwszy egzemplarz i odczytał na głos: — Terrański konsul na tej planecie będzie uważany za przedstawiciela swojego świata wobec całej Higiei, a nie tylko wobec jednej określonej części.

— Co to oznacza? — spytał podejrzliwie Ambasador.

— Jeśli Doukowie zechcą z wami handlować, muszą to czynić za naszym pośrednictwem. Nie możecie wyznaczyć dla nich odrębnego przedstawicielstwa. Oni i tak nie mają rządu. Nie uznają żadnej władzy, chyba że zwietrzą w tym interes. Nasz rząd jest jedyną władzą ustanowioną na Higiei. Musicie zwracać się wyłącznie do nas i do nikogo więcej.

Ambasador myślał przez chwilę.

— Nie widzę w tym nic złego — odpowiedział. — Po co zawracać sobie głowę jakąś małą, nie zorganizowaną bandą zdeklarowanych anarchistów?

Złożył zamaszty podpis i oddał jeden egzemplarz. Smaile schował go skrupulatnie do torby i ponownie zabrał głos.

— Czy wasi ludzie będą jechać nago, czy ubrani?

— Dlaczego pytasz?

— Najkrótsza droga na wyspę wiedzie przez dwa miasta i osiem dużych wiosek. Jeśli wasi ludzie upierają się przy tym, by jechać w ubraniach, będą musieli te miej-

scowości ominąć, nadkładając dwadzieścia pięć do trzydziestu kilometrów. Nie możemy wyrazić zgody na demonstrowanie rażącego wyuzdania w skupiskach naszej ludności.

— Niektórzy zobaczą ich bez względu na obronę drogę — zaznaczył Ambasador.

— Tak, niestety — zgodził się Smaile. — I zostaną znieważeni przez kawalkadę rozwiązanych ludzi. Nie możecie ich nakłonić, aby zdjęli odzież i chociaż przyzwoicie wyglądali?

— Niestety, nie mogę. Konsul stanowczo odmawia objęcia placówki, jeśli będzie musiał udać się na nią w negliżu. Skłoniłem go do tego jedynie obietnicą, że będzie mógł nosić to, co zechce. To samo dotyczy całego jego personelu.

— Skoro ich koncepcja wzniosłej dyplomacji oznacza publiczną demonstrację własnego zepsucia — skrzywił się Smaile — to nie odniosą większych sukcesów na tym świecie. Sądzę jednak, że nawet najbardziej zdeprawowani Terrańczycy mogą zejść kiedyś z drogi zła. Po pewnym czasie zdołamy ich uzdrowić... Liczę na to.

— Będziecie mieli duże pole do popisu — westchnął Ambasador, myśląc o wyznaczonym konsulu. Był to wysoki i chudy osobnik z czerwonym nosem, z którego nieustannie kapało. Po wyjściu Smaile'a Ambasador zwrócił się do obecnych: — Chyba są przeczuleni na punkcie Dookhoborsów, mimo niewielkiej liczebności tej zgrai. Wyraźnie traktują ich jako skaranie boskie. Muszę podkreślić to w moim raporcie dla Terry. Może któregoś dnia stwierdzimy, że byłoby korzystne pospieszyć na ratunek uciskanej mniejszości?

— A może nawiązać kontakt z Doukami w czasie pobytu na wyspie? — zasugerował Shelton.

— Myśl jest kusząca, obawiam się jednak, że nie byłoby to rozsądne. Mogłoby zepsuć obecny układ. Zachowajmy ich sobie na później, mogą stanowić dobry pretekst do tej lub innej akcji.

— Jakiej? — zainteresował się Grayder.

— No cóż, gdyby Terra doszła w przyszłości do wniosku, że należy utrzyć nosa tym Higiejanom, Doukowie mogą być dla nas swoistym alibi. Ponosząc wielkie koszty finansowe i ludzkie będziemy ich wyzwalać spod panowania okrutnych władców. Musi pan pamiętać, drogi kapitanie, że kiedy Terra uznaje za stosowne podjąć jakąś akcję, realizuje się ją z najbardziej wzniosłych powodów. W naszej polityce kosmicznej nie ma miejsca na działanie z niskich pobudek i wyrachowania. Źródłami jej są dalekowzroczna mądrość, najwyższe ideały oraz wartości duchowe. Czyż nie tak, pułkowniku?

— Taak — bąknął w półśnie Shelton.

— Poliglota — skomentował Ambasador. — Trzy dni i już płynnie mówi w miejscowym narzeczu.

— Hmm? Słucham, Wasza Dostojność? — bąknął Shelton, wracając do przytomności.

— Mniejsza z tym. Chodźmy popatrzeć, jak stawiamy pierwszy, epokowy krok ku wielkiemu imperium.

Opuścił kabinę, pozostali ruszyli za nim. Dotarli do śluzy powietrznej, wyszli na trap i spojrzeli w dół.

Wozy były już załadowane. Pierwsze cztery wiozły elementy dalekosiężnych nadajników. Na piątym jechały mniejsze i lżejsze odbiorniki. Na szóstym leżały wszystkie części wielkiej anteny.

Siódmy i ósmy zajmowały małe silniki atomowe i duży generator. Pozostałe cztery ugiwały się pod bagażem osobistym oraz stertą bogatych zapasów rujnującego zdrowie alkoholu i tytoniu.

Przy najniższym stopniu trapu stał radca rządu. Miał rozżaloną minę i nerwowo palił jednego papierosa za drugim. Stojący w pobliżu dwaj Strażnicy Publiczni i furman mieli na twarzach wyraz nie tajonego obrzydzenia. Palący zakasłał chrapliwie; obserwatorzy wymienili spojrzenia wzajemnego zrozumienia. Palący zakasłał ponownie, a tamci cofnęli się jak oparzeni.

Nieco dalej w trójszeregu stała obładowana po uszy bronią i ekwipunkiem Kompania D. Na twarzy ani jednego żołnierza nie malowała się radość. Z ponurymi minami pochylali się do przodu, przytłoczeni ciężarem na pierśsiach i plecach.

Bidworthy maszerował bez pośpiechu między rzędami, lustrując żołnierzy od przodu i od tyłu. Miał ostatnią szansę, by przypomnieć tej szczególnej zgrai, że ich rodzice popełnili straszliwy błąd. On wiedział o tym i oni też. Lecz starszy sierżant znajdował się w dużo gorszym położeniu z dwóch powodów: po pierwsze, obserwowała go wysoka szarża, a po drugie — nie było jak wykonać egzekucji na złoczyńcy, który miał za chwilę ruszyć w drogę.

Przystanął w połowie tylnego rzędu i zmierzył wzrokiem szeregowca Buntinga. Na szczęście obiekt jego zainteresowań był absolutnie nieświadomy tego badania, gdyż nie widział przed sobą niczego poza parą butów. Obładowany niczym bożonarodzeniowa choinka Bunting nosił hełm numer dziesięć na głowie numer siedem, czego nie-

uchronnym skutkiem było to, że hełm zdawał się spoczywać na jego ramionach.

Z twarzą powoli siniejącą ze złości Bidworthy spiorunował tę osobliwość kosmiczną, po czym przeniósł wzrok na kolejnego nieszczęśnika, gdzie zastał sytuację odwrotną. Szeregowiec Veitch nosił hełm numer siedem, który niczym guz sterczał mu na czaszce numer dziesięć. Veitch wiercił się niespokojnie; czuł, że Bidworthy zaraz się do niego przyczepi, ale za nic w świecie nie mógł sobie uzmysłwić dlaczego.

— Veitch — wycedził zduszonym głosem Bidworthy.

— Tak jest, szefie?

— Czyście rozum postradali?

— Jak to, znowu, szefie?

— To wasz własny hełm?

— Chyba ktoś go lekko wgniótł, szefie — wyjaśnił usprawiedliwiającym tonem Veitch. — Mnóstwo sprzętu spadło, kiedy statek...

— Nie wciskajcie mi kitu! — ryknął Bidworthy. Zerwał oba hełmy z głów, zamienił je miejscami i wbił na czaszki struchlałych żołnierzy. Pasowały, jak ulał. Bunting był trochę zaskoczony, a Veitch zdumiony. — Ci, co brali was do wojska, tępaki, musieli wykrobywać resztki — oświadczył donośnie Bidworthy. Parsknął niczym rozjuszony koń bojowy, wyszedł na czoło, zatrzymał się przed dowódcą Kompanii D, oddał honory i wypalił: — Wszyscy obecni i gotowi do wymarszu.

Teraz ruszyły wozy, tocząc się w dół zbcza ciężko, z piskiem bloczków hamulcowych. Konsul i jego personel rozeszli się na wszystkie strony i zwyczajem cywilów dreptali przed siebie bez ładu i składu. Kompania D zrzu-

ciła broń z pleców i zaczęła rytmicznie maszerować, spowalniana słabym tempem idących na przodzie. Był to raczej krok pogrzebowy, bardziej odpowiedni dla konduktu żałobnego za owiniętą w sztandar trumną. Z otwartych iluminatorów statku lunęły na nich strumienie czułych pożegnań.

— Gdzie nieboszczyk?

— Hej, Markovitch, zapomniałeś ściągnąć gatki.

— Spuście im tęgie lanie, chłopaki!

— Brzuchy wciągnij, klatki wypnij — równaj krok. Żywiej, patałachy.

— Naprzód, chrześcijańscy rycerze!

— Cisza! — ryknął Bidworthy.

— Nie ma tu nikogo o takim nazwisku — zakomunikował jakiś głos ze statku.

— Który to? — zawył Bidworthy, usiłując zlustrować dwieście okien naraz.

— Kto chce wiedzieć, który to? — zapytał drwiąco ten sam głos. — Ty na dole, czy ktoś inny?

Bidworthy rzucił się z wściekłością w stronę trapu, wbiegł na górę, przemknął przez służę z krótkim: — Pan wybaczy, pułkowniku — i zniknął w czeluściach statku.

— Uwaga! — ostrzegł inny głos. — Rozjuszony byk zerwał się z łańcucha.

— Dyscyplina to sprawa najważniejsza — zauważył w zadumie Grayder.

Shelton nie odezwał się.

— To wszystko — przemówił Ambasador, kiedy ostatni uczestnik kawalkady zniknął z pola widzenia. Jego Dostojność wrócił ze wszystkimi do sali klubowej, nalał sobie potężnego drinka i wyciągnął się w fotelu. — Mamy

już warownię na Higiei. Obecnie Terra przejmuje odpowiedzialność za jej ekspansję i w miarę upływu czasu wzmocnienie.

— Tak, Wasza Dostojność — powiedział Shelton.

— Sporządzę urzędowy raport z opisem naszych dokonań. Mógłby go pan wysłać jak najszybciej, kapitanie?

— Oczywiście, Wasza Dostojność — zapewnił Grayder.

— Znakomicie! — Pociągnął ze szklanki i kontynuował: — Teraz, gdy zadanie zostało wykonane, możemy lecieć dalej. Nie znam na Higiei żadnych atrakcji na tyle kuszących, by warto było poświęcić czas i zabawić dłużej. Niczego nie zyskamy, obijając się tutaj. Co panowie na to?

— Nim ruszymy w dalszą drogę, będę musiał przyjąć pierwszego oficera Morgana.

— Morgana? W jakim celu? Co on ma z tym wspólnego? On tu nie dowodzi.

— Ludzie mają prawo do zejścia na ląd. Nie mogę im go odebrać bez ich zgody. Morgan sporządza listy i tylko on może mi powiedzieć, czy ludzie wolą lecieć dalej, czy też wszyscy stanowczo upierają się przy urlopach.

Ambasador wykrzywił usta.

— No trudno, proszę z nim porozmawiać. Niech mu pan powie, że chcemy jak najszybciej startować.

Grayder zadzwonił po Morgana, a kiedy ten się zjawił, powiedział:

— Panie Morgan, chcemy wystartować, gdy tylko ludzie będą gotowi... Jak tam nastroje odnośnie urlopów?

— Niezbyt dobre, kapitanie. Chłopcy chcą się zabawić, potrzebują kobiecego towarzystwa i rozrywki. Od-

mawia im się tego. Niektórzy nie zamierzają pokazywać się nago. Innym zaś, którzy godzą się na to, zakazano wstępu do miasta. Pozostało im leżenie na trawie i szwendanie się wśród pól. Boję się, że większość ma już tego dość.

— Może następnym razem będą mieli więcej szczęścia — westchnął Grayder. — Niepodobna, by kolejna planeta uznała nas za robactwo.

— Raczej nie, kapitanie — przyznał marszcząc brwi Morgan.

— Spotkacie się z załogą i wszystko wytłumaczycie — polecił Grayder. — Dajcie mi znać, jak najszybciej, czy byliby skłonni wykorzystać pozostały urlop w jakimś lepszym miejscu.

Dopiero po dwóch godzinach Morgan wrócił z wiadomością.

— Wszyscy, których udało mi się znaleźć, kapitanie, opowiadają się za machnięciem ręką na tę planetę i spróbowaniem na następnej. Ale dziesięciu ludzi poszło do lasu, powiedzieli, że wrócą najwcześniej późnym popołudniem.

— Po co tam poszli? — zdziwił się Grayder. — Na spacer?

— Tak jest, kapitanie. Byli pewni, że żadne duże i grube gliny nie będą czekały, aby ich złapać za kark i wynieść z lasu. Pluton sierżanta Gleeda także jest nieobecny. Około godziny temu poprowadził ich na pobliską farmę.

— Po co? — wtrącił podejrzliwie Shelton.

— Dziesiąty mechanik Harrison twierdzi, że sierżant Gleed uciął sobie pogawędkę z dwoma tutejszymi nudystami o nazwiskach Boogie i Pincuffe, którzy praco-

wali rano na polu. Sierżant poczęstował ich historyjką, że od urodzenia cierpimy na brak urozmaiconej diety, a władze terrańskie zmuszają nas do uległości, odmawiając nam jedzenia. — W oczach Morgana malowało się zakłopotanie człowieka, który nie jest pewien, czy się podlizuje. — Harrison często chwalił tubylców za ich wspaniałą męskość, poczynił kilka zazdrosnych uwag o ich posturze fizycznej i w końcu udało mu się wyłudzić dwa wozy świeżych warzyw i owoców. Zabrał swój pluton do pomocy w załadunku.

Shelton uderzył się w czoło.

— Członek Korpusu Kosmicznego dziaduje jak włóczęga. Sierżant udaje stęskającego żebraka. I to akurat sierżant.

— Powinien być co najmniej porucznikiem — zawyrokował Ambasador, oblizując wargi na myśl o świeżych warzywach i owocach.

— Wezmę go na dywanik w tej sprawie — zachnął się Shelton. — Ja go...

— Nie, proszę tego nie robić — sprzeciwił się Ambasador.

— Nie możemy uczestniczyć w podziale łupów bez zatuszowania przestępców, a ja zamierzam skorzystać z ich zdobyczy.

— Ależ, Wasza Dostojność, dyscyplina...

— Wsadźcie sobie w dupę waszą dyscyplinę — powiedział wulgarnie Ambasador. — Owoce to coś realnego. Mam po dziurki tego psiego żarcia z puszek. Oby Bóg wywołał w nas uczucie serdecznej wdzięczności za to, co niedługo dostaniemy.

— Nagle ożywił się, gdyż przyszła mu do głowy kolejna myśl. — Skoro sierżant zdołał wyżebrać dwa wozy, to pułkownik powinien załatwić dziesięć.

— Nie zniżyłbym się do płaszczenia przed tubylcami.

— Nawet za dużego, soczystego melona wyłącznie dla siebie?

— Nigdy.

— Więc dobrze się składa, że mamy wśród nas sierżantów

— westchnął Ambassador.

— Panie Morgan, startujemy, gdy tylko wróci ostatni człowiek — rzucił rozstrzygająco Grayder. — Proszę mnie natychmiast zawiadomić, kiedy lista będzie kompletna.

— Tak jest, kapitanie.

Do wieczora wszyscy znajdowali się na pokładzie. Razem ze świeżymi warzywami i owocami. Bidworthy natknął się na ładunek w śluzie powietrznej i wybałuszył oczy na widok taszczonych obok niego sześciu worków różowych jabłek.

— Sierżancie Gleed, skąd wytrzasnęliście ten cały kram?

— Z tamtej farmy, szefie.

— Za wiedzą i zgodą gospodarza?

— Wielkie nieba, szefie — odparł Gleed, urażony do żywego. — Pan chyba nie sądzi, że splądrowaliśmy sad pod nieobecność gospodarza, co?

— Służę już dwadzieścia pięć lat — oznajmił Bidworthy. — Wystarczająco długo, aby wiedzieć, że jedynym przestępstwem jest to, które zdołano wykryć. — Uśmie-

chnął się chytrze. — No dobra, Glead, ile to wszystko kosztowało i czym zapłaciliście rolnikowi?

— Niczego mu nie dawałem.

— Namówiliście go do oddania dwóch worków świeżej żywności?

— Tak jest.

— Za nic?

— Tak jest.

— Może zafascynował go wasz urok osobisty?

— Tak jest — odparł spokojnie Glead.

— Łżecie — oświadczył Bidworthy. — I doskonale o tym wiecie. Co gorsza, wy wiecie, że ja wiem, że mówicie nieprawdę.

— Obrzucił Gleeda wyzywającym spojrzeniem. — Prawda?

— Tak, szefie — stwierdził Glead.

— Teraz idę sprawdzić broń i zapasy — oznajmił Bidworthy. — Jeśli stwierdzę, że nie ma czegoś, co przehandlowaliście za tę kupę żarcia, to możecie się spodziewać, że balon pójdzie w górę. Pułkownik własnymi rękami obdrze was żywcem ze skóry.

Z tymi słowy wsadził rękę w sunący obok worek, wyjął szkarłatne jabłko jak pół jego głowy i odszedł stukając obcasami.

Godzinę później wciągnięto trap. Śluza powietrzna się zamknęła, zawyła syrena ostrzegawcza i statek oderwał się od ziemi. Szeregowiec Casartelli tęsknie spoglądał przez iluminator na malejącą planetę.

— Chłopie — powiedział z zapałem — ten świat ma prawie wszystko, co trzeba: dobry, solidny grunt, dużo słońca, czyste powietrze, owoce i kwiaty. Oraz miliony

słodkich panienek, przyodzianych jedynie w te ich fantastyczne włosy. Raj naszpikowany cudownymi Ewami.

— Nie widziałem ani jednej — powiedział szeregowiec O’Keefe. — A ty?

— Niestety, też nie. Ale one tam są, mówię ci, one tam są.

— Westchnął głęboko. — Ci faceci z Kompanii D to urodzeni szczęściarze.

— Nie pamiętam, byś się pchał na złamanie karku między ochotników — wtrącił złośliwie szeregowiec Yarrow.

— Sekstus Sadysta nie dał mi szansy.

— Cha, cha — zaśmiał się Yarrow.

— Nawet gdybym podał swoje nazwisko i tak odeśłałby mnie z kwitkiem. Znacie drania. Wywęszy podstęp nawet tam, gdzie go nie ma.

— Może i tak — bąknął Yarrow. — Higiejańskie ślicznotki lecą tylko na zdrowy umysł w zdrowym ciele. Brak ci jednego i drugiego.

— Mów za siebie, wymoczku — warknął Casartelli.

Nie mógł oderwać wzroku od znikającej planety. Higieja zmaląła do maleńkiego półksiężyca, ledwo widocznego w blasku płonącego słońca. Wówczas na palcach udał się do miniaturowej kajuty Bidworthy’ego i zwędził właścicielowi jabłko.

Następny świat miał gwiazdę młodszą i większą od Słońca. Był to szósty w rodzinie jedenastu globów, mniej więcej tej samej wielkości i masy co Terra. Okrężało go ciasno siedem maleńkich księżyców.

— Nazywa się jakoś? — mruknął Ambasador znad ekranu monitora.

— Kassim — odparł Grayder.

— Co o nim wiadomo?

— Bardzo mało. Zajął go trzy czwarte miliona zwolenników psychola imieniem Kassim, który usiłował połączyć islam z buddyzmem, podając się za nowe wcielenie proroka. Świat muzułmański dawał im popalić tak długo, aż się wynieśli.

— Jednym słowem, azjatyckie świry religijne?

— Tak, Wasza Dostojność.

— Więc z góry wiadomo, czego się spodziewać. Każą nam paradować w bamboszach i ściągać je przed drzwiami. Każą nam stale nosić dywaniki modlitewne. Dziesięć razy dziennie będziemy padać na klęczki i zginać kark na wschód. Nie akredytują mnie, póki nie rzucę alkoholu i nie zacznę się podcierać wyłącznie lewą ręką.

— Wcale bym się nie zdziwił — przyznał Grayder.

— To znaczy, że będę musiał znaleźć równie szurniętego konsula — ciągnął z zapamiętaniem Ambasador. — Na szczęście ja mogę wybrać sobie świat, w którym obejmę placówkę. Nie wyobrażam sobie życia wśród zbikowanych muzułmanów.

— Jeśli chodzi o naszą wyprawę, Wasza Dostojność — oznajmił Grayder — został panu niewielki wybór. Ten świat albo następny. Nim wrócimy na Terrę celem doko-

nania kapitalnego remontu, możemy odwiedzić najwyżej cztery daleko rozrzucone planety.

— Wiem. Na grafiku były tylko cztery.

— Cóż, jeśli żadna nie przypadnie panu do gustu, to niestety będzie musiał pan poczekać na naszą kolejną wyprawę, aby poszukać lepszej. Nie mam pojęcia, kiedy to nastąpi. I Bóg raczy wiedzieć, dokąd się wtedy udamy.

— Wasze przyszłe wycieczki są nie dla mnie — odparł Ambasador. — Według instrukcji powinienem zainstalować się na jednej z tych planet jako zwierzchnik trzech pozostałych placówek. Terra ma trzykilometrową listę ambasadorów i konsulów przygotowanych do podobnych misji w ramach innych ekspedycji. Pozostanę w tym regionie. Chciałbym oczywiście wybrać najlepszy świat z tych czterech. No cóż, jeśli oba pozostałe będą jeszcze mniej atrakcyjne od tamtych...

— Jak pan wówczas postąpi? — zainteresował się kapitan.

— Zapewne odwołam tego gościa z Higiei i obejmę ją sam. Zrobiłbym to z ciężkim sercem, ale świadomość, że gdzie indziej jest jeszcze gorzej, byłaby przynajmniej jakąś pociechą.

— Higieja to raj w porównaniu z innymi planetami, o których się słyszy — zauważył Grayder.

— Chyba tak. Zdecyduję się na nią z braku lepszej. Mam do tego prawo. Jestem wysokim przedstawicielem Terry. Konsul ma stosunkowo niską rangę. Niżsi powinni składać jakieś egzaminy, by awansować. Nie wierzę w dyplomatów awansowanych w przyspieszonym trybie. A pan, drogi kapitanie?

— Jasne, że nie — bąknął Grayder.

Poszedł do kabiny nawigacyjnej objąć wachtę. Kamery rejestrowały już podchodzenie do lądowania. Wkrótce zaczęły napływać obrazy z hemisfery, po czym statek opuścił stronę słoneczną i wrócił w strefę cienia. Wielki pojazd kosmiczny schodził ostrożnie, zakreślając coraz ciśniejsze kręgi i szybko tracąc wysokość.

Rozprzestrzeniały się lądy i oceany, ujawniając coraz więcej szczegółów. Wkrótce stwierdzili, że Kassimę porasta jeszcze bujniejsza roślinność niż poprzednie planety. Zza cienkich warstw chmur gorące słońce prażyło roziskrzony ocean i połyskujące rzeki, rzucając światło i cień na potężne masy skłębionej zieleni. Tu i ówdzie, przeważnie nie opodal albo wzdłuż rzeki, znajdowały się ledwo dostrzegalne poręby. Ujrzeni na nich jakby drogi i budynki, typowe przejawy działalności człowieka, obszary te jednak były małe i rzadko rozmieszczone. Kamery pracowały bez przerwy, a statek schodził coraz niżej i niżej. Okrążył planetę jeszcze dziesięć razy, po czym skoczył w górę.

Niedługo w kabinie nawigacyjnej pojawił się Ambasador.

— Dobrze się przyjrzałem, kapitanie. Nielicha kupa lasów.

— Faktycznie, Wasza Dostojność.

— I w zasadzie nic poza tym. Dziwne. Tyle lat, a tak naprawdę to nie mają się czym pochwalić. Wspominał pan, że osiadło ich tu trzy czwarte miliona, istotnie?

— Tyle podają stare rejestry.

— Może się mylą? Wątpię, by nawet dziś ich liczba wynosiła aż tyle. Prawie nie zarysowali powierzchni. — Zerknął przez najbliższy iluminator, choć obecnie statek

leciał zbyt wysoko, by prowadzić dokładne obserwacje. — Jest w tym jakaś cholerna zagadka. To niepodobne do Azjatów, by tak drastycznie zmniejszać swoją populację. Spodziewałem się tu zastać wyjątkowo gęsto zaludnioną planetę.

— Ja też.

— No trudno, tajemnica wkrótce się wyjaśni. Znalazł pan już dobre miejsce do lądowania, kapitanie?

— Jeszcze nie, Wasza Dostojność. Czekam na powiększenia zdjęć z najniższego pułapu.

— Ach, tak, oczywiście. Musicie je wybrać z maksymalną precyzją. Nie możemy sobie pozwolić na zmarnowanie całych tygodni i wyrąbywanie ścieżki do najbliższej wsi.

Grayder siedział i myślał, marszcząc brwi i czekając na wywołanie zdjęć. Wtedy rozłożył je na pulpicie i bez słowa oglądał jedno po drugim, przekazując po kolei Ambadorowi. W końcu dźgnął palcem w środek którejś fotografii.

— Proszę spojrzeć, Wasza Dostojność.

Ambador zerknął na wskazane miejsce.

— Hmm, całkiem spore miasteczko. Ale zdjęcie kiepskie, nieostre. Fatalnie rozmyte.

— To są ujęcia pionowe. Pan ma nie wyćwiczony wzrok na tego rodzaju powiększenia. — Grayder wskazał gablotkę w ścianie. — Proszę wstawić je do stereoskopu i popatrzeć raz jeszcze.

Ambador poszedł za radą kapitana. Przyłożył oko do gumowego okularu, obejrzał widoczny teraz doskonale w trzech wymiarach krajobraz i chrząknął ochryple.

— Opuszczone i zarośnięte — westchnął. — Zabudowania są w ruinie. Wyglądają, jakby nikt w nich nie mieszkał od dziesiątków lat. Żadnych dróg ani ścieżek prowadzących dokądkolwiek. Wszystko pochłonęła dżungla.

— Nie tylko tutaj — stwierdził ponuro kapitan. — Gdzie indziej jest tak samo. — Na dowód podał mu stertę zdjęć.

— No i co? — spytał, kiedy Ambasador wrócił od przeglądarki.

— Absolutna zagadka. Sądzę, że ten świat jest martwy przynajmniej od stu lat. Nie widzę jakichkolwiek przejawów aktualnego życia.

— Ja też.

— Na pewno coś się stało.

— Na pewno.

Po twarzy Ambasadora przemknął cień raptownego strachu.

— Nasze obawy mogły się już spełnić. Zaatakowano ich bez ostrzeżenia i wybito do ostatniego człowieka.

— Wątpię.

— Dlaczego?

— Każdą formę życia zdolną do toczenia wojny w przestrzeni kosmicznej musi cechować pewna doza inteligencji, jeśli nie moralności — zauważył cierpliwie kapitan. — Istoty inteligentne nie napadają i nie niszczą dla zabawy. Potrzebują motywu. Zazwyczaj jest nim podbój. — Wskazał kciukiem iluminator. — Gdyby jacyś nieznani Obcy zgładzili wszystkich ludzi na tej planecie, byłaby teraz ich własnością. I pełno byłoby śladów ich działalności.

W istocie — dodał sucho — mielibyśmy cholerne szczęście, że sami jeszcze żyjemy.

— Zgoda na pańską pierwszą konkluzję, ale na ostatnią nie — oznajmił Ambasador. — Flotylla intruzów mogła wysadzić na ląd kilkunastu osobników i polecieć dalej. Ostatecznie istnieje mnóstwo terrańskich światów kompletnie niezdolnych do samodzielnej obrony przed nieproszonym gościem.

— Wszystko możliwe, Wasza Dostojność — zgodził się Grayder. Wskazał na zdjęcia. — Tyle że nie widać najmniejszych śladów obcej przemocy. Co więcej, nie mam wątpliwości, że tutejsze wioski uległy bądź wciąż ulegają zniszczeniu wskutek działania czasu i dżungli, a nie wojny.

— Tak, przyznaję, można odnieść takie wrażenie. — Ambasador zastanawiał się przez chwilę, po czym przedłożył nową teorię. — Nie znamy faktycznej natury tej dżungli. Nie musi być wcale groźna ani szkodliwa. Przeciwnie, może opływać w żywność i zapewniać idealne schronienie i właśnie przez to wystawiać mieszkańców na niepowstrzymaną pokusę regresji ku małpom. Może wszyscy przenieśli się do puszczy i teraz są gromadą szczęśliwych zwierzaków — iskają się, zajadają banany i obrzucają się skórkami.

— Potrzebowali więc mnóstwa czasu, by znaleźć sposób pójścia na łatwiznę — zauważył Grayder. — Wyciskali z siebie siódme poty, nim wpadli na myśl, że nie ma powodu się męczyć.

— Pan wychodzi z założenia, że religijne świrusy potrafią działać racjonalnie — odparował Ambasador. — Ale to nieprawda. Jeśli natchniony przywódca każe im usunąć

dżunglę i zbudować sto rajszych ogrodów, będą harować jak opętani. A jeśli dozna raptownego olśnienia, że warunkiem zbawienia jest przemiana wszystkich w Tarzanów, rzuca pracę fizyczną i wejdą na drzewa. Będą się bujać na gałęziach i zgłaszać w porządku alfabetycznym, ilekroć brzdąknie w dzwonek. Na Boga, gdyby ci pomyłeńcy mieli więcej rozumu, przede wszystkim nie uciekaliby z Terry.

— Nawet jeśli tak, to uparta mniejszość powinna zostać w swoich wioskach i dbać o domy. Młode pokolenia zazwyczaj buntują się przeciw stylowi życia starszych. — Jeszcze raz wskazał na zdjęcia. — Nie podoba mi się to, że zniknęli absolutnie wszyscy. To zły znak.

— Nie ma sensu krążyć na bezpiecznej wysokości i snuć rozmaite teorie — stwierdził Ambasador. — Nic nas nie powstrzyma od zejścia na dół i ujawnienia prawdy. Proszę dać mi znać, kiedy znajdziecie odpowiednie lądowisko, usiądziemy na nim.

— Nie mam odwagi — odparł kapitan.

— Dlaczego? — Ambasador spojrzał ze zdziwieniem. — Co nas powstrzymuje? Mamy jednoznaczne instrukcje, by wylądować na każdej planecie i złożyć wyczerpujące sprawozdanie na jej temat.

— Nie odnosi się to do świata faktycznie lub prawdopodobnie martwego.

— Kto tak uważa?

— To podstawowa zasada nawigacji kosmicznej, Wasza Dostojność.

— Czyżby? Pierwsze słyszę. Z jakiego powodu?

— Najbardziej śmiertelnymi wrogami rasy ludzkiej są choroby zakaźne, zwłaszcza obcego pochodzenia, na

które brak nam wrodzonej odporności. Gdyby okazało się, że na którejś planecie koloniści zostali zdziesiątkowani lub wyginęli, winę za to należy przypisać śmiertelnośnemu zarazkowi.

— Sądzi pan, że mogli wymrzeć z powodu jakiejś choroby?

— Sam nie wiem. Ale wolę nie ryzykować, lądowanie jest zbyt niebezpieczne. Możemy wchłonąć mnóstwo drobnoustrojów i zawlec je do kolejnego świata, a nawet na Terrę. Nie mam najmniejszej ochoty trafić do podręczników historii jako lepsza i skuteczniejsza odmiana hiszpanki.

— Cóż, nie mam do pana pretensji, kapitanie. Nie znałem zasady, o której pan wspomina, przyznaję jednak, że brzmi sensownie. W rezultacie żadnemu statkowi nie wolno usiąść na planecie, którą może trawić choroba, tak?

— Tak.

— Więc nawet najbardziej pożądana może stać się na zawsze niedostępna dla ludzkości? I to jedynie z powodu podejrzeń?

— Och, nie jest tak źle. Terra buduje właśnie specjalny statek do zdalnej eksploracji trudno dostępnych i niebezpiecznych światów. Ma być naszpikowany automatyką i przenosić transport uczonych. Nie wiem, jak prędko będzie gotowy, ale na pewno zdoła przebadać tę planetę i stwierdzić, co się stało.

— No, to jakaś pociecha — westchnął Ambasador. — Nie lubię, gdy kosmos jest pełen tajemnic, zwłaszcza w sektorze, za który odpowiadam. To straszne zostać oficjalnym nadzorcą galaktycznej trupiarni; chciałbym znać

liczbę nieboszczyków pozostających pod moją opieką i przyczynę zejścia.

Wszedł pułkownik.

— Dlaczego zwlekamy, kapitanie? — rzucił. — Czy coś się stało?

— Glob wygląda na wymarły.

— Może poderżnęli sobie nawzajem gardła? — zaryzykował Shelton z łotrowskim zapałem. — Te świry zdolne są do wszystkiego. A może zejdziemy na dół i rzucimy okiem? Nie odważą się nas zaatakować, będę trzymał ludzi pod bronią.

— Kapitan sądzi, że wymarli na galopującą gangrenę albo coś w tym rodzaju — powiedział Ambasador. — Chce się pan zarazić?

— Kto? Ja? — Shelton był przerażony. — Mój Boże, nie!

— Ja też. Więc nie będziemy ryzykować.

— Opuuszczamy sobie tę planetę?

— Tak.

— Dobrze więc. Nie chcę, by moi chłopcy zostali zdziesiątkowani bez oddania choćby jednego strzału.

— Co innego, gdyby sobie postrzelali? — spytał Grayder.

— Pan wie, co mam na myśli. Powinni ginąć w walce.

— Znowu mają pecha.

Shelton zbył uwagę kapitana wzruszeniem ramion i wyszedł rozgniewany.

— Dlaczego pan i pułkownik co jakiś czas skaczecie sobie do oczu? — zapytał Ambasador.

— On służy w piechocie, Wasza Dostojność, a ja w marynarce. To tradycja.

— Naprawdę? Cud, że nie macie osobnych światów.
— Kolejny raz wyjrzał daremnie za okno, po czym kontynuował: — Musimy zawiadomić o tym cmentarzysku. Sam to zrobię i wysmaruję raport. Wysyłamy go i natychmiast startujemy.

— Tak, niczego nie zyskamy, kręcąc się tu w kółko, Wasza Dostojność.

— Dokąd teraz?

Grayder sprawdził w książce.

— Figuruje po prostu jak K229. Nie ma nazwy. Byłaby idealną siedzibą dla pana.

— A to czemu?

— Przeniosło się tu mnóstwo ludzi. Około czterech milionów. Dzięki temu zyskali już na starcie. Powinni być chyba najbardziej rozwiniętą planetą w całej grupie.

— Mam wątpliwości. Zależy, co się uważa za rozwój — zauważył Ambasador. — Niektórzy wybierają sobie dziwne cele i dziwne sposoby ich realizacji. — Cień podejrzenia przemknął po jego twarzy. — A tym co odbiło?

— Nie wiadomo, Wasza Dostojność. To jedyny świat, na temat którego stare dane są nieprecyzyjne. Koloniści występują jako przebrani dysydenci, cokolwiek może to znaczyć.

— A nie buntownicy polityczni, nieuleczalni idioci lub członkowie religijnych sekt?

— Nie... Po prostu dysydenci.

— Wynika z tego, że planetę anektował zanarchizowany motłoch. Nie, to niemożliwe. Nie mogli zostać zbyt dokładnie przebrani, gdyż w mgnieniu oka posiekaliby się na kawałki. Coś ich musiało łączyć, coś na tyle silnego, że zdołali postawić przed sobą wspólny cel.

Grayder wzruszył ramionami.

— Niektórym wystarczy obietnica Raju i lęk przed Piekłem.

— Nie oszalałem z zachwytu nad żadnym fałszywym Rajem, jakie dotąd widzieliśmy. Dużo zaś przemawia za tak zwanym Piekłem na Ziemi, mimo jej wszelkich wad. — Ambasador zachnął się ze wstrętem i sięgnął po rejestrator. — Wysmaruję ten raport. Nie będzie długi, dzięki Bogu. Nikogo tu nie ma, jedynie my, trupy.

— Dobrze — odparł Grayder. — Startujemy, gdy tylko pan skończy.

Czwarta i ostatnia planeta była trzecią z dziesięciu, które krążyły wokół gwiazdy typu Słońca. Rozmiarami, masą, odległością od centralnego ciała niebieskiego i ogólnym wyglądem zdumiewająco przypominała Terrę. Jedyną różnicą było to, że pokrywało ją więcej lądów niż oceanów. Na biegunach jaśniały czapy polarne, nieco mniejsze niż terrańskie. Nad ziemią i wodą ciągnęły się masy chmur. W górze krążył jeden duży księżyc.

— Nareszcie planeta, gdzie można poczuć się jak w domu — ucieszył się Ambasador. — Jeśli po wylądowaniu odniosę identyczne wrażenie, osiadę na niej. Konsulowie są pożądani raczej w bardziej zwariowanych miejscach.

— Jak na razie jedyny konsul w tym sektorze to ten człowiek, którego zostawiliśmy na Higiei — zauważył Grayder.

Ambasador puścił to mimo uszu i rozrzewniał się dalej.

— Jeden zwykły księżyc mniej więcej odpowiedniej wielkości. Oto, co chcę widzieć. Rój maleńkich księżyców, ścigających się na nocnym niebie, zbyt natrętnie przypo-

mina człowiekowi, że na drugim końcu Galaktyki pozostawił inny świat. Ale w odpowiedniej scenerii, przy odpowiedniej atmosferze i odpowiednim księżycu zdołałbym sobie wyobrazić, że jestem na Terze. Liczę jedynie, że tubylcy nie stracili resztek zdrowego rozsądku i umieją się zachowywać jak porządni Terrańczycy.

— Wątpię — powiedział Grayder.

— Ja również. Niemniej coś zbliżonego też sprawiłoby mi radość. Jeśli tylko nie różnią się od nas pod innymi względami, to co do mnie, mogą sobie odbywać ceremonie voodoo w każdy czwartek po południu.

Umilkł, gdy statek podszedł do lądowania i raptownie wynurzyła się raptownie słoneczna strona planety. Potem odbyła się zwykła faza okrążania i filmowania. Widać było mnóstwo wsi i miasteczek oraz rozległe uprawy. Planeta bynajmniej nie eksploatowana w pełni — znajdowała się prawdopodobnie w rękach pracowitych i licznych kolonistów.

Obfitość i bogactwo życia, najwyraźniej wolnego od chorób nieznanego pochodzenia, sprawiły, że Grayder z ulgą posadził statek na pierwszym twardym podłożu, jakie udało mu się wypatrzeć. Ogromny ciężar niczym piórko usiadł na długim, niskim płaskowyzu wśród wypielęgnowanych pól. Iluminatory ponownie wypełniły się twarzami, gdyż wszyscy chcieli rzucić okiem na nowy świat.

Otworzyła się środkowa śluza, zrzucono trap. Tak jak wcześniej zejście odbywało się w ściśle określonej kolejności, poczynając od Ambasadora, a kończąc na starszym sierżancie Bidworthym. Pierwsze chwile spędzili zbici w gromadkę u stóp trapu, chłonąc słońce i świeże powietrze.

Jego Dostojność zaszurał nogami w gęstej murawie, wyrwał źdźbło i znieruchomiał, ciężko dysząc. Niestety, Ambasador był tak zbudowany, że włożony przezeń wysiłek równał się wyczynowi maratończyka i przyprawił go o bolesne kurcze w jamie brzusznej.

— Trawa klasy osiem. No i co, kapitanie? Czy to tylko zbieg okoliczności, czy przywieźli ze sobą nasiona?

— Może być i tak, i tak. Wiadomo o kilkunastu trawiastych światach. Zresztą prawie wszyscy koloniści brali ze sobą ładunek nasion.

— W każdym razie następny posmak domu. Chyba polubię to miejsce. — Ambasador wpatrywał się w dal z miną dumnego właściciela. — Zdaje się, że ktoś tam pracuje. Używa małego kultywatora z motorkiem na dwóch grubych kołach. Wynika z tego, że nie mogą być aż tak bardzo zacofani. Hm! — Potarł podwójny podbródek. — Przyprawiajcie go tutaj. Musimy porozmawiać i ułożyć plan działania.

— Proszę bardzo. — Kapitan Grayder zwrócił się do pułkownika Sheltona. — Jego Dostojność chciałby porozmawiać z tym rolnikiem. — Wskazał odległą postać.

— Tamten farmer — powiedział Shelton do majora Ha-me'a. — Jego Dostojność wzywa go natychmiast.

— Przyprawiajcie tu tego rolnika — polecił Hame porucznikowi Deaconowi. — Szybko.

— Skoczcie no po tego rolnika — rozkazał porucznik starszemu sierżantowi Bidworthy'emu. — I nie guzdrajcie się... Jego Dostojność czeka.

Bidworthy rozejrzał się za niższą rangą, ale w tym momencie przypomniał sobie, że wszyscy są w środku i

pucują statek, nie paląc tytoniu zgodnie z jego rozkazem. Wychodziło na to, że sam musi spełnić tę misję.

Powędrował przez cztery zagony, doszedł na odległość umożliwiającą ustne porozumienie, znieruchomiał, jak na żołnierza przystało, wydał porządny ryk koszarowy: — Hej, ty! — i gwałtownie zamachał ręką.

Rolnik przestał posuwać się za lilipucim kultywato-rem, otarł czoło i niedbale rozejrzał się dokoła. Obojętne zachowanie tubylca sugerowało, że olbrzymi kadłub statku uznany został za omam. Bidworthy znowu machnął ręką, czyniąc z tego gest kategorycznego wezwania. Tym razem farmer zauważył starszego sierżanta, spokojnie odwzajemnił skinienie i wrócił do pracy.

Bidworthy wydał krótki lecz ostry okrzyk zniecierpliwienia, który po oczyszczeniu z emocji oznaczał: Boże mój! — i przeszedł jeszcze pięćdziesiąt kroków. Teraz widział, że rolnik jest wysokim, szczupłym mężczyzną o krzaczastych brwiach i pomarszczonej twarzy.

— Hej! — krzyknął do niego.

Rolnik ponownie zatrzymał kultywator, oparł się na trzonku i zaczął leniwie dłubać w zębach. Nagle Bidworthy'ego uderzyła twórcza myśl — być może w ciągu kilku ostatnich stuleci porzucono stary język terrański na rzecz jakiegoś żargonu. Zbliżył się na odległość, w jakiej ludzie normalnie ze sobą rozmawiają, i powiedział:

— Rozumiesz mnie?

— Czy ktokolwiek potrafi zrozumieć drugiego? — zapytał z idealną dykcją rolnik.

Bidworthy osłupiał. Po chwili wziął się w garść i wyrecytował szybko:

— Jego Dostojność Ambasador Ziemi chciałby z tobą natychmiast porozmawiać.

— Czyżby? — Rolnik zmierzył starszego sierżanta niepewnym wzrokiem i wrócił do dłubania w zębach. — A na czym polega jego dostojność?

— To bardzo ważna osobistość — odparł Bidworthy. Nie wiedział, czy tamten próbuje bawić się jego kosztem, czy może jest jednym z tych ekscentryków. Cała masa takich długo odizolowanych pionierów lubiła określać siebie mianem ekscentryków.

— Bardzo ważna osobistość — powtórzył rolnik, spod przymrużonych powiek lustrując horyzont. Wyglądał, jakby deliberował nad całkowicie nieznanym sobie pojęciem. Po chwili zapytał: — Co się stanie z waszą ojczyzną planetą po śmierci tej osobistości?

— Nic — przyznał Bidworthy.

— Będzie się obracać, tak jak przedtem?

— Oczywiście.

— W kółko dookoła słońca?

— Tak.

— Skoro istnienie lub nieistnienie tego człowieka nie stanowi różnicy, to nie może być on ważny. — Po tych słowach silniczek zrobił pyk-pyk i kultywator ruszył naprzód.

Bidworthy wbił sobie paznokcie w dłonie i spędził trzydzieści sekund na gromadzeniu tlenu, po czym wycedził ochryple:

— Porozmawiasz z Ambasadorem, czy nie?

— Nie.

— Nie mogę wrócić, nie mając ani jednej informacji dla Jego Dostojności.

— Naprawdę? — Rolnik nie mógł uwierzyć. — Co cię przed tym powstrzymuje? — zdziwił się, a widząc alarmującą zintensyfikację karnacji twarzy swego rozmówcy dodał ze współczuciem: — Ach, no dobrze. Możesz mu przekazać, że powiedziałem... — urwał i zastanawiał się przez chwilę. — Żegnaj i niech was Bóg błogosławi.

Starszy sierżant Bidworthy był silnym człowiekiem, ważył ponad sto kilogramów, od dwudziestu pięciu lat przemierzał kosmos i niczego się nie bał. Słyszał z tego, że nigdy nie pozwalał sobie na chwilę słabości, ale kiedy wrócił na pomost, trząsł się jak osika.

Jego Dostojność utkwiał w nim zimne spojrzenie.

— No i co? — spytał.

— Nie chce przyjść. — Starszemu sierżantowi żyły wystąpiły na czoło. — Ale, Wasza Dostojność, gdyby trafił na kilka miesięcy pod moją komendę, przywołałbym go do porządku i nauczył poruszania się biegiem.

— Nie wątpię, sierżancie — powiedział uspokajająco Ambasador i szepnął na stronie do pułkownika: — Porządny gość, ale kiepski z niego dyplomata. Ma zbyt szorstkie usposobienie i chropawy głos. Może pan pójdzie po tego rolnika? Nie możemy czekać z założonymi rękami, aby się zorientować, od czego zacząć.

— Niech będzie, Wasza Dostojność.

Shelton powlókł się przez pole, stanął przed rolnikiem, uśmiechnął się przymilnie i oznajmił:

— Dzień dobry, mój człowieku.

Farmer zatrzymał maszynę i westchnął, jakby to był jeden z owych dni, które czasami się ma. Spoglądał na przybysza ciemnobrązowymi, niemal czarnymi oczami.

— Skąd myśl, że jestem twoim człowiekiem?

— To taki zwrot retoryczny — wyjaśnił Shelton. Rozumiał już, na czym polegał błąd. Bidworthy trafił na drażliwego faceta. Byli niczym dwa warczące na siebie buldogi. No trudno, jako wyższy oficer posiada kwalifikacje, by radzić sobie ze wszystkimi ludźmi, dobrymi i złymi, słodkimi i skwaszonymi, jowialnymi i opryskliwymi. — Chciałem tylko okazać uprzejmość.

— Trzeba przyznać — medytował rolnik — że warto się o to starać... Jeśli umie się to robić.

Lekko zaróżowiony Shelton z determinacją mówił dalej:

— Kazano mi cię zapytać, czy zechciałbyś łaskawie zaszczyścić nas swą obecnością na statku?

— Kazano?

— Tak.

— Naprawdę i faktycznie kazano?

— Tak.

Rolnik przez chwilę robił minę człowieka, który zatopił się w marzeniach, po czym ocknął się i zapytał dobrotliwie:

— Ty też uważasz, że będziecie zaszczyceni moją obecnością?

— Oczywiście.

— Kłamiesz — oświadczył rolnik.

— Nikomu nie pozwolę zarzucać mi kłamstwa — warknął spąsowiały już pułkownik Shelton,

— Właśnie pozwoliłeś.

Shelton pominął to milczeniem i zapytał nagląco:

— Przyjdiesz na statek?

— Nie.

— Dlaczego?

— Psn! — powiedział rolnik.

— Co takiego?

— Psn!

Barwą tonu przypominało to rodzaj zniewagi. Shelton wrócił przed statek i oznajmił Ambasadorowi:

— To jeden z tych mądrali. Przy końcu udało mi się wydobyć z niego tylko jakieś „psn!”, cokolwiek może to znaczyć.

— Miejscowy żargon — wpadł mu w słowo Grayder. — Strasznie się szerzy od czterystu lat. Spotkałem kilka światów, gdzie tak się to spotęgowało, że faktycznie powstał nowy język.

— Rozumiał pańską mowę? — spytał Ambasador.

— Tak, Wasza Dostojność. Jego też była całkiem dobra. Nie chciał jednak odejść od pracy. — Myślał przez chwilę, a później zaproponował: — Gdyby to ode mnie zależało, sprowadziłbym go tu siłą pod uzbrojoną strażą.

— To by go dopiero zachęciło do złożenia wyczerpujących informacji — podsumował Ambasador z jawną kpiną. Klepnął się po brzuchu, wygładził marynarkę, zerknął w dół na lśniące półbuty. — Nie ma innej rady, muszę sam iść i porozmawiać z nim.

Shelton przeraził się.

— Wasza Dostojność, pan nie może tego zrobić!

— Niby dlaczego?

— To byłoby uwłaczające.

— Jestem w pełni świadomy tego faktu — powiedział oschle Ambasador. — Widzi pan inne wyjście?

— Możemy wysłać patrol, aby poszukał kogoś bardziej skłonnego do współpracy.

— Oraz lepiej poinformowanego — włączył się kapitan Grayder. — W najlepszym razie od jednego gburowatego hreczkosieja wyciągniemy tyle, co kot napłakał. Wątpię zresztą, czy zna choć jedną czwartą tego, czego musimy się dowiedzieć.

— Dobrze. — Ambasador odstąpił od pomysłu osobistego podjęcia wysiłków. — Zorganizujcie patrol i odnieśmy wreszcie jakiś sukces.

— Patrol — powiedział pułkownik Shelton do majora Hame'a. — Natychmiast wyślijcie patrol.

— Wezwijcie patrol — powiedział Hume do porucznika Deacona. — Z miejsca.

— Bezzwłocznie przygotujcie patrol do odprawy, sierżancie — powiedział Deacon.

Bidworthy wspiał się na trap, wetknął głowę do śluzy powietrznej i wrzasnął:

— Sierżant Gleed, zbiórka waszego plutonu przed statkiem. Żywiej, żywiej! — Pociągnął podejrzliwie nosem i skoczył w głąb śluzy. Jego głos zyskał kilka decybeli więcej. — Który to pali? Na Boga, niech tylko złapię tego...

Na drugim końcu pola coś wydawało ciche pyk-pyk i grube kółka z wolna toczyły się do przodu.

Wyrównawszy w prawo, żołnierze sformowali dwusereg, po ośmiu w każdym rzędzie. Ryknęła komenda, patrol wykonał zwrot i ruszył, ogólnie biorąc, w kierunku dzioba. Maszerowali w idealnym rytmie, a nawet z dużym wdziękiem i elegancją ruchów. Buty dudniły unisono, broń wydawała militarny szczeł, a jej metal iskrzył się w pomarańczowym słońcu.

Dowódca plutonu nie musiał daleko prowadzić swoich żołnierzy. Byli sto metrów za wielkim kadłubem stat-

ku, kiedy sierżant zauważył po prawej stronie mężczyznę idącego spokojnie przez pole. Zupełnie ignorując statek, osobnik ten szedł w kierunku rolnika, który wciąż trudził się na polu daleko z lewej strony.

— Patrol, na prawo zachodź! — wykrzyknął Gleed, pragnąc wykorzystać sytuację. Patrol skręcił na prawo i przeszedł tuż obok tubylca, któremu nawet na myśl nie przyszło, by pomachać im chusteczką. Teraz Gleed zarządził „w tył zwrot” i uzupełnił to gestem „brać go”.

Patrol przyspieszył kroku, biorąc obojętnego piechura w środek. Tubylec zlekceważył niespodziewaną eskortę i szedł dalej przed siebie, jakby cały czas myślał, że to tylko sen.

— Na lewo zachodź! — ryknął Gleed. Chciał skierować kondukt w stronę czekającego Ambasadora.

Podwójny rząd grzecznie skręcił w lewo — raz, dwa, trzy, hop! Była to czysta, precyzyjna robota, piękna dla oczu. Miała tylko jeden defekt: mężczyzna w środku z uporem maniaką trzymał się własnej trasy i jakby nigdy nic wyszedł na wolność między numerami cztery i pięć w prawym szeregu.

Gleed wpadł w złość, zwłaszcza że z braku nowych rozkazów patrol kontynuował marsz ku Ambadorowi. Jego Dostojność miał okazję obserwować niezwykle widowisko: straż dreptała na lewo, a więzień beztrąsko oddalał się na prawo. W swoim czasie pułkownik Shelton miałby dużo do powiedzenia na ten temat, a to, o czym zapomniał, miałby w pamięci Bidworthy.

— Patrol! — wychrypiał Gleed. Pokazał palcem na uciekiniera i chwilowo usunął ze swego umysłu wszelkie regulaminowe komendy.

— Brać gamonia!

Łamiąc szeregi skoczyli na jednej nodze i obstąpili wędrowca tak gęsto, że biedak nie mógł dalej iść. Siłą rzeczy musiał się zatrzymać.

Gleed stanął obok niego.

— Słuchaj — wysapał. — Ambasador Ziemi chce z tobą porozmawiać... To wszystko.

Tubylec przyjrzał mu się jasnoniebieskimi oczami. Wyglądał śmiesznie, jakby się od dawna nie golił. Twarz mu okalały frędzle rudych bokobrodów, co nadawało jej wygląd słonecznika.

— Czy ja wiem? — odpowiedział.

— Idziesz porozmawiać z Jego Dostojnością? — nalegał starszy sierżant.

— Niee — tubylec skinął głową na rolnika. — Idę porozmawiać z Zakem.

— Najpierw Ambasador — rzucił ostro Gleed, groźnie mrużąc oczy. — To gruba szyszka.

— Nie wątpię — odparł słonecznik, pokazując lapidarnie, jakiego rodzaju szyszkę miał na myśli.

— Cwaniaczek, hm? — zazgrzytał Gleed. Zbliżył twarz i zrobił bardzo nieprzyjemną minę. Machnął na żołnierzy. — No dobra, bierzemy go do galopu. Dajcie mu szkołę!

Ale cwaniaczek wybrał akurat ten moment do kłapięcia na ziemi. Uczynił to dość gwałtownie, zamieniając się w przykucnięty posąg, solidnie zakotwiczony do wieczności. Gleed miał już jednak do czynienia z siedzącymi, jedyna zaś różnica polegała na tym, że ten był trzeźwy jak niemowlę.

— Podnieście go i zanieście — rozkazał Gleed.

I rzeczywiście, podnieśli go i zanieśli, nogami do przodu, bokobrodami do tyłu. Wisiał w ich rękach bezwładnie, nie stawiając oporu, a zwiotczały ciężar utrudniał im zadanie, jak tylko mógł. W takich niesprzyjających warunkach dotarli przed oblicze Ambasadora i wtedy straż postawiła jeńca na nogi.

Natychmiast ruszył w kierunku Zake'a.

— Trzymajcie go, do diabła! — zawył Glead.

Patrol chwycił i mocno przytrzymał. Ambasador popatrzył na bokobrody z wielkopańsko skrywaną niechęcią, odchrząknął i oznajmił:

— Naprawdę jest mi przykro, że musiałeś przybyć do mnie w taki sposób.

— Więc mogłeś sobie zmniejszyć trochę psychiczne męki — zaproponował więzień — i nie dopuścić do tego.

— Nie było innego wyboru. Musimy jakoś nawiązać kontakt.

— Ja tego nie rozumiem — powiedziały Rude Bokobrody.

- Co jest takiego szczególnego w dzisiejszej dacie?

— W dzisiejszej dacie? — Ambasador zmarszczył brwi ze zdziwieniem. — Co ma do rzeczy data?

— Właśnie o to pytam.

— Nie pojmuję. — Ambasador zwrócił się do pozostałych. — Rozumiecie, do czego on zmierza?

— Mogę zaryzykować domysł, Wasza Dostojność — przemówił Shelton. — Moim zdaniem daje do zrozumienia, że skoro zostawiliśmy ich bez kontaktu na czterysta lat, nie ma specjalnie pilnej potrzeby nawiązywania go właśnie dzisiaj — powiedział, spoglądając wyczekująco na słońce.

Mądrała poparł go z ironią.

— Nieźle ci idzie, jak na tępaka.

Niezależnie od reakcji Sheltona było to zbyt dużo dla Bidworthy'ego, który spurpurowiał. Tors mu się wyprężył, a w oczach zapłonęły błyskawice. Głos miał apodyktyczny i zgrzytliwy.

— Więcej szacunku dla wyższych oficerów!

Błękitne oczy więźnia z dziecinnym zdumieniem obróciły się na starszego sierżanta, zmierzyły go od stóp do głów i od głów do stóp. Następnie spojrzały pytająco na Ambasadora.

— Co to za półgłówek?

Ambasador zbył pytanie niecierpliwym gestem ręki.

— Słuchaj, nie jest naszym zamiarem naprzykrzać ci się z czystej złośliwości, tak jak chyba myślisz. Nie chcemy też zatrzymywać cię dłużej, niż to konieczne. Chcemy po prostu

— I oczywiście ty ustalasz długość tej konieczności? przerwał mu jeniec, skubiący swe kędziory jakby dla zaakcentowania ich agresywnego charakteru.

— Przeciwnie, decyzja należy do ciebie — odciął się Ambasador, demonstrując wspaniałe opanowanie. — Musisz nam tylko powiedzieć...

— A więc już podjąłem decyzję — wtrącił tubylec, próbując wyrwać się swoim prześladowcom. — Idę porozmawiać z Za-kem.

— Wystarczy, jak powiesz — powtórzył Ambasador — gdzie znaleźć miejscową władzę, która może skontaktować nas z waszym rządem centralnym. — Patrzył na jeńca wzrokiem surowym i nie znoszącym sprzeciwu. — Na przykład, gdzie jest najbliższy posterunek policji?

— Psn! — wykrzyknęły Rude Bokobrody.

— Co takiego?

— Psn!

— Ty też! — warknął Ambasador. Cała cierpliwość z niego wyparowała.

— Przecież nic innego nie robię — upierał się zagadkowo więzień. — Tylko mi nie pozwalacie.

— Mogę coś zaproponować, Wasza Dostojność? — wtrącił Shelton. — Proszę mi pozwolić...

— Nie pozwalam, nie potrzebuję niczyich rad. — Ambasador stopniowo tracił cierpliwość. — Mam dość tej błazenady. Jestem zdania, że przypadkowo wylądowaliśmy w rezerwacie imbecyli. Przyjmijmy to do wiadomości i wynośmy się stąd bez dalszej zwłoki.

— Teraz gadasz do rzeczy — pochwaliły Rude Bokobrody. — Im dłużej, tym mądrzej.

— Nie zamierzamy opuszczać planety, jeśli taka myśl powstała w twoim niezgłębionym umyśle — zastrzegł Ambasador. Tupnął w darń właścicielską nogą. — To jest skrawek Imperium Terrańskiego. I dlatego zostanie zlustrowany, oznaczony i zorganizowany.

— Bravissimo! — wetknął swoje trzy grosze starszy radca, który aspirował do tytułu naukowego z elokwencji.

Jego Dostojność poniechał marszczenia brwi.

— Przeniesiemy statek w inne miejsce, gdzie mają bystrzejsze mózgi — powiedział i zwrócił się do straży: — Puście go. Zapewne spieszy mu się, aby pożyczyć brzytwę.

Zwolnili uścisk. Rude Bokobrody niczym namagnesowane igły nieodparcie przyciągane w kierunku Zake'a obróciły się natychmiast w stronę odległego farmera i bez

dalszych słów podjęły swój heroiczny marsz. Bidworthy i Glead odprowadzali go wzrokiem pełnym rozczarowania i wstrętu.

— Proszę natychmiast przestawić statek, kapitanie — polecił Ambasador. — Usiądźmy w sąsiedztwie porządnego miasta, a nie w głuszy, gdzie byle prostak traktuje nieznanomych jak bandę oszustów.

Wspiął się dostojnie po trapie. Potem kapitan Grayder, dalej pułkownik Shelton, a za nim profesor elokwencji. Następnie w prawidłowej kolejności ich następcy. Glead i jego pluton weszli na samym końcu.

Śluza powietrzna zamknęła się. Ryknęła syrena ostrzegawcza. Mimo ogromnej masy statek tylko na moment zadrżał wzdłuż kadłuba i wzbił się w przestworza bez ogłuszającego huku i charakterystycznych fajerków.

W rzeczywistości panowała kompletna cisza, którą zakłócało jedynie pyk-pyk małego silniczka i mamrotanie dwóch mężczyzn, którzy szli za nim. Żaden nie zadał sobie trudu, aby podnieść wzrok i zobaczyć, co się dzieje.

— Siedem funtów najprzedniejszego tytoniu to cholernie dużo za skrzynkę koniaku — zaprotestowały Rude Bokobrody.

— Nie za mój koniak — odparł Zake. — Silniejszy od tysiąca Gandów i gładszy niż upadek Ziemiańska.

8

Następne lądowanie wielkiego statku odbyło się na rozległej równinie około pięciu kilometrów na północ od

miasta, szacowanego na dwanaście do piętnastu tysięcy mieszkańców. Grayder wolałby dokonać wcześniej rozpoznania z niskiej wysokości, nie można jednak manipulować gigantycznym obiektem latającym, zdolnym do penetracji kosmosu, jak balonem na uwięzi. Będąc tak blisko powierzchni planety ma się jedynie dwie możliwości — natychmiastowe wejście na orbitę albo natychmiastowe lądowanie — i nie ma miejsca pośrodku na igraszki.

Tak więc Grayder osadził statek w najlepszym miejscu, jakie mógł w ułamku sekundy znaleźć. Wyciął bruzdę głębokości zaledwie trzech i pół metra — to był twardy grunt na skalistym podłożu. Zrzucano trap. Procesja zesłała w tej samej kolejności co zwykle.

Ambasador rzucił taksujące spojrzenie na okolicę i skrzywił się ze złością.

— Coś tu nie gra. W pobliżu jest miasto. Statek wznosi się tu niczym metalowa góra. Musiało nas widzieć przynajmniej z tysiąc osób, choćby nawet reszta odbywała seanse spirytystyczne za zaciągniętymi kotarami albo w piwnicach rżnęła w pokera. Interesują się? Przejmują?

— Chyba nie — wtrącił Shelton, szarpiąc rytmicznie powiekę dla przyjemnego uczucia uderzeń w gałkę oczną.

— Ja pana nie pytam. Ja pana informuję. Nie przejmują się. Nie są nawet zaskoczeni. Można by sądzić, że spotkali już kiedyś statek wypełniony dżumą lub zgrają oszustów. Co im się stało?

— Może nie są ciekawi? — spekulował Shelton.

— Może. Albo się boją. Kto wie, czy ta banda nie ma większego bzika niż tamte, na poprzednich planetach. Praktycznie każdą zagarnęli jacyś pomyleńcy, którzy chcieli zbudować Raj, gdzie mogliby dawać upust swoim

fanaberiom. A po czterystu latach niezakłóconej ciągłości szalone pojęcia stają się normą. Spadanie z byka uznaje się za coś zwyczajnego i właściwego. To i setki lat wsobnego rozmnażania prowadzą do różnych typów zdziwaczania. Ale już my zdołamy ich wyleczyć przed powrotem.

— Owszem, Wasza Dostojność, nie ulega wątpliwości.

— Wy mi też nie wyglądacie na człowieka zrównoważonego, gdy tak rozciągacie tę powiekę na całą twarz — zganił pułkownika Ambassador. Kiedy Shelton wsunął nerwową dłoń głęboko do kieszeni, Jego Dostojność pokazał na południowy--wschód. — Widać drogę. Wygląda na szeroką i fachowo zbudowaną. Nie buduje się takiej drogi dla zabawy. Dziesięć do jednego, że to ważna arteria.

— Ja też tak sędzę — zgodził się Shelton.

— Niech wasz patrol przespaceruje się po niej, pułkowniku. Jeśli pańscy ludzie w rozsądnym czasie nie przyprowadzą chętnego rozmówcy, wyślemy cały batalion do śródmieścia.

— Patrol — powiedział Shelton do majora Hame'a.

— Wezwać patrol — polecił Hame porucznikowi Deaconowi.

— Znowu patrol, sierżancie — powiedział Deacon.

Bidworthy wygarnął Gleeda z jego ludźmi, pokazał na drogę, zaszczekał parę razy i pogonił ich do roboty.

Pomaszerowali, na przodzie kroczył Glead. Droga znajdowała się prawie kilometr dalej i ostro zakręcała w stronę miasta. Lewy szereg miał doskonały widok na najbliższe przedmieścia i tęsknie przyglądał się zabudowaniom, posyłając do wszystkich diabłów Gleeda wraz z Bidworthym, który rozpałał pod nimi piekielny ogień.

Ledwie stanęli u celu, pojawił się tubylec. Wyjechał z obrzeży miasta na huczącym pojeździe w rodzaju motocykla, mknącym na dwóch dużych gumowych kulach, napędzanych przez osłonięte śmigło. Gleed rozstawił żołnierzy w poprzek drogi.

Nagle wehikuł wydał ostry, przenikliwy dźwięk, który wszystkim kojarzył się z Bidworthym, który zobaczył u kogoś brudne buty.

— Nie ruszajcie się — zarządził Gleed. — Obedrę ze skóry każdego, kto cofnie się i pozwoli mu przejechać.

Znowu metaliczny pisk. Nikt się nie poruszył. Wehikuł przyhamował, podjechał do nich żółtym tempem i stanął. Śmigło utrzymywało wolne obroty, łopatki stały się niemal widoczne i wydawały jednostajny szum.

— Co jest? — spytał motocyklista. Był chudy, miał około trzydziestu lat, nosił złote kółko w nosie i półtora-metrowy warkocz.

Mrugając z niedowierzaniem na taki widok, Gleed zdołał pokazać kciukiem na metalową górę i wykrztusić:

— Statek z Ziemi.

— I na co liczycie w związku z nim? Że dostanę ataku hysterii?

— Liczymy na twoją współpracę — powiedział Gleed, wciąż oszołomiony warkoczem. Nie widział jeszcze czegoś takiego. W niczym nie przypomina kobiecego, pomyślał. Nadaje raczej wyraz okrucieństwa, podobnie — jak w książce z obrazkami — fryzura pewnych północno-amerykańskich aborygenów z zamglonej i dalekiej przeszłości.

— Współpraca — zamyślił się nieznajomy. — No, wreszcie piękne słowo. Znasz oczywiście jego dokładne znaczenie?

— Nie jestem tępakiem.

— Określenie stopnia twojej głupoty nie jest przedmiotem obecnej dyskusji — zauważył motocyklista. Kiedy mówił, kółko w jego nosie lekko się huśtało. — Mówimy o współpracy. Rozumiem, że sam włączasz się do niej bardzo często?

— Naturalnie — zapewnił go Gleed. — Jak każdy, kto wie, co mu się opłaca.

— Nie odbiegajmy od tematu, dobrze? Nie kierujmy rozmowy na boczne tory i nie skaczmy z tematu na temat po całej mapie dyskursywnej. — Zwiększył nieco obroty śmigła, a następnie pozwolił im znowu opaść. — Dają ci rozkazy, a ty je wykonujesz?

— No, oczywiście. Miałbym się z pyszna, gdybym...

— I ty to nazywasz współpracą? — Tubylec przewrwał mu. Pochylił się i zagryzł wargi. — No cóż, miło było fakty z historii. Książki mogły się mylić. — Śmigło błysnęło kręgiem światła i wehikuł ruszył ostro do przodu. — Przepraszam.

Przednia kula gumowa z całą siłą wepchnęła się między dwóch żołnierzy i odrzuciła ich nie czyniąc krzywdy na bok. Z piskiem i jękiem wehikuł ruszył w drogę, a podmuch ze śmigła układał splecioną fryzurę motocyklisty poziomo nad ziemią.

— Debile! — ryknął Gleed, kiedy dwaj nieszczęśnicy podnieśli się i otrzepali ubrania. — Mówiłem, żeby go nie puszczają! Co to ma znaczyć? Dlaczego tak łatwo pozwoliliście draniowi przejechać się po nas?

— Nie było wyboru, sierżancie — odparł któryś gburowato.

— Bez tłumaczeń. Mogliście mu rozerwać balon, gdybyście mieli broń w pogotowiu. To by go powstrzymało.

— Nic pan nie mówił o używaniu broni.

— A gdzie się podziała pańska? — dodał ktoś.

Gleed obrócił się na pięcie.

— Który to powiedział? — warknął, obiegając spojrzeniem długi rząd obojętnych twarzy. Niemożliwością było wykrycie winowajcy. — Ja już wam dam popalić przy najbliższej okazji. Dopilnuję, żebyście...

— Idzie Bidworthy — rozległo się ostrzeżenie.

Starszy sierżant był w odległości czterystu metrów i szybkim, wojskowym krokiem maszerował w ich kierunku. Zjawiwszy się w porę, obrzucił patrol lodowatopogardliwym spojrzeniem.

— Co się stało?

— Zagadał mnie łobuz — poskarżył się Gleed, dając krótki opis wydarzenia. — Przypominał jednego z tych Irokezów z szybem naftowym.

— Naprawdę? — Bidworthy przez chwilę świdrował go wzrokiem, po czym warknął: — A co to jest Irokez?

— Jako dziecko czytałem gdzieś o nich — wyjaśnił Gleed zadowolony, że może podzielić się odrobiną wiedzy. — Wzbogacili się na ropie. Mieli długie warkocze, nosili pledy i rozbijali się połączanymi samochodami.

— To jakiś obłąd — odparł Bidworthy. — Kiedy miałem siedem lat, rzuciłem w kął cały ten chłam z latającymi dywanami. Zanim skończyłem dwanaście, tkwiłem po uszy w balistyce, a jako czternastolatek zająłem się logi-

styką wojskową. — Pociągnął głośno nosem i obrzucił Gleeda spojrzeniem pełnym zawiści. — Niektórzy cierpią na niedorozwój.

— Przecież oni istnieli — stwierdził Gleed. — Mieszkali...

— Tak samo jak wróżki — warknął Bidworthy. — Moja matka tak mówiła. To była uczciwa kobieta. Ona nie wstawiała kitu, przynajmniej zbyt często. — Splunął na drogę. — Niech to diabli! — Westchnął i spojrzał groźnie na patrol. — No dobra, wyciągajcie broń. To znaczy, jeśli macie ją przy sobie, wiecie, gdzie jej szukać i w którym rękę trzymać. Przejmuję komendę. Osobiście zajmę się następnym gagatkiem, jaki się napatoczy.

Usadowił się na dużym kamieniu przy drodze i utkwiał wyczekujące spojrzenie w mieście. Trochę zgnębiony Gleed usiadł obok niego. Patrol stał w poprzek drogi, trzymając broń gotową do strzału. Czas włókł się i nie działo się nic ciekawego.

— Można palić, szefie? — spytał jeden z żołnierzy.

— Nie!

Zapanowało ponure milczenie. Od czasu do czasu oblizywali wargi i intensywnie myśleli. A było o czym. Miasto — jak wszystkie ludzkie siedziby — miało mnóstwo zalet nie spotykanych nigdzie indziej w kosmosie. Światła, towarzystwo, wolność, śmiech, wszystkie atrybuty życia. Poza tym nie można zbyt długo głodować.

Wreszcie z przedmieścia wyłonił się duży autobus. Długie, błyszczące, opływowe cacko. Pędził główną drogą w ich kierunku na dwudziestu kulach, w dwóch rzędach po dziesięć, wydając podobny do motocykla, choć trochę

głośniejszy skowyt. Nie miał dających się zauważyć śmiechów. Wiózł ludzi.

Dwieście metrów przed blokadą spod maski ryknął zajadle głośnie:

— Z drogi! Z drogi!

— To jest to — ucieszył się Bidworthy. — Złapaliśmy całą chmurę tych gagatków. Któryś musi puścić farbę albo rzucam służbę w Korpusie. — Podniósł się z kamienia i stanął w gotowości.

— Z drogi! Z drogi!

— Zróbcie mu sito z balonów, jeśli tylko spróbuje się przebijać — rozkazał Bidworthy.

To nie było konieczne. Autobus zmniejszył tempo i stanął metr przed czekającą tyralierą. Z boku wychylna głowa kierowcy, a pasażerowie z ciekawością przykleili nosy do okien.

Bidworthy opanował się i zdecydował wypróbować działanie braterskiej serdeczności. Podeszedł do kierowcy i wykrztusił z trudem:

— Uroczy poranek!

— Wysiadło ci poczucie czasu — odparł arogancko tubylec. Miał czerwoną kwadratową szczękę, złamany nos, kalafiorowate uszy i wyglądał jak złoczyńca, który często wsiada do samochodu z kompanami, by deptać ludziom po piętach i szukać krwawej zemsty. — Nie stać cię na zegarek?

— Co?

— Jaki poranek? Przecież nadciąga wieczór.

— Faktycznie — przyznał Bidworthy, zmuszając się do krzywego uśmiechu. — Dobry wieczór!

— Nie byłbym taki pewny — medytował kierowca. Pochylił się nad kierownicą i w zadumie drapał się w czuprynę. — Każdego dnia nadchodzi wieczór. Codziennie jest to samo. Mija popołudnie i co się dzieje? Znowu siadamy do kolacji. Już do tego przywykłem. A dzisiejszy przybliży nas po prostu o jeden dzień do grobu.

— To możliwe — zgodził się Bidworthy, nieco dotknięty takim cmentarnym punktem widzenia. — Mam jednak inne sprawy na głowie, więc...

— Po diabła zatruwać sobie życie czymkolwiek, przeszłością, teraźniejszością albo innymi bzdurami, kiedy w powietrzu wiszą dużo gorsze zmartwienia? — westchnął kierowca. — Zabaw tu dłużej, a otworzy ci się nad głową cały worek prawdziwych zmartwień.

— Być może — odparł Bidworthy. Czuł w duchu, że nie jest to dobra pora na roztrząsanie ciemniejszej strony egzystencji. — Wolę jednak rozwiązywać własne kłopoty po swojemu.

— Niczyje kłopoty nie są całkowicie własne, tak samo jak sposoby ich rozwiązywania — ciągnęła bezduszna wyrocznia. — A może już są?

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi — warknął Bidworthy. Cierpliwość starszego sierżanta wyczerpywała się w miarę wzrostu ciśnienia krwi. Ze złością czuł na sobie wzrok Gleeda i żołnierzy z patrolu. Zapewne chichotali jak głupie małpy za jego plecami. No i był jeszcze transport gapiących się pasażerów. — Myślę, że chcesz mnie po prostu zbajerować. Wiedz zatem, że nie ze mną te sztuczki. Jestem tu w określonym celu i cel ten zostanie osiągnięty. Terrański Ambasador czeka...

— My też — zaznaczył kierowca.

— Chce, byś go wysłuchał — ciągnął z uporem Bidworthy. — I ty go wysłuchasz.

— Byłbym ostatnim, który mu w tym przeszkodzi. Mamy wolność słowa. Niech przyjdzie i powie, co ma do powiedzenia, a potem ruszamy w swoją drogę.

— Ty pójdziesz do niego. — Bidworthy pokazał ręką na pasażerów. — Razem z nimi wszystkimi.

— Beze mnie — zaprotestował jakiś grubas, wystawiający głowę z bocznego okna. Nosił okulary o grubych szklach, co nadawało jego oczom wygląd dwóch jajek bez skorupki. Co więcej, zdobił go wysoki, połyskliwy kapelusz w biało-różowe paski. — Beze mnie — powtórzył z wielką stanowczością ten unikat.

— I beze mnie — przyłączył się kierowca.

— W porządku. — Bidworthy zrobił najgroźniejszą z repertuaru swoich min. — Przejeźdź tą ptasią klatką centymetr do przodu lub do tyłu, a rozwalimy ci brzuchate opony w drobny mak. Wyłaź z szoferki.

— Cha, cha. Bardzo mi tu wygodnie. Spróbujcie mnie wyciągnąć.

Bidworthy skinął na sześciu najbliższych żołnierzy.

— Słyszeliście... Wyświadczyć panu tę grzeczność.

Szarpnięciem otworzyli drzwiczki i chwycili go za ręce. Jeśli oczekiwali, że ofiara będzie się bronić mimo beznadziejnej sytuacji, to bardzo się rozczarowali. Kierowca nie próbował stawiać oporu. Żołnierze trzymali i ciągnęli wszyscy razem, on zaś ustępował im z dużą gracją. Jego ciało pochyliło się w bok i wysunęło na zewnątrz do połowy.

Tylko tak daleko zdołali go wyciągnąć.

— Szybciej — niecierpliwił się Bidworthy. — Dajcie go tu. Nie musicie się z nim cackać. Pokażcie mu, kto tu rządzi. Chyba nie przyrósł do fotela?

Jeden żołnierz wczuł się za plecy kierowcy, przebiegł dłońmi po wnętrzu szoferki i oznajmił:

— On jest, no, wie pan.

— Co?

— Przykuty łańcuchem do kolumny kierownicy.

— Bzdura. Pokażcie. — Spojrzał i stwierdził, że faktycznie. Łańcuch oraz mały, choć ciężki i skomplikowany zatrzask szepiały nogę kierowcy z jego autobusem. — Gdzie kluczyk?

— Zrewidujcie mnie — zachęcał kierowca.

Zrewidowali. Wysilek poszedł na marne. Klucza nie było.

— Kto go ma?

— Psn!

— Wepchnijcie go z powrotem — rozkazał Bidworthy z dzikim błyskiem w oczach. — Bierzemy pasażerów. Ten głupek czy tamten, co za różnica. — Podbiegł do drzwi i gwałtownie rozwarł je na oścież. — Wszyscy wychodzić i to szybko.

Żaden nawet nie drgnął. Przyglądali się Bidworthy'emu bez słowa, strojąc różne miny, lecz ani jedna nie przysłużyła się potwierdzeniu jego miłości własnej. Grubas w połyskującym kapeluszu w paski patrzył na starszego sierżanta z kpina w oczach. Bidworthy doszedł do wniosku, że facet mu się nie podoba i że ostry kurs gimnastyki wojskowej mógłby go trochę odchudzić.

— Możecie opuścić autobus na własnych nogach — zaproponował pasażerom, a zwłaszcza grubasowi — albo nogami do przodu. Jak chcecie. Decyzja należy do was.

— Jeśli nie umiesz korzystać z mózgu, to przynajmniej korzystaj z oczu — zachichotał grubas. Poprawił się na swoim miejscu przy akompaniamencie metalicznych zgrzytów i trzasków.

Bidworthy zaakceptował jego pomysł i pochylił się nad progiem, by mieć lepszy widok. Następnie wdrapał się do środka, przeszedł na drugi koniec pojazdu i dokładnie obejrzał każdego pasażera. Kiedy opuścił autobus i odezwał się do Gleeda, jego kwiecista cera była o dwa tony ciemniejsza.

— Każdy jest przykuty. Co do jednego. — Przeszył wzrokiem kierowcę. — Dlaczego wszyscy nosicie kajdany?

— Psn! — odparł beztrosko.

— Kto ma kluczyki?

— Psn!

Bidworthy nabrał głęboko powietrza w płuca.

— Co pewien czas dochodzi do mnie wiadomość, że jakiś nieszczęśnik w amoku położył trupem gromadę ludzi. Zawsze ciekawiły mnie motywy... ale teraz już wiem — mówił sam do siebie, po czym wbił zęby w kostki u dłoni. — Nie można zaprowadzić tej maszyny do statku, bo bałwan blokuje przyrządy. Musimy znaleźć kluczyki albo wziąć nożyce, przeciąć łańcuchy i wypuścić ich na wolność.

— Lepiej pomachaj nam na do widzenia, a później idź i łyknij procha — zaproponował kierowca.

— Zamknij się! Jeśli ugrzęznę tu na kolejny milion lat, dopilnuję, żebyś...

— Idzie pułkownik — mruknął Gleed, trącając łokciem Bidworthy'ego.

Powoli, uroczystym krokiem Shelton przespacerował się dookoła autobusu, zbadał jego konstrukcję i przyjrzał się pasażerom. Cofnął się na widok melonika w paski, którego właściciel patrzył nań z ukosa przez okulary. Następnie podszedł do zgnębionego patrolu.

— Co za problem tym razem, sierżancie?

— Identyczne świry, jak ci poprzedni, pułkowniku. Bezczelnie powtarzają: Psn! — i gwizdzą na Jego Dostojność. Nie chcą wysiąść, a my nie możemy ich do tego zmusić, bo przykuto ich do siedzeń.

— Przykuto? — Brwi Sheltona uniosły się do połowy drogi ku włosom. — Za co, na litość boską?

— Nie wiem, pułkowniku. Mogę tylko powiedzieć, że skuto ich jak bandę gangsterów w drodze do mamra, więc...

Shelton oddalił się, nie czekając a ciąg dalszy. Sprawdził wszystko osobiście i wrócił do Bidworthy'ego.

— Może coś w tym jest, sierżancie. Ale to raczej nie są przestępcy.

— Nie, pułkowniku?

— Nie. — Shelton rzucił znaczące spojrzenie na kolorowe nakrycie głowy grubasa i kilka innych osobliwości garderobianych, łącznie z szeroką na prawie pół metra kokardą w groszki zdobiącą pewnego rudzielca. — Bardziej prawdopodobne, że to transport wariatów w drodze do przytułku. Zapytam kierowcę — oznajmił, podchodząc do szoferki.

— Nie mógłbyś podać mi celu waszej podróży?

— Tak.

- Doskonale. A więc, dokąd jedziecie?
- Posłuchaj — odparł kierowca — czy my mówimy tym samym językiem?
- Hm? Co proszę?
- Zapytałeś, czy nie mógłbym podać ci celu naszej podróży, a ja odpowiedziałem, że tak. — Zamachał lekceważąco ręką. — Nie mógłbym.
- Odmawiasz odpowiedzi?
- Nie robisz postępów, synu.
- Synu? — wtrącił drżący ze wściekłości Bidworthy.
- Zdajesz sobie sprawę, że rozmawiasz z pułkownikiem?
- Co to jest pułkownik? — zaciekał się kierowca.
- Jasny gwint, jeśli nie...
- Zostawcie to mnie — zażądał Shelton, gestem ręki uciszając oburzonego Bidworthy'ego. Z kamiennym obliczem przeniósł uwagę na kierowcę. — Ruszajcie w drogę. Przepraszam za kłopoty.
- Nic nie szkodzi — powiedział z przesadną grzecznością kierowca. — Pewnego dnia zrewanżuję ci się tym samym.

Wypowiedziawszy tę enigmatyczną uwagę, puścił maszynę w ruch, patrol rozstąpił się, aby zrobić miejsce. Kiedy wycie stopniowo osiągnęło najwyższe tony, autobus pomknął przed siebie i chwilę później zniknął w tumanach kurzu.

Bidworthy był purpurowy na twarzy, a jego oczy w każdej chwili mogły wystrzelić z głowy.

— Na tym zadupiu jest więcej parszywych kutafonów, którzy potrzebują dyscypliny — pomstował — niż gdziekolwiek indziej w naszej części...

— Spokojnie, sierżancie — nalegał Shelton. — Czuję się identycznie jak pan, ale... dbam o tętnice. Zapychanie ich adrenaliną jak chwastami nie rozwiązuje żadnego problemu.

— Możliwe, pułkowniku, ale...

— Mamy tu do czynienia z czymś bardzo dziwnym — ciągnął Shelton. — Musimy się dowiedzieć szczegółowo, co to jest i jak sobie z tym radzić. Według wszelkiego prawdopodobieństwa oznacza to, że musimy zmienić taktykę. Na razie patrol niczego nie osiągnął. Marnuje czas. Trzeba znaleźć skuteczniejszy sposób nawiązania kontaktu z czynnikami miarodajnymi. Sierżancie, niech żołnierze wracają na statek.

— Tak jest, pułkowniku. — Bidworthy zasalutował, wykonał w tył zwrot, strzelił obcasami i otworzył przepastne usta. — Patrol... Równaj w prawo!

Konferencja na pokładzie trwała całą noc i przeciągnęła się prawie do południa. W trakcie tych swarliwych godzin przejeżdżały drogą najrozmaitsze środki transportu, głównie kołowego, nikt się jednak nie zatrzymał, by rzucić okiem na gigantyczny statek kosmiczny, nikt nie przyszedł zamienić kilku przyjaznych słów z załogą. Dziwni mieszkańcy tego świata wydawali się dotknięci lokalną odmianą psychicznej ślepoty, niezdolnością widzenia czegokolwiek, póki nie rzuci im się tego pod nos, a i wtedy krzywo by na to patrzyli.

Późnym rankiem przejechała z wyciem długa, niska ciężarówka na dwóch tuzinach kul, wyładowana dziewczętami w jaskrawych chustkach na głowie. Dziewczęta śpiewały melodyjnie piosenkę o jednym, krótkim pocałunku „zanim się rozstaniemy, kochanie”. Kilku żołnierzy

próżnujących przy trapie gwałtownie się ożywiło. Wymachiwali, gwizdali i pokrzykiwali. Ich wysiłek poszedł całkowicie na marne, gdyż śpiew ani na chwilę nie ustał i żadna z dziewcząt nie pomachała im ręką.

Na dodatek Bidworthy zepsuł spragnionym miłości całą przyjemność, wystawiając głowę z luku w służbie powietrznej.

— Jeśli rozpiera was nadmiar energii, małpoludy, to mogę znaleźć wam jakąś robotę... ładną, brudną robótkę — ryknął. Zanim się wycofał, każdego osobno spopielił wzrokiem.

Kadra dowódcza siedziała na dziobie za stołem w kształcie podkowy i rozważała sytuację. Z braku nowych pomysłów większość bardzo stanowczo i skwapliwie powtarzała to, o czym mówiła poprzedniego dnia wieczorem.

— Czy ma pan pewność — zapytał kapitań Ambador — że nikt nie odwiedzał tej planety od czasu, gdy cztery wieki temu ostatni transport emigrantów zrzucił na nią resztę ładunku?

— Mam absolutną pewność, Wasza Dostojność. Każda wizyta byłaby odnotowana w rejestrach.

— Zgoda, gdyby składał ją statek z Terry. A co z innymi? Czuję w kościach, że ci ludzie padli kiedyś ofiarą jednego lub więcej obiektów latających, które zawinęły tu nieoficjalnie i tego czasu są nieufni wobec przybyszów z kosmosu. Może ktoś potraktował ich brutalnie i próbował wepchnąć się bez zaproszenia? Może musieli odpierać atak bandy piratów albo wykiwała ich zgraja nieuczciwych handlarzy.

— Wykluczone, Wasza Dostojność. — Grayder zdu-
sił śmiech. — Emigranci rozproszyli się po tak wielu świa-
tach, że do dziś każdy z nich jest słabo zaludniony, zacofa-
ny i absolutnie niezdolny do budowy jakichkolwiek stat-
ków kosmicznych, nawet najprostszych. Niektórzy mają
być może przygotowanie techniczne, lecz brak im urzą-
dzeń przemysłowych, a tych potrzebują bez liku.

— Tak, zawsze to rozumiałem.

— Wszystkie obiekty latające z napędem Bliedera
buduje się w Systemie Słonecznym i rejestruje jako statki
terrańskie. Wszelkie ruchy statków podlegają ewidencji i
aktualne położenie każdego z nich jest dokładnie znane.
Pozostałe istniejące jeszcze statki to osiemdziesiąt albo
dziewięćdziesiąt staroświeckich promów, kupionych po
cenie złomu przez System Epsilona do transportu siły ro-
bowczej pomiędzy jego czternastoma ciasno rozmieszcz-
nymi planetami. Przestarzały statek o napędzie rakieto-
wym nie zdołałby dolecieć tutaj nawet przez sto lat.

— Nie, oczywiście, że nie.

— Żadnych prywatnych statków, zdolnych do lotów
na takie odległości, po prostu nie ma — zapewniał Gray-
der. — Piratów też, głównie z tego samego powodu. Napęd
Bliedera tyle kosztuje, że kandydat na pirata musiałby
posiadać miliardy, aby nim zostać.

— W takim razie — odezwał się Ambasador — wra-
camy do mojej pierwotnej hipotezy, że wskutek długo-
trwałego rozmnażania wsobnego stali się jeszcze więk-
szymi wariatami niż ich przodkowie.

— Dużo przemawia za tą hipotezą — wtrącił Shel-
ton. — Trzeba było widzieć pasażerów autobusu. Dobrze
ich sobie obejrzałem. Jeden wyglądał jak zbankrutowany

przedsiębiorca pogrzebowy w przydeptanych butach — lewy brązowy, a prawy obrzydliwie żółty. Inny miał twarz niczym tarcza księżycy i paradował w kapeluszu ze skóry ściągniętej najwyraźniej z godła nad zakładem fryzjerskim, cała była w paski. — Skończył żalosną próbą dowcipkowania: — Brakowało mu tylko słomki do puszczenia baniek mydlanych... Dostanie ją pewnie po przybyciu na miejsce.

— To znaczy gdzie?

— Nie wiem, Wasza Dostojność. Nie chcieli zdradzić celu swojej podróży.

Ambasador z ironią popatrzył na Sheltona.

— Oto cenny wkład do całokształtu pańskiej wiedzy — zauważył. — Nasze umysły są teraz bogatsze o refleksję, że anonimowy osobnik może dostać błahy przedmiot nieokreślonego przeznaczenia, kiedy przybędzie w nieznanym miejscu.

Shelton żałował, że w ogóle widział tego grubasa, a zresztą i cały ten sfiksowany świat.

— Muszą mieć gdzieś stolicę, centrum administracyjne, siedzibę rządu, w której działają ludzie pociągający tutaj za sznurki — dowodził Ambasador. — Musimy znaleźć tę miejscowość, a później przejąć władzę i wprowadzić zmiany zgodne ze współczesnymi standardami. Rozmiary stolicy odpowiadają powierzchni administrowanego terenu. Nie jest to nigdy zwykle, pospolite miejsce. Ma naturalnie wyróżniające cechy fizyczne i powinno być łatwo widoczne z powietrza. Musimy przeprowadzić systematyczny ogląd... Prawdę powiedziawszy, należało to zrobić na samym początku. Stołeczne miasta innych planet

udało się zlokalizować bez kłopotu. Co się u licha dzieje na tej?

— Niech pan sam zobaczy, Wasza Dostojność. — Grayder szturchnął kilka fotografii leżących na pulpicie. — Warunki są zbliżone do tych, jakie mieliśmy na Higiei. Wyraźnie widać obie półkule. Nie ma na nich niczego, co przypominałoby jakąś metropolię. Nie ma ani jednej osady, wyraźnie większej od innych, ani jedna nie posiada cech odróżniających ją od pozostałych.

— Nie ufam fotografiom, zwłaszcza robionym przy dużej prędkości i z dużej wysokości. Gołe oko na ogół widzi więcej. Mamy cztery kapsuły ratownicze, które powinny móc spenetrować ten świat od bieguna do bieguna. Dlaczego ich nie wykorzystać?

— Ponieważ nie są do tego przystosowane, Wasza Dostojność.

— Czy to ważne, jeśli pozwolą osiągnąć cel?

— Szalupy ratownicze nie nadają się do tego — cierpliwie wyjaśniał Grayder. — Wystrzeliwuje się je w wolnej przestrzeni i natychmiast rozwijają prędkość sześćdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę. To są zwykłe, przestarzałe rakiety, stosowane w przypadkach śmiertelnego zagrożenia.

— No i co z tego?

— Nie można dokonać skutecznej obserwacji powierzchni gołym okiem przy prędkości większej niż sześćset kilometrów na godzinę. Proszę spróbować, a skończy się na tym, że będzie pan szybować rakieta z prędkością lądowania, będzie zatykał jej dysze, demolował silniki, marnował tony paliwa i ryzykował katastrofę,

która z pewnością spotka pana przed wykonaniem zadania.

— Wobec tego najwyższa pora, byśmy mieli kapsuły ratownicze z napędem Bliedera na statkach z napędem Bliedera — podsumował Ambasador.

— Święta racja, Wasza Dostojność. Tylko że najmniejszy statek z napędem Bliedera waży ponad trzysta ziemskich ton. To o wiele za dużo dla małych kapsuł ratowniczych. — Zgarnął zdjęcia i wrzucił je do szuflady. — Kłopot polega na tym, że wszystkie nasze aparaty do latania poruszają się grubo za szybko. W gruncie rzeczy przydałby nam się starożytny śmigłowiec. Potrafiłby robić to, czego my nie potrafimy... Latać powoli.

— Równie dobrze mógłby pan tęsknić za rowerem — zaśmiał się Ambasador. Czuł, że go przegadano.

— Mamy rower — oznajmił Grayder. — Należy do dziesiątego mechanika Harrisona.

— Naprawdę wniósł go na pokład?

— Wszędzie go zabiera. Krążą plotki, że on z nim sypia.

— Astronauta na rowerze! — Ambasador wsiąkał nos z głośnym hukiem. — Rozumiem, że podnieca go uczucie wielkiego pędu, ekstaza pokonywania kosmosu na łeb na szyję?

— Kto wie, Wasza Dostojność?

— Mhm! Dajcie no tego Harrisona. Chcę mu się przyjrzeć. Może należy wysłać pomyleńca, aby znalazł pomyleńca.

Grayder przemówił za pośrednictwem systemu nagłaśniającego statku:

— Dziesiąty mechanik Harrison natychmiast zgłosi się w sterówce.

Harrison zjawił się w ciągu dziesięciu minut. Ciężko dyszał i miał zmierzwiłone włosy. Pokonał pieszo więcej niż kilometr pędząc z przedziału do sterówki. Był blady i osowiały, spodziewał się kłopotów. Miał tak duże uszy, że chyba nie musiał pedałowac przy wietrze w plecy; teraz wachlował nimi nerwowo w obliczu grupy wyższych oficerów. Ambasador oglądał go z ciekawością, trochę jak zoolog, który odkrył różową żyrafę.

— Zdaje się, że macie rower, mój panie.

Harrison natychmiast przyjął postawę obronną.

— Regulamin tego nie zabrania, proszę pana, dlatego...

— Pał diabli regulamin — zaklął Ambasador. — Umiecie na nim jeździć?

— Oczywiście, proszę pana.

— Świetnie. Utkwiliśmy w absurdalnej sytuacji i sięgamy do absurdalnych metod, aby się z niej wydostać. Od waszej zdolności i chęci jazdy na rowerze zależą losy Imperium. Rozumiecie mnie, chłopcze?

— Rozumiem, proszę pana — powiedział Harrison. Nie miał pojęcia, o co chodzi.

— A więc wykonacie dla mnie bardzo ważne zadanie. Chcę, byście wyciągnęli wasz rower, pojechali do miasta, znaleźli burmistrza, szeryfa, jakąś grubą rybę, wielką szychę, czy jak się to tu nazywa. Powiecie temu człowiekowi, że jest oficjalnie zaproszony na kolację wraz ze wszystkimi dygnitarzami, jakich zechce ze sobą przyprowadzić. Odnosi się to także, rzecz jasna, do ich małżonek.

— Tak jest.

— Stroje dowolne — dodał Ambasador.

Harrison postawił jedno ucho na sztorc, a drugie opuścił.

— Słucham, proszę pana?

— Mogą się ubrać, jak chcą.

— Aha. Mam jechać w tej chwili, proszę pana?

— Bezzwłocznie. Wracajcie natychmiast, jak tylko będziecie mogli przywieźć mi odpowiedź.

Harrison zasalutował niedbale i wyszedł. Jego Dostojność odnalazł fotel, wyciągnął się jak długi i uśmiechnął z zadowoleniem.

— Łatwizna. — Wyjął długie cygaro i odgryzł koniuszek. — Skoro nie możemy poruszyć ich umysłów, odwołamy się do żołądków. — Spojrzał na Graydera z miną człowieka znającego się na rzeczy. — Kapitanie, dopilnujcie, jeśli łaska, żeby nie brakowało napojów. I to mocnych. Wenusjański koniak albo coś równie silnego. Dajcie im dużo gorzałki; godzinka przy suto zastawionym stole, a będą mieli jęzorami całą noc. Nie zdołamy ich uciszyć. — Zapalił cygaro, wypuszczając wykwintnie kłęby dymu. — To sprawdzona i pewna metoda wzniosłej dyplomacji... Podstępne uwiedzenie wydatnego brzucha. To zawsze działa. Sam się pan przekona!

9

Pedałując energicznie w kierunku miasta, dziesiąty mechanik Harrison dotarł do pierwszej ulicy. Po obu stronach ciągnęły się jednorodzinne domki ze schludnymi ogródkami i od frontu, i od tyłu. Pulchna kobieta o sympat-

tycznej twarzy strzygła żywopłot. Miała już połowę pracy za sobą, gdy Harrison zatrzymał się obok niej i grzecznie przyłożył palce do czapki.

— Przepraszam panią. Szukam najbardziej ważkiego człowieka w mieście.

Odwróciła głowę. Poświęciła Harrisonowi najwyżej obojętne spojrzenie i wskazała nożycami na południe.

— To będzie Jeff Baines. Pierwsza na prawo i druga na lewo. Mały sklepik z delikatesami.

— Dziękuję.

Ruszył dalej, słysząc za plecami rytmiczne ciach-ciach. Pierwsza na prawo. Objechał długą, niską ciężarówkę na gumowych kulach, zaparkowaną na zakręcie. Druga na lewo. Troje dzieci pokazało go z zapalem palcami, krzycząc piskliwie, że tylne koło mu się kręci. Ujrzał delikatesy, oparł pedał na krawężniku, pogłaskał uspokajająco swój wehikuł i wszedł do środka na spotkanie z Jeffem.

Było na co popatrzeć. Jeff miał cztery podbródki, półmetrowy kark i gigantyczny brzuch, który odstawał mu na odległość pół metra. Zwykły śmiertelnik zmieściłby się w jednej nogawce jego spodni, i to nie zwracając sobie głowy zdejmowaniem skafandra do nurkowania. Jeff Baines ważył co sto pięćdziesiąt kilogramów i bez wątpienia był najbardziej ważkim człowiekiem w mieście.

— Chcesz czegoś? — spytał, unosząc się z samego dołu.

— Niezupełnie. — Harrison spojrział na bogaty asortyment żywności i doszedł do wniosku, że w tym lokalu nie wyrzuca się kotom niczego, czego nie udało się sprzedać do wieczora. — Szukam pewnej osoby.

— Właśnie teraz? Zwykle unikam takich... Ale każdemu według gustu. — Zastanawiał się przez chwilę, ciągnąc za grubą wargę, po czym oznajmił: — Spróbuj u Sida Wilcocka na Dane Avenue. To najpewniejsza osoba w mieście, jaką znam.

— Nie to miałem na myśli — powiedział Harrison. — Chciałem powiedzieć, że szukam kogoś szczególnego.

— To dlaczego u diabła od razu tego nie powiedziałeś? — Jeff Baines wgrzył się w nowy problem, po czym złożył inną propozycję: — Tod Green powinien idealnie odpowiadać twoim wymaganiom. Znajdziesz go w sklepie z obuwem na końcu ulicy. Tod jest bardzo szczególnym człowiekiem dla wszystkich. Strasznie grymaśny pedant.

— Ty mnie wciąż nie rozumiesz — westchnął Harrison, a potem wyjaśnił sklepikarzowi dokładnie: — Chcę znaleźć jakąś miejscową grubą rybę i zaprosić go na balangę.

Jeff Baines wsparł się o wysoki stołek, z którego spływał niemal pół metra w dół, i ze zdziwieniem przyglądał się Harrisonowi.

— Coś tu nie gra. Tak, to jakiś obłąd.

— Dlaczego?

— Zmitręzysz pół życia szukając syreny, zwłaszcza że upierasz się przy grubym samcu. Poza tym, jaki sens obarczać faceta wdziękiem jedynie dlatego, że ma łuski i ogon?

— Co?

— Zdrowy rozsądek odpowiada, że najlepiej obciążyć kogoś wdziękiem równocześnie z likwidacją własnego, racja?

— Tak? — Harrisonowi opadła szczęka, a jego umysł począł zmagać się z dziwnym problemem likwidacji własnego wdzięku.

— Więc nie wiesz? Pokazujesz migdałki i robisz głupią minę, bo nie wiesz? — Jeff Baines wymasował sobie dwa podbródki. — Czy twój strój to uniform? — westchnął, pokazując na tors Harrisona.

— Tak.

— Prawdziwy, na trwale ufarbowany uniform?

— Oczywiście.

— Ach — wykrzyknął Jeff. — I tym mnie zmyliłeś... Przychodząc sam, w pojedynkę. Gdyby zjawiała się tu cała grupa takich jak ty w identycznych ubraniach, wiedzielibym od razu, że to uniformy. Bo one właśnie to oznaczają: uniformizacja, wszyscy identyczni. Tak?

— Pewnie tak — przyznał Harrison. Nigdy się nad tym nie zastanawiał.

— A więc jesteś z tego statku. Powinienem się od razu domyślić. Coś kiepsko u mnie dzisiaj z rozumowaniem. Ale nie spodziewałem się, że zobaczę jednego człowieka, tylko jednego, który będzie zażywał ruchu na hulajnodze z pedałami. Teraz mi wierzysz, co?

— Tak — odparł Harrison, ostrożnie zerkając przez ramię dla pewności, że żaden spryciarz nie doprowadził mu roweru, gdy jest zajęty miłą pogawędką. — Teraz ci wierzę.

— Dobrze, ustalmy to wreszcie. Po coś tu przyjechał i czego chcesz?

— Cały czas usiłuję ci powiedzieć. Wysłano mnie na...

— Wyślano? — Oczy Jeffa rozszerzyły się lekko. — Chcesz powiedzieć, że naprawdę pozwoliłeś się wysłać?

Harrison wlepił weń wzrok.

— Oczywiście. Czemu nie?

— Ach, już wiem — ucieszył się Jeff, a jego zakłopotane oblicze rozjaśniło się raptownie. — Zbijasz mnie z tropu tym dziwnym sposobem mówienia. A prawda polega na tym, że obciążyleś kogoś wdziękiem.

— Na miłość boską, co to znaczy? — spytał z rozpaczą Harrison.

— On nie wie — zdziwił się Jeff Baines, pobożnie kierując wzrok na sufit. — On nie wie nawet tego! — Przez krótką chwilę spoglądał na ignoranta z protekcyjną litością. — Jesteś może głodny?

— Nie zmieniaj tematu.

— Dobrze. Mógłbym ci to wyjaśnić. Ale zrobię coś lepszego... Pokażę ci. — Jeff Baines dźwignął się ze stołka i kaczkowatym chodem podszedł do drzwi na zapleczu. — Bóg jeden wie, dlaczego miałbym zaprzętać sobie głowę edukowaniem uniformu. Rzecz w tym, że mi się nudzi. Idziemy, chodź za mną.

Harrison posłusznie wszedł za ladę, przystanął i rzucił niespokojnym okiem na rower, po czym ruszył za swym przewodnikiem na podwórze.

Jeff Baines pokazał stos skrzynek.

— Konserwy w puszkach. — Skinął na przyległy magazyn.

— Rozpruj skrzynki i ułóż tam stosy puszek. Puste opakowania wyrzuć na zewnątrz. Pracuj, jeśli chcesz, a jak nie chcesz, to nie.

W końcu mamy wolność, prawda? — Z tymi słowy pokuśtykał z powrotem do sklepu.

Zostawszy sam, Harrison podrapał się w swoje duże uszy i rozważył sytuację. Czuł, że kryje się za tym jakiś chytry podstęp. Gamonia nazwiskiem Harrison wystawiono na pokusę zdobycia dyplomu frajera. Skoro jednak gra jest korzystna dla organizatora, może warto poznać jej reguły, by móc później przekazać je następnym kandydatom na ofiary. Kto nie sieje, ten nie zbiera.

Tak więc postąpił zgodnie z prośbą Jeffa. Kosztowało go to dwadzieścia minut ciężkiej, mozolnej pracy, po której wrócił do sklepu.

— No, zrobiłeś coś dla mnie. To znaczy, obciążyleś mnie wdziękiem. Nie dziękuję ci za przysługę. Nie ma potrzeby. Muszę tylko skasować ten wdzięk.

— Wdzięk?

— Dług wdzięczności. Po co używać długiego wyrażenia, kiedy krótkie w zupełności wystarczy? Dług wdzięczności to wdzięk. Przerzucę go tak: Seth Warburton, tuż obok, ma na karku pół tuzina moich wdzięków. Pozbędę się twojego i uwolnię Seta od jednego wobec mnie, podsyłając cię do niego na obiad. — Nagryzmolił coś na świstku papieru. — Oddaj mu to.

Harrison wytrzeszczył oczy. Gryzmoły brzmiały krótko i wyraźnie:

„Nakarm tego dupka”.

Lekko oszołomiony Harrison wyszedł ze sklepu, stanął obok roweru i jeszcze raz obejrzał papier. Duppek. Niejeden ze statku wybuchnąłby gniewem na widok takiego tekstu. Przeniósł uwagę na drugi sklep w głębi ulicy. Okno

miał wypełnione artykułami spożywczymi, a na szyldzie powyżej biegł napis: „Wyżerka u Seta.”

Harrison powziął decyzję, do której zachęciło go burczenie w brzuchu. Poszedł do Seta z kartką w ręku niczym z nakazem egzekucji. Za drzwiami widać było długi kontuar i trochę dymu. Rozległ się stukot naczyń kuchennych. Wybrał miejsce przy stoliku z marmurowym blatem, zajmowanym przez brunetkę o szarych oczach.

— Można? — zapytał grzecznie, sadowiąc się na krześle.

— Co można? — Spojrzała na jego uszy, jakby to było wyjątkowe zjawisko. — Zatańczyć, pocałować, nakarmić psa czy prosić o rękę?

— Można się przysiąc?

— Mogę robić, co mi się podoba, czy to przeżyję, czy nie. Chyba mamy wolność, co?

— Tak, no jasne. — Wiercił się na krześle z uczuciem, jakby wykonał świetny ruch, a w efekcie dostał mata. Szukał w myślach innego tematu do rozmowy, tymczasem mężczyzna o wychudłej twarzy, odziany w biały fartuch, postawił przed nim duży talerz z porcją smażonego kurczęcia i trzema dodatkami nieznanego pochodzenia. Na ten widok odwaga Harrisona gdzieś się ulotniła. Przez całe lata nie miał w ustach smażonego kurczaka, a jedyne warzywa, którymi częstowano go od miesięcy, miały postać proszku.

— No — mruknął kelner, opacznie rozumiejąc fascynację Harrisona. — Nie podoba ci się?

— Tak — Harrison podał mu świstek papieru. — Bardzo.

I to jeszcze jak.

Kelner rzucił okiem na kartkę.

— Zatarłeś jeden u Jeffa — krzyknął do jakiejś postaci przy drugim końcu lady i oddalił się, drąc papier na drobne kawałeczki.

— Błyskawiczny przerzut — zauważyła brunetka, skinąwszy głową na kopiasty talerz. — Obarcza cię ciężkim wdziękiem obiadowym, a ty z miejsca go odbijasz i jesteście kwita. Ja będę musiała pozmywać talerze, by zlikwidować mój wdzięk. Albo skasować inny, który Seth z kolei ma u kogoś.

— Ja ułożyłem tonę konserw w puszkach. — Harrison sięgnął po nóż i widelec, przetykając ślinkę. Na statku nie używali widelców ani noży, nie nadawały się do nabierania proszku i pigułek. — Człowiek nie ma większego wyboru, no nie? Trzeba brać, co leci?

— Nieprawda, jeśli ma się wdzięk u Seta — stwierdziła. — Bo wtedy on musi go odrobić, najlepiej jak potrafi. Powinieneś to wykorzystać, a nie zdawać się na los szczęścia i później narzekać.

— Nie narzekam.

— Twoje prawo. W końcu mamy wolność, tak czy nie? — Zamyśliła się przez chwilę, a potem dodała: — Rzadko jestem o jeden wdzięk do przodu u Seta. ale kiedy jestem, krzykiem zamawiam mrożonego ananasa i Seth migiem go przynosi. A kiedy on jest do przodu, ja biegam. — Szare oczy kobiety zwęziły się z wyrazem nagłego podejrzenia. — Nadstawiasz uszu, jakby to wszystko było dla ciebie nowe. Jesteś tu obcy?

Kiwnął głową, usta miał wypełnione kurczakiem. Nieco później zdołał wykrztusić:

— Przyleciałem tym statkiem kosmicznym.

— Niech to lichy! — Kobieta oniemiała ze zdumienia. — Antygand! Na myśl by mi nie przyszło. Ale, ale, ty przecież wyglądasz niemal jak człowiek.

— Od dawna szczycę się tym podobieństwem. — Gryzł, połykał i rozglądał się po sali. Nadszedł mężczyzna w białym fartuchu. — Co jest do picia? — zapytał Harrison.

— Dicz, podwójny dicz, szemak albo kawa.

— Kawa. Duża i czarna.

— Szemak jest lepszy — doradziła brunetka, gdy kelner poszedł po kawę. — Ale dlaczego ja ci to mówię?

Kawa zjawiła się w mniej więcej półlitrowym kubku.

— Chcesz dopilnować, żeby Seth pozbył się jednego do końca? Co bierzesz do kawy — placek z jabłkami, smakoł impikowy, konsum z tartym serem czy kanimelona w syropie?

— Mrożonego ananasa.

— Uff! — Kelner zamrugał oczami, spoglądając z pretensją na brunetkę. Przyniósł deser i postawił go przed Harrisonem. Ten pchnął talerzyk na drugi koniec stołu.

— Idź na całość i spraw sobie przyjemność.

— Należy do ciebie.

— Nie mógłbym go zjeść, nawet gdybym spróbował. — Nadział kolejną porcję kurczaka, zamieszał kawę i poczuł, że ogarnia go absolutna harmonia z wszechświatem. — Aż nadto starczy mi tego, co mam na talerzu. — Zrobił zachęcający gest widelcem. — Nie krępuj się, daj upust łakomstwu i pal diabli talie.

— Nie. — Stanowczym ruchem odsunęła ananasa. — Jeśli wezmę go do ust, obciążę się nowym wdziękiem.

- No to co?
- Nie pozwalam obcym obciążać mnie wdziękami.
- Też racja. Bardzo słusznie — pochwalił Harrison.
- Obcy często mają dziwne zachcianki.
 - Jesteś oblatany — zauważyła. — Ale nie widzę niczego dziwnego w zachciankach.
 - Cyniczka! — Ananas odbył następną przejażdżkę w stronę kobiety. — Jeśli sądzisz, że obciążę cię wdziękiem, który będzie trudno spłacić, możesz załatwić to przyzwoicie tu i teraz. Potrzebuję tylko kilku informacji.
 - Słucham.
 - Powiedz mi po prostu, gdzie mogę znaleźć największą szychę w okolicy.
 - To proste. Wstąp do zakładu Aleca Petersa w połowie Dziesiątej Ulicy. — Mówiąc to, poczęstowała się ananasem.
 - Dziękuję. Już się bałem, że wszyscy w tym mieście pogłupieli albo odbiła im szajba.
- Kontynuował posiłek, a gdy skończył, rozparł się na krześle. Niezwykła strawa spięła mózg Harrisona do nieco energiczniejszej pracy i chwilę później po jego twarzy przebiegł cień uporczywych wątpliwości.
 - Czy ten Peters prowadzi skład runa leśnego?
 - Naturalnie. — Odsunęła talerz z westchnieniem przyjemności.
 - Ja szukam burmistrza — wychrypiał gardłowo.
 - Cóż to takiego?
 - Numer jeden. Wielki szef. Wódz, szaman, kacyk czy jak go tam nazywacie.
 - Nic mi to nie mówi. — Kobieta była autentycznie zaintrygowana.

— Najważniejszy mieszkaniec. Człowiek, który prowadzi całe wasze miasto.

— Wyłóż to nieco jaśniej. — Ze wszystkich sił starała mu się pomóc. — Kogo lub co ten człowiek miałby prowadzić?

— Ciebie, Seta i pozostałych. — Zamachał ręką, jakby obejmował cały gród.

Zmarszczyła brwi.

— Prowadzić nas dokąd?

— Tam, dokąd zmierzacie.

Ustąpiła pokonana i gestem dłoni wezwała na pomoc kelnera w białym fartuchu.

— Matt, czy my dokądś zmierzamy?

— Skąd mam wiedzieć?

— Idź zapytaj Seta.

Matt oddalił się, ale niebawem wrócił.

— Mówi, że o szóstej idzie do domu i że nic ci do tego.

— Ktoś go zaprowadzi? — spytała.

— Nie pleć głupstw — skarcił ją Matt. — Przecież zna drogę i jest zupełnie trzeźwy.

— Słuchajcie! — rzucił Harrison. — Nie pojmuję, dlaczego tak trudno to zrozumieć. Powiedzcie mi po prostu, gdzie mogę znaleźć jakąś osobę urzędową... Prefekta policji, miejskiego skarbnika, zarządcę cmentarza albo chociaż zwykłego sędziego pokoju.

— Co to jest osoba urzędowa? — spytał wyraźnie już zmieszany Matt.

— Co to jest sędzia pokoju? — zaciekawiała się brunetka.

Mózg dziesiątego mechanika wpadł w poślizg i obrócił się parę razy wokół własnej osi. Minęło trochę czasu, nim Harrison uporządkował myśli i spróbował z innej beczki.

— Wyobraźmy sobie — powiedział do Matta — że w tej spelunie wybuchła pożar. Co robisz?

— Dorzucam do ognia, żeby poszła z dymem — warknął Matt. Miał już dosyć i nie próbował tego taić. Wrócił za kontuar z miną człowieka, który nie zamierza tracić słów na takiego półgłówka.

— Zgasi go — odezwała się brunetka. — A co innego może zrobić, twoim zdaniem?

— Przypuśćmy, że sobie nie poradzi?

— Wezwie ludzi na pomoc.

— I przyjdą?

— Oczywiście. — Spojrzała na niego z wyrazem litości. — Nie zmarnują takiej okazji. Obciążą go piękną, ogromną kolekcją mocnych wdzięków, no nie?

— Tak, chyba tak. — Czuł, że utknął na dobre, zdołał jednak oddać ostatni, rozpaczliwy strzał. — A co, jeśli ogień będzie o wiele za duży i gwałtowny dla przechodniów?

— Wezwie straż pożarną.

Strach wyparował, zastąpiony przez uczucie trimfu.

— Ach, więc jest straż pożarna? Właśnie to uważałem za coś urzędowego. Szybko, powiedz mi, gdzie mogę znaleźć ich siedzibę.

— Na końcu Dwunastej Alei. Nie możesz nie zauważyć.

— Dziękuję. — Wstał pospiesznie. — Do zobaczenia.
— Wybiegł na zewnątrz, wskoczył na rower i odepchnął się z krawężnika.

Zajezdnia straży pożarnej okazała się dużym placem, na którym dostrzegł cztery teleskopowe drabiny, wieżę natryskową i dwie sikawki wielodyszowe, wszystko zmotoryzowane na typowym układzie grubych kul gumowych. Wewnątrz natknął się na małego człowieczka w szerokich pumpach.

— Szukasz kogoś? — zapytał Harrisona.

— Tak, naczelnika straży.

— Kto to?

Harrison był już na to przygotowany.

— Zrozum, człowieku, to jest placówka do gaszenia pożarów. Ktoś jej szefuje. Ktoś organizuje cały ten kram, wypełnia druczki, naciska guziki, wykrzykuje rozkazy, rozdziela awanse, daje kopa ospałym, zgarnia zaszczyty, zwała winę i ogólnie panoszy się tutaj. Najważniejszy gość w całej bandzie i wszyscy go znają. — Postukał nagłaco palcem w klatkę piersiową strażaka. — Właśnie z nim zamierzam porozmawiać, nawet jeśli będzie to ostatnia czynność w moim życiu.

— Nikt nie jest ważniejszy od drugiego. Jak to możliwe? Chyba postradałeś rozum.

— Możesz myśleć, co ci się podoba, ale mówię ci, że... Rozległ się przeraźliwy dzwonek, przerywając Harrisonowi w pół zdania. Jak za dotknięciem zaczarowanej różdżki pojawiło się dwudziestu mężczyzn. Chwyciwszy drabinę i wielodyszową pompę wyjechali z hukiem na ulicę.

Pękate, miskowate kaski były jedynym ubiorem typowym dla straży pożarnych. Poza tym ujawniali głębie krawieckiej bezczelności. Mężczyznę w pumpach, który dopadł sikawki jednym zuchwałym skokiem, zakręciło w kółko i zatrzymał się między grubym strażakiem opasanym tęczową szarfą i chudzielcem w żółtokanarkowej spódniczce. Jakiś spóźnialski, którego uszy zdobiły kolczyki przypominające dzwoneczki, ruszył co sił za pompą, sięgnął do tylnej klapy, chybił i z markotną miną spoglądał w ślad za znikającą maszyną. Następnie przyczłapał z powrotem, wywijając hełmem w rękę.

— To moje parszywe szczęście — rzucił w stronę zagapionego Harrisona. — Najśłodsze, najcudowniejsze wezwanie roku. Wielki browar. Im szybciej dotrą na miejsce, tym mocniejszymi wdziękami go obciążą. — Oblizął wargi na tę myśl i usiadł na zwoju płóciennego węża. — Ach, trudno się mówi, może to i lepiej dla zdrowia.

— Powiedz mi coś — spróbował Harrison. — Z czego się utrzymujesz?

— Kretańskie pytanie. Nie widzisz? Należę do straży pożarnej.

— Wiem. Chciałbym wiedzieć, kto ci płaci.

— Płaci?

— Daje ci pieniądze za twoją robotę.

— Wyrażasz się cholernie dziwnie. Co to są pieniądze?

Harrison podrapał się w głowę, aby przyspieszyć cyrkulację

krwi w mózgu. Co to są pieniądze? Jasny gwint! Spróbował inaczej.

— Jeśli twoja żona potrzebuje nowego palta, w jaki sposób może je dostać?

— Idzie, rzecz jasna, do sklepu, który trzyma wdzięki pożarowe. Strąca im jeden albo dwa.

— A jeśli w żadnym sklepie z ubraniami nie było pożaru?

— Jesteś strasznym ignorantem, bracie. Skąd ty się wzięłeś? — Przez chwilę patrzył na Harrisona, a dzwoneczki na jego uszach huśtały się rytmicznie. — Prawie każdy sklep trzyma wdzięki pożarowe. Jeśli mają choć trochę rozumu w głowie, lokują ich co miesiąc bardzo dużo w formie asekuracji. Patrzą w przyszłość, tak na wszelki wypadek, rozumiesz? Awansem obkładają nas wdzykami, żebyśmy podczas akcji ratunkowej musieli je kasować, nim zdołamy obciążyć ich nową porcją naszych. To nas powstrzymuje przed przeholowaniem i zrobieniem z siebie bydłaków. Rodzaj redukcji sklepowego kredytu. Nie-głupie, co?

— Możliwe, ale...

— Już rozumiem — przerwał mu strażak, mrużąc oczy. — Jesteś z tego statku kosmicznego. Wstrętny Antygand.

— Jestem Terrańczykiem — poinformował z należytą godnością Harrison. — Co więcej, wszyscy, którzy pierwotnie skolonizowali tę planetę, byli Terrańczykami.

— Chcesz mnie uczyć historii? — parsknął śmiechem. — Grubo się mylisz. Było pięć procent domieszki z Marsa.

— Nawet Marsjanie są potomkami rasy terrańskiej — zaprotestował Harrison.

— No to co? To było piekielnie dawno. Wszystko się zmienia, jeśli nie wiesz. W tym świecie nie jesteśmy Terrańczykami ani Marsjanami... Tylko ta wasza hałastrą, która wcisnęła się bez zaproszenia. My tu wszyscy jesteśmy Gandami. Wy zaś, intruzi, jesteście Antygandami.

— Nie jesteśmy żadni anty, o ile się orientuję. Co ci podsunęło taką myśl?

— Psn! — wykrzyknął strażak, straciwszy raptem ochotę do dalszej dyskusji. Przerzucił hełm do drugiej ręki i splunął na podłogę.

— Hm?

— Słyszałeś. Zjeżdżaj na tej swojej hulajnodze.

Harrison zrezygnował i poszedł za radą strażaka. W ponurym nastroju wsiadł na rower i ruszył w drogę powrotną na statek.

Jego Dostojność przeszył go władcym spojrzeniem

— No, jesteście w końcu, mój panie. Ile osób przyjdzie i o której godzinie?

— Nikt, proszę pana — odparł. Bał się, że zaraz upadnie.

— Nikt? — Czcigodne brwi uniosły się zrzędlawie. — To znaczy, że odrzucili moje zaproszenie?

— Nie, proszę pana.

— Wykrztuście to wreszcie, człowieku — naglił Ambasador. — Nie stójcie tak z rozdziawioną gębą, jakby ten wasz wy-ciskacz potu przed chwilą spłodził wrotki. Twierdzicie, że nie odrzucili mego zaproszenia... ale nikt się nie zjawi. Jak mam to rozumieć?

— Nikomu nie przekazałem zaproszenia.

— A więc nie przekazaliście? — Ambasador odwrócił się do Graydera, Sheltona i pozostałych: — Nie przeka-

zał! — wykrzyknął i ponownie skupił się na Harrisonie. — Uciekło wam to z głowy, prawda? Odurzeni wolnością i władzą człowieka nad maszyną śmigaliście przez miasto co najmniej czterdzieści na godzinę, budząc konsternację wśród mieszkańców, wyrzucając do kosza zasady ruchu drogowego, narażając dzieci i starsze osoby na śmierć lub kalectwo, nie zadając sobie trudu, aby brzdęknąć w dzwonek ani...

— Nie mam dzwonka, proszę pana — oświadczył Harrison. W duchu czuł urazę za ową listę zbrodni. — Tylko gwizdek uruchamiany rotacją tylnego koła.

— To już szczyt! — zawołał Ambasador głosem człowieka, który porzucił wszelką nadzieję. Usiadł i kilkakrotnie uderzył się w czoło. — Zostałem wiarygodnie poinformowany, że ktoś będzie miał bełkotkę. — Wskazał na Harrisona. — A teraz się dowiaduję, że on posiada gwizdek.

— Sam go zrobiłem, proszę pana — powiedział radośnie Harrison.

— Nie wątpię. Wyobrażam sobie. Można się tego po was spodziewać. — Ambasador opanował nerwy i wziął się w garść. — Posłuchajcie, no, dobry człowieku. Powiedzcie mi coś w zaufaniu, tak między nami dwoma. — Pochylił się do przodu i postawił pytanie szeptem, który siedem razy odbił się echem w kabinie. — Dlaczego nikogo nie zaprosiliście?

— Nie znalazłem nikogo, kogo mógłbym zaprosić, proszę pana. Staralem się uczciwie, ale chyba nikt nie rozumiał, o czym mówię. Albo udawali.

— Hm! — Ambasador wyjrzał przez najbliższy iluminator i zerknął na zegarek. — Robi się ciemno. Wkrótce

zapadnie noc. Za późno na dalsze akcje. — Nerwowe chrząknięcie. — Kolejny dzień zszedł na niczym. Dwa dni, a ciągle drepczemy w miejscu. — Po czym dodał z ponurą rezygnacją: — No dobrze, mój panie. I tak tracimy czas, posłuchajmy zatem waszej historii w całości. Opowiedzcie nam o wszystkim ze szczegółami. Może tym sposobem zdołamy się doszukać w tym jakiegoś sensu.

Harrison opowiedział.

— Wydawało mi się, proszę pana — dodał na koniec — że mógłbym ciągnąć to dalej i całymi tygodniami próbować przekonać ludzi, których mózgi zorientowane są wschód-zachód, mój zaś wskazuje północ-południe. Można z nimi rozmawiać do sądnego dnia, zaprzyjaźnić się i miło porozmawiać, ale żadna strona nie będzie w pełni rozumieć tego, o czym mówi druga.

— Na to wychodzi — powiedział oschle Ambasador i odwrócił się do Graydera. — Przetarliście się trochę w kosmosie i w swoim czasie widzieliście wiele nowych światów. Rozumiecie cokolwiek z tej paplaniny, w ogóle cokolwiek?

— Problem leży w semantyce — stwierdził Grayder, którego okoliczności zmusiły kiedyś do studiowania tej dziedziny. — Dotyczy wielu światów, z którymi dawno stracono łączność, choć zwykle nie nabrzmiewa on na tyle, by stać się ciężkim i nierozwiązywalnym. Na przykład, pierwszy osobnik, jakiego spotkaliśmy na Basileusie, oznajmił serdecznie w języku uznawanym przez siebie za doskonałą terańszczyznę: „Se balujta, ino obu w zzujta!”

— Tak? I co to znaczyło?

— Wchodźcie, włóżcie kapcie i rozgośćcie się. Krótko mówiąc — serdecznie witamy. Nie było to trudne do

rozszyfrowania, Wasza Dostojność, zwłaszcza kiedy człowiek spodziewa się podobnych rzeczy. — Grayder rzucił zamyślane spojrzenie na Harrisona. — Tutaj — podjął — problem urósł najwyraźniej do skrajnej postaci. Język utrzymał płynność i zachował tak dużo powierzchownych analogii, że zamaskowało to głębokie zmiany. Podstawowe znaczenia uległy jednak modyfikacji, stare pojęcia zostały odrzucone, zastąpiły je nowe, a kształt myśli uległ przeobrażeniu i oczywiście wystąpiło nieuchronne uderzenie lokalnie zrodzonego dialektu.

— Na przykład „Psn!” — domyślił się Ambasador. — Oto dziwoląg słowny, nie posiadający terrańskich korzeni, które dałoby się zauważyć. Nie podoba mi się ten szyderczy ton, go wymawiają. W ich ustach brzmi jak wyraźna zniewaga. Oczywiście ma to związek z tymi wdziękami, którymi się obarczają. Oznaczają „długi wdzięczności”, ale prawdziwy sens umyka mojemu rozumieniu.

— Nie ma z nimi związku, proszę pana — wtrącił Harrison. Wahał się, spostrzegł jednak, że czekają, aby kontynuował. — W drodze powrotnej ponownie spotkałem tę kobietę, która skierowała mnie do lokalu Bainesa. Spytała, czy go znalazłem, odpowiedziałem twierdząco. Rozmawialiśmy krótką chwilę. Zapytałem, co znaczy Psn! Wyjaśniła, że to pozostałość dawnego żargonu. — Umilkł i zaczął się niespokojnie wiercić.

— Mówcie, jesteście ciekawi — ponaglił go Ambasador. — Po kilku kąśliwych uwagach, jakie dotarły do mnie z szybu wentylacyjnego w maszynowni Bliedera, zdołam przełknąć wszystko. Co to znaczy?

— P.s.n. Pilnuj swego nosa.

— Ach! — Ambasador nabrał rumieńców. — A więc to mówili do mnie przez cały czas.

— Obawiam się, że tak, proszę pana.

— Widocznie muszą się jeszcze wiele nauczyć. — Szyja Jego Dostojności pulsowała od niedyplomatycznej wściekłości. Walnął tłustą ręką o stół i wydekłamał na cały głos: — I dostaną lekcję!

— Tak jest — przyznał Harrison. Z coraz większym niepokojem pragnął się stąd wydostać. — Czy mogę już iść i zająć się rowerem?

— Tak, możecie — powiedział Ambasador tym samym krzykliwym tonem. Wykonał parę nic nie znaczących gestów rękami i odwrócił purpurową twarz do kapitana Graydera. — Rower! Może ktoś na tym statku ma kaptułę?

— Wątpię, Wasza Dostojność, ale przepytam wśród załogi, jeśli panu zależy.

— Nie bądźcie idiotą — zarządził Ambasador. — Już mamy przypadający na nas kontyngent wariatów.

10

Następna konferencja, odroczone do wczesnego ranka, okazała się stosunkowo krótka i przyjemna. Ambasador usiadł na swoim miejscu, odchrząknął odpowiedzialnie, podciągnął krawat i potoczył krzywym wzrokiem dookoła stołu.

— Przyjrzyjmy się raz jeszcze temu, czym dysponujemy. Wiemy, że zatwardziali mieszkańcy tej planety nazywają siebie Gandami, nie interesują się zupełnie swoim

terrańskim pochodzeniem i traktują nas z uporem jako Antygandów. Jest to efekt wychowania, powodującego wrogie nastawienie wobec nas. Od dzieciństwa wmawia im się, że ilekroć zjawimy się w polu widzenia, okażemy się wrogami wszystkiego, na czym im zależy.

— A nie mamy zielonego pojęcia, na czym im zależy — wtrącił pułkownik Shelton. Nie musiał tego mówić, lecz dawał znać tym sposobem, że przebywa wśród obecnych, że oczy i uszy ma szeroko otwarte i gotów jest podzielić się całą mocą swego potężnego intelektu.

— Jestem świadomy naszej ignorancji w tej dziedzinie — odparł cierpko Ambasador. — Utrzymują zмовę milczenia odnośnie swojej najważniejszej motywacji. Musimy z tym skończyć.

— Na tym polega problem — oznajmił nie zmieszany Shelton.

Ambasador puścił to mimo uszu i mówił dalej.

— Mają dziwną, bezpieniężną gospodarę, która moim zdaniem funkcjonuje tylko dlatego, że cierpi na ogromne nadwyżki. Nie przetrwałyby nawet dnia, gdyby przeludnienie wywołało poważniejsze braki. Ten system ekonomiczny opiera się zapewne na mieszaninie technik spółdzielczych, prywatnej przedsiębiorczości, sztubackiego kodeksu honorowego i pospolitej, niczym nic upięk-szonej chciwości. To jeszcze większe wariactwo niż polityka banków pokarmowych, uprawiana na czterech zewnętrznych planetach Epsilon.

— Ale działa — zauważył celnie Grayder.

— Jako tako. Rower kłapouchego mechanika również działa — tak samo jak i on, gdy wskoczy na siodełko. Mały silnik oszczędziły mu mnóstwo potu. — Wielce za-

dowolony ze swej analogii Jego Dostojność przez kilka chwil rozkoszował się jej aromatem. — Miejscowy system ekonomiczny — podjął — jeśli w ogóle można uważać to za system, prawie na pewno stanowi końcowy produkt chaotycznego rozwoju jakichś prowincjonalnych fanaberii, sprowadzonych przez pierwszych osadników. Głęboko zapóźniony pod względem motoryzacji, że się tak wyrażę. Wiedzą o tym równie dobrze jak my. Tylko że oni jej chcą, bo są czterysta lat do tyłu pod względem umysłowym. Boją się zmian, postępu i wydajności, podobnie jak niejeden zacofany lud. Co więcej, nie ma chyba wątpliwości, że niektórzy z nich mają własny interes w podtrzymaniu istniejącej sytuacji. — Parsknął głośno dla wyrażenia najgłębszej odrazy. — Ich wrogość wobec nas bierze się po prostu stąd, że chcą mieć święty spokój.

Przebiegł wzrokiem wokół stołu, licząc, że ktoś z obecnych zdobędzie się na poczynienie uwagi, że powyższa interpretacja może być równie dobra jak każda inna. Byli jednak zanadto zdyscyplinowani, by złapać się w podobną pułapkę. Nikt nie zgłosił żadnych uwag, toteż Jego Dostojność podjął wątek.

— We właściwym czasie, gdy już opanujemy sytuację, czeka nas długa i żmudna praca. Musimy dokładnie przejrzeć cały system oświatowy pod kątem wyeliminowania antytterrańskich uprzedzeń i aktualizacji realiów życia. Trzeba tego dokonać również na innych planetach, ale w węższym zakresie niż tutaj.

— Poradzimy sobie — obiecał któryś.

Nie zwróciwszy nań uwagi, Ambasador dokończył myśl:

— To wszystko jednak dopiero przyszłość. Najważniejsza jest terażniejszość. Jak na razie to nasz problem i brzmi on — kto pociąga za sznurki władzy i gdzie można je znaleźć? Musimy to rozstrzygnąć, zanim dokonamy autentycznego postępu. Jak się do tego zabierzemy? — Złożył dłonie na brzuchu i dodał: — Ruszcie konceptem i miejmy wreszcie jakieś sensowne propozycje.

Wstał Grayder. Trzymał w rękach grubą księgę w skórzanej oprawie.

— Wasza Dostojność, nie sądzę, byśmy musieli wyteżać umysły w sprawie nowych planów nawiązania kontaktu i zdobycia istotnych informacji. Następne posunięcie zostanie prawdopodobnie na nas wymuszone.

— Co to znaczy?

— Mam w załodze sporo ludzi starej daty. Wśród żołnierzy też ich nie brakuje. Juryści kosmiczni, wszyscy bez wyjątku. — Postukał znacząco w okładkę. — Znają Regulamin równie dobrze jak ja. Czasami myślę, że nawet zbyt dobrze.

— A więc...?

Grayder zajrzał do księgi.

— Paragraf 127 stwierdza, że we wrogim świecie załoga służy w układzie wojennym aż do powrotu w otwartą przestrzeń. W świecie przyjaznym służy w układzie pokojowym.

— Co z tego?

— Paragraf 13I-A stwierdza, że w układzie pokojowym cała załoga — prócz niewielkiej liczby osób niezbędnych do utrzymywania w ruchu urządzeń pokładowych — ma prawo do opuszczenia statku niezwłocznie po wyładowaniu frachtu albo po siedemdziesięciu dwóch ziem-

skich godzinach od lądowania, zależy co nastąpi wcześniej. — Podniósł wzrok. — Do południa wszyscy będą gotowi do urlopu i zdecydowani do zejścia na ląd. Czekają nas kłopoty, jeśli ludzie spotkają się z odmową.

— Och, doprawdy? — Ambasador uśmiechnął się krzywo. — A jak wypowiemy wojnę temu światu i stanie się wrogi? To ich nauczy rozumu, tak?

Grayder beznamiętnie przerzucił stronicę.

— Paragraf 148 uznaje za wrogi świat każdą planetę, która systematycznie stawia czynny opór mieszkańcom Terry. — Odwrócił kartkę. — Dla potrzeb niniejszego regulaminu czynnym oporem określa się każde działanie obliczone na spowodowanie urazu fizycznego bez względu na to, czy rzeczony skutek osiągnęło zamierzony cel.

— Nie zgadzam się. — Ambasador zmarszczył brwi z kategoryczną dezaprobatą. — Światy mogą być sobie psychologicznie wrogie, nie uciekając się do przemocy. Mamy przed sobą doskonały przykład. Tego świata nie można nazwać przyjaznym.

— Regulamin Kosmiczny nic nie mówi o przyjaznych światach — oznajmił Grayder. — Wszystkie planety zaliczają się tylko do jednej z dwóch kategorii: wrogich i niewrogich. — Stuknął palcem w twardą, skórzaną okładkę. — To wszystko jest tutaj.

— Będziemy ostatnimi idiotami, pozwalając jakiejś książce rządzić nami, a załodze panoszyć się na statku. Wyrzucicie ją za okno. Spuśćcie do dezintegratora. Pozbądźcie się jej w dowolny sposób, i zapomnijcie o niej.

— Z całym szacunkiem, Wasza Dostojność, ale nie mogę tego zrobić. — Grayder otworzył tom na pierwszym akapicie. — Podstawowe Paragrafy 1-A, 1-B i 1-C zawiera-

ją, co następuje: tak w przestrzeni, jak i na lądzie personel pozostaje pod bezpośrednią komendą swego kapitana bądź osoby przez niego wyznaczonej, którzy zawsze i wszędzie kierują się wyłącznie przepisami Regulaminu Kosmicznego i podlegają odpowiedzialności jedynie przed Komisją Przestrzeni Kosmicznej na Terze. Dotyczy to również oddziałów wojskowych, urzędników i pasażerów cywilnych na pokładach statków kosmicznych, obojętnie czy dany statek pokonuje przestrzeń, czy stoi w porcie. Bez względu na zajmowane stanowiska i pełnomocnictwa są oni podporządkowani kapitanowi statku albo osobie przezeń wyznaczonej. Za osobę wyznaczoną uważa się pierwszego, drugiego bądź trzeciego oficera, pełniącego obowiązki kapitana w czasie niedyspozycji lub absencji tego ostatniego.

— Te brednie oznaczają tylko tyle, że jesteście królem swojego zamku — zauważył Ambasador. — Jeśli nam się nie podoba, musimy statek opuścić.

— Z najwyższym szacunkiem, Wasza Dostojność, muszę przyznać, że tak się sprawy mają. Nic na to nie poradzę, przepisy to przepisy. I ludzie o tym wiedzą! — Grayder położył księgę na stole i odsunął ją od siebie. — Bardzo prawdopodobne, że poczekają do południa, prasując spodnie, myjąc włosy i upiększając swoje oblicza. Następnie wyprężą się przede mną w regulaminowy sposób, do czego nie będę mógł mieć zastrzeżeń. Każą pierwszemu oficerowi przedłożyć mi listę urlopową do zatwierdzenia. — Wziął głęboki oddech. — Najgorsze, co mógłbym zrobić, to wyrolować kilka osób i przenieść ich z pierwszej tury na ostatnią. Ale nie mogę zatrzymać całego stanu osobowego.

— Prawo wymalowania miasta na czerwono mogłoby mimo wszystko wyjść na korzyść — zasugerował Shelton, nie mając nic przeciwko temu, by osobiście upuścić trochę farby. — Takie śmietnisko z całą siłą wyrywa się z letargu, gdy statek stoi w porcie. Powinniśmy nawiązać dziesiątki użytecznych kontaktów. A przecież tego właśnie chcemy, tak czy nie?

— Chcemy wytropić politycznych liderów tej planety — odparł Ambasador. — Nie widzę, aby pudrowali sobie gęby, wkładali najlepsze kapelusze i gnali z okrzykiem na ustach witać tłum wygłodzonych astronautów. — Pulchna twarz Jego Dostojności pokryła się bruzdami. — Trzeba znaleźć kilka igieł w stogu siana i zadania tego nie wykonają szalejący żołdacy.

— Może ma pan rację, Wasza Dostojność — wtrącił Grayder. — Ale będziemy musieli zaryzykować. Jeśli ludzie nie zrezygnują, nie będę miał prawa ich zatrzymać. Tylko jedno może dać mi to prawo.

— Mianowicie?

— Wyraźny i niepodważalny dowód, który upoważni mnie do uznania tego świata za wrogi w rozumieniu Regulaminu Kosmicznego.

— No cóż, nie można czegoś zaaranżować? — Nie czekając na odpowiedź Graydera, Ambasador kontynuował swoją myśl: — W każdej załodze jest jakiś skretyniały i niepoprawny rozrabiaka. Znajdźcie waszego, dajcie mu podwójną szprycę wenusjańskiego koniaku, obiecacie natychmiastową przepustkę... a potem zagroźcie, że wycieczka może się nie udać, bo ci parszywi Gandowie uważają, że to przez nas ludzie muszą kopać rowy. A później wypchnijcie go na zewnątrz. Kiedy wróci z podbitym

okiem i chełpliwą opowiadką o połamanych gnatach przeciwnika, uznajcie ten świat za wrogi. — Zama-chał obrazowo ręką. — No i będziecie w domu. Przemoc fizyczna. Wszystko zgodnie z przepisami.

— Paragraf 148-A — oznajmił Grayder — podkreśla, że opór fizyczny musi mieć charakter systematyczny i wyraźnie stwierdza, że sporadyczne bijatyki nie mogą być uznane za dowód wrogości.

Ambasador obrócił wściekłą twarz na starszego radcę rządowego.

— Po powrocie na Terrę... jeśli w ogóle wrócimy... Będziecie mogli opowiedzieć we właściwym departamencie, w jaki sposób psuje się szyki dyplomacji kosmicznej, okalecza, na wpół paraliżuje i ogólnie niszczy przez biurokratów, którzy piszą książki!

Zanim tamten zdołał wymyślić odpowiedź w obronie swojej klasy, nie zaprzeczając jednak Ambasadorowi, rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł drugi oficer Morgan, zaszalutował i podał Grayderowi kartkę papieru.

— Pierwsza tura, kapitanie. Czy pan ją zatwierdza?

Wczesnym popołudniem ponad czterystu ludzi wyszło do miasta. Zmierzali ku niemu jak na wędrowców spragnionych jaskrawych światła przystało, to znaczy z ochotą, radośnie, w grupkach po dwóch, trzech, sześciu lub dziesięciu.

Gleed dołączył do Harrisona. Byli niczym dwa rodzynki, Gleed — jedyny sierżant na przepustce, Harrison — jedyny dziesiąty mechanik. Byli też jak ryby wyciągnięte z wody. Obaj nosili cywilne ubrania; Gleedowi brakowało munduru, a Harrison czuł się nago bez swojego ro-

weru. Owe błahostki niosły ze sobą tyle wspólnego, że uzasadniały nawet i jednodniowe towarzystwo.

— Dzisiejsza jest bombowa — entuzjazmował się Gleed. — Zaliczyłem niejedną przepustkę podczas służby, ale ta jest bombowa. Na wszystkich poprzednich wyprawach chłopaki napotykali ten sam problem: jak skutecznie wydać żołąd. Paradowali niczym batalion Świętych Mikołajów z workami różnych dupereli, które mogły się przydać na wymianę. Prawie zawsze dziewięćdziesiąt procent tego chłamu nie nadawało się do niczego i trzeba go było z powrotem taszczyć na statek.

— Na Persefonie — powiedział Harrison — jakiś szcudło-waty Milik chciał mi wcisnąć dwudziestokaratowy, błękitnawy, najczystszej wody brylant za mój rower.

— Ja cię kręcę! I nie wzięłeś!

— A po co mi? Musiałbym wracać szesnaście lat świetlnych po następny rower.

— Ależ, chłopie, przez jakiś czas mógłbyś się bez niego obyć.

— Bez brylantu też. A na kamieniu sobie nie pojeżdżę.

— I nie uda ci się sprzedać roweru za cenę Księżycowego Śmigacza w wersji sportowej.

— Nieprawda, uda mi się. Przecież ci mówiłem, że ten Milik wciskał mi klejnot wielkości jaja.

— To już szczyt! Mogłeś dostać fortunę za to cacko, gdyby nie miało żadnej skazy. — Sierżant Gleed cmoknął wargami na myśl o tym. — Forsa, dużo forsy, oto co najbardziej lubię. I dzięki niej nasza wycieczka skończy się sukcesem. Za każdym razem, gdy wychodziliśmy na przepustkę, Grayder, Shelton i Bidworthy robili nam wykład o

stwarzaniu dobrego wrażenia, zachowaniu się jak na siły kosmiczne przystało, i tak dalej. Ale tym razem Grayder nawijał o pieniądzach.

— To Ambasador skłonił do tego.

— I tak mi się podoba — cieszył się Gleed. — Jedna tygodniówka ekstra, butelka koniaku i podwójna przepustka dla każdego, kto przyprowadzi na statek dorosłego Ganda płci dowolnej, byle okazał się towarzyski i chętny do rozmowy.

— Ciężka sprawa.

— A miesięczny żołd ekstra dla tego, kto zdobędzie nazwisko i adres najważniejszego dygnitarza w mieście. Dwa miesięczne żołdy za nazwę i położenie stolicy tego świata. — Zagwizdał radośnie i dodał: — Ktoś się na tym obłowi i tym kimś nie będzie Bidworthy. Jego nazwisko nie wyszło z kapelusza. Wiem... Sam go trzymałem.

Przestał trajkotać i odwrócił się, by popatrzeć na wysokiego, chudego blondyna, maszerującego obok niego. Harrison pociągnął go za rękę.

— Tam jest sklep Bainesa, o którym ci opowiadałem. Wchodzimy.

— Aha, dobrze. — Gleed poszedł za nim niechętnie, wciąż hardziej interesowała go panorama ulicy.

— Dzień dobry — Harrison pozdrowił Jeffa Bainesa.

— Ależ skąd — nie zgodził się Baines. — Handel idzie fatalnie. Grają o półfinał i pół miasta poszło to obejrzeć. Wrócą do domów i zaczną myśleć o żołądkach dawno po zamknięciu sklepu. Rano przyjdą wszyscy naraz i nie będę mógł się wyrobić.

— Jak handel może iść źle, skoro nie zarabiasz szmalu nawet wtedy, kiedy idzie dobrze? — spytał Gleed, rozsądnie wykorzystując informacje od Harrisona.

Wielkie, księżycowe oczy Jeffa przebiegły po nim wolno, a potem przeniosły się na Harrisona.

— Jeszcze jeden dupek z twojego statku, co? O czym on plecie?

— O pieniądzach — wyjaśnił Harrison. — To taki chłam dla ułatwienia handlu. Z nadrukiem, jak kwity wdziękowe rozmaitej ciężkości.

— To mi wiele wyjaśnia — zauważył Baines. — Że gromadzie, która musi notować na piśmie każdy wdzięk, nie można ufać... Bo nie ufają nawet sami sobie. — Pokuśtykał do wysokiego stołka i oklapł na nim. Miał wymęczony i chrapliwy oddech. — Potwierdza to, czego w szkole nas uczyli, że Antygand oszukałby nawet własną, owdowiałą matkę.

— Wasza szkoła coś tu pokręciła — zapewnił go Harrison.

— Możliwe. — Jeff nie widział sensu w dalszej dyskusji. — Ale nie będziemy ryzykować, póki nie przekonamy się, że jest inaczej. — Obrzucił ich wzrokiem. — Czego właściwie chcecie?

— Rady — wepchnął się szybko Gleed. — Zeszliśmy na ląd pohulać. Szukamy najlepszych miejsc na jedzenie i zabawę.

— Dużo macie czasu?

— Do jutra wieczorem.

— Nici z tego. — Jeff Baines ze smutkiem potrząsnął głową. — Nie zdążycie do tego czasu zaciągnąć tylu wdzięków, by stać was było na coś porządnego. Poza tym więk-

szość ludzi raczej padnie trupem, niż pozwoli obarczyć się wdziękiem jakiegoś Antygandowi. Ludzie mają swoją dumę, kapujecie?

— Nie załapiemy się nawet na porządny posiłek? — spytał Harrison.

— Cóż, tego nie wiem. — Jeff myślał nad tym, pieszcząc jeden ze swych licznych podbródków. — Może wam się udać... Ale tym razem nie mogę wam pomóc. Niczego od was nie potrzebuję, więc nie zdołacie wykorzystać żadnych wdzięków, które mam na sąsiadach.

— Co radzisz?

— Gdybyście byli stałymi mieszkańcami, to byłaby inna sprawa. Moglibyście wszystko dostać już teraz, zaciągając bagaż wdzięków do spłacenia w przyszłości, kiedy trafią się okazje. Ale nie znam nikogo chętnego do skredytowania Antyganda, który dzisiaj jest, a jutro go nie ma.

— Nie tak bardzo znowu jutro — zaprotestował Gleed. — Kiedy przybywa Ambasador Imperialny, znaczy że Terrańczycy zostają na dobre.

— Kto tak twierdzi?

— Imperium Terrańskie. Chyba do niego należycie, co?

— Nie — odparł stanowczo Jeff. — Nie należymy do niczego, nie chcemy do niczego należeć i nie będziemy. Co więcej, nikt nas nie zmusi do należenia gdziekolwiek.

Gleed pochylił się nad kontuarem i nieobecny wzrokiem spojrzął na dużą puszkę wieprzowiny.

— Jestem bez munduru i nie na służbie, więc podzielam twoje zdanie, choć nie powinienem tego mówić. Sam też bym nie chciał, by jakaś banda biurokratów z innego

świata zawładnęła moją duszą i ciałem. Ale wy będziecie musieli mocno się napocić, by nas odeprzeć. Tak sprawa wygląda.

— Niemożliwe, biorąc pod uwagę, co mamy — stwierdził z przekonaniem Jeff.

— Co wy tam macie? — zadrwił Gleed. Była to raczej życzliwa krytyka niż otwarta pogarda. Spojrzał pytająco na Harrisona. — Mają coś?

— Nie sądzę — odparł dziesiąty mechanik.

— Nie sądzicie po pozorach — ostrzegł ich Jeff. — Mamy coś takiego, z czym nie zdołacie się uporać.

— Na przykład?

— Po pierwsze, najpotężniejszą broń, jaką wymyślił kiedykolwiek ludzki rozum. Jesteśmy Gandami, kapujecie? Więc nie potrzebujemy statków, karabinów i podobnych zabawek. Dysponujemy czymś o wiele potężniejszym. Nie ma przed tym ratunku.

— Chłopie, chciałbym to zobaczyć — powiedział wyzywająco Gleed. Szczegóły dotyczące nowej, wyjątkowo silnej broni muszą być dużo cenniejsze niż adres burmistrza. Ich znaczenie powinno wyrzucić na Grayderze tak mocne wrażenie, że kapitan mógłby załatwić bajeczną nagrodę. — Ale, rzecz jasna — dodał z dozą kpiny — nie oczekujemy od ciebie wyjawienia żadnej cennej tajemnicy.

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy — oznajmił z wielkim zdziwieniem Jeff. — Możecie to dostać bezpłatnie, gratis, za nic, kiedy tylko chcecie. Każdy Gand dałby to wam na pierwszą prośbę. A chcecie wiedzieć dlaczego?

— No jasne.

— Bo to działa tylko w jedną stronę. Możemy tego użyć przeciw wam... ale wy nie możecie tego użyć przeciw nam.

— Bzdury! — oświadczył Gleed. — Nic takiego nie istnieje. Nie da się wymyślić broni, której nie mógłby użyć ktoś inny, gdy raz chwyci ją w swoje ręce i nauczy się obsługiwać.

— Jesteś pewien?

— Bez dwóch zdań. Służę w Korpusie Kosmicznym od dwudziestu lat. Nie można być tak długo w wojsku i nie dowiedzieć się wszystkiego o broni, począwszy od łuków i strzał, a skończywszy na pociskach wodorowych. Stroisz sobie żarty ze mnie. Nic z tego. Jestem za stary i za bogaty w doświadczenia. Jednostronna broń jest niemożliwa. Powtarzam... niemożliwa.

— Nie dyskutuj z nim — powiedział Harrison do Bainesa. — Nie przekona się, póki nie zobaczy na własne oczy.

— Widzę. — Z fałd na twarzy Jeffa Bainesa wyłonił się szyderczy uśmiech. — Już ci mówiłem, że możesz dostać naszą cudowną broń na pierwszą prośbę. Dlaczego nie prosisz?

— Dobrze, poproszę. — Gleed powiedział to bez entuzjazmu. Broń pokazana na żądanie, nawet bez konieczności obarczenia się przedtem choćby lekkim wdziękiem, nie może być aż tak potężna. Wymarzona nagroda stopniała do garści drobniaków, a chwilę później do zera. — Przyniesź ją i pozwól obejrzeć.

Przesunąwszy się ciężko na stołku, Jeff sięgnął do ściany, zdjął z haczyka niedużą, błyszczącą plakietkę i pchnął ją na drugi koniec lady.

— Możesz zatrzymać — powiedział. — I niech ci służy.

Gleed przyjrzał się podarkowi, obracając go kilka razy w palcach. Nic wielkiego, podłużny kawałek substancji przypominającej kość słoniową. Jedna strona była wypolerowana i gładka. Na drugiej bieżyły wyryte głęboko dwie grube litery:

— W O.

Gleed zrobił zakłopotaną minę i podniósł wzrok na Bainesa.

— Ty to nazywasz bronią? — spytał.

— Oczywiście.

— Nic z tego nie rozumiem. — Podał plaketkę Harrisonowi. — A ty?

— Nie. — Dziesiąty Mechanik obejrzał ją skrupulatnie. — Co znaczy to W O?

— Pierwotny żargon — odparł Jeff. — Skorygowany wskutek powszechnego używania. Stał się ogólnoplanetarnym mottem. Zobaczycie je wszędzie, jeśli dotąd nie widzieliście.

— Widziałem tu i ówdzie, ale nie przywiązywałem do tego żadnej wagi i w ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Przypominam sobie teraz taką inskrypcję w różnych miejscach, na przykład u Seta i w straży pożarnej.

— Była na karoserii tego autobusu, którego nie udało nam się opróżnić — wtrącił Gleed. — Nic dla mnie nie znaczyła.

— Ona znaczy bardzo dużo — oznajmił Jeff. — Znaczący: *Wolność. Odmawiam.*

— Czuję, że zaraz umrę — odparł Gleed. — Już wyciągnąłem kopyta. Padłem trupem na miejscu. — Spojrzał

na Harrisona, który starannie chował plakietkę do kieszeni. — Abrakadabra. Co za broń!

— Ignorancja to szczęście — stwierdził Baines z zaskakującą pewnością siebie. — Zwłaszcza jeśli nie wiesz, że przedmiot, którym się bawisz, jest bezpiecznikiem czegoś, co robi bum.

— No, dobrze — zirytował się Gleed, łapiąc go za słowo. — Powiedz zatem, jak to działa.

— Odmawiam. — Baines ponownie wyszczerzył zęby. Wydawał się z czegoś bardzo zadowolony.

— Wielka mi pomoc! — Gleed przeżył rozczarowanie, szczególnie utratą oczekiwanej przez krótką chwilę nagrody. — Chwalisz się i popisujesz jakąś jednostronną bronią, wyciągasz z rękawa kawałek nie wiadomo czego z dwiema literami, a później nabierasz wody w usta. Każdy wariat może udawać pyszałka i każdy pyszałek może pleść, co mu ślina na język przyniesie. Musisz czymś poprzeć swoje słowa.

— Odmawiam — powtórzył Baines. Wyszczerzył zęby jak nigdy przedtem i tłustym okiem mrugnął porozumiewawczo na Harrisona. W tym momencie dziesiąty mechanik doznał olśnienia. Opadła mu szczeka, wyciągnął z kieszeni plakietkę i spoglądał na nią, jakby ją widział po raz pierwszy.

— Oddawaj — zażądał Baines, nie spuszczając oczu z dziesiątego mechanika.

Harrison schował plakietkę do kieszeni i powiedział bardzo stanowczym tonem:

— Odmawiam.

Baines zachichotał.

— Niektórym oczy otwierają się szybciej niż innym.

Z urażoną dumą Gleed wyciągnął rękę w stronę Harrisona.

— Pokaż, chcę jeszcze raz obejrzeć.

— Odmawiam — powiedział Harrison. Odszukał wzrok Gleeda i spojrzał mu prosto w oczy.

— Co? Nie próbuj mi przeszkodzić. Niczego w ten sposób nie... — głos protestu uwiązał Gleedowi w gardle. Przez chwilę sierżant stał nieruchomo z lekko szklistym wyrazem oczu, a jego mózg wykręcał kilka pętli. Raptem wyszeptał: — Niech mnie diabli wezmą!

— Właśnie — przyznał Baines. — Niech cię diabli wezmą i to do samego piekła. Coś powoli szło ci to myślenie.

Zachłystując się falą niesfornych pomysłów, które rozlewały się po nim w tym momencie, sierżant zdołał wychrypieć do Harrisona:

— Chodź, idziemy stąd. Muszę się zastanowić. Chcę posiedzieć w jakimś cichym, ładnym miejscu, kiedy będę myślał.

W pobliżu był niewielki park z ławkami, trawnikami, kwiatami i fontanną. Bawiła się tam grupa dzieci. Wybrali miejsce naprzeciw barwnego klombu egzotycznych, poza-terrańskich kwiatów, usiedli i przez dłuższą chwilę oddawali się rozmyślaniom.

Wreszcie Gleed przerwał milczenie.

— Dla kogoś samotnego i upartego byłaby to męka, ale gdyby cały świat... — Głos mu zamarł w pół zdania, by natychmiast odżyć. — Oczyma wyobraźni widzę to w działaniu, a rezultaty przyprawiają mnie o bicie serca.

Harrison nie odzywał się.

— Weźmy taki przykład — ciągnął Gleed. — Powiedzmy, że wracam na statek, a ten ryczący nosorożec Bidworthy wydaje mi rozkaz. Patrząc na niego lodowatym wzrokiem i mówię: Odmawiam. Co się dzieje? Działa niewzruszone Prawo Przyrody: sukinsyn dostaje apopleksji albo wtrąca mnie do ciupy.

— Przydałoby ci się.

— Czekał... Jeszcze nie skończyłem. Siedzę w ciupie, zdenerwowany i jestem zakałą kompanii, ale robota nie została jeszcze wykonana. Więc Bidworthy wskazuje palcem kogoś innego. Nowa ofiara, widząc we mnie pokrewną duszę, także obrzuca go lodowatym spojrzeniem i mówi: Odmawiam. Facet ląduje w kiciu i mam towarzystwo. Bidworthy próbuje jeszcze raz. I jeszcze raz, i jeszcze. W celi robi się coraz ciasniej. Mieści się tam raptem dwudziestu. Wobec tego zajmują mesę, mechaników.

— Wyłącz z tego naszą mesę — zażądał Harrison.

— Zajmują waszą mesę — obstawał Gleed, bezwzględnie zdecydowany utrzymać nosa mechanikom. — Ta się piorunem zapełnia odmawiającymi. Bidworthy w zawrotnym tempie przysyła stale nowych, jeśli wcześniej krew go nie zalała. Wobec tego zajmują przedział Bliedera.

— Dlaczego upierasz się przy naszych chłopakach?

— I rzuca ich na kupę aż po sam sufit — ciągnął Gleed, czerpiąc sadystyczną wprost przyjemność z malowanej przez siebie wizji. — W końcu Bidworthy musi złapać za kubek i szczotki, przykleknąć i sam wyszorować pokład, a w tym czasie Grayder, Shelotn i pozostali zmieniają się na warcie. Jego Wyniosłość Ambasador uwija się w kuchni, w asyście znękaney gromady potakujących gryzi-

piórków, pitraszac dla aresztantów. — Gleed jeszcze raz oczami wyobraźni zobaczył ten piękny widok. — Jasny gwint!

Potoczyła się ku nim kolorowa piłeczka. Schylił się, podniósł ją, potrzymał w ręku. Po chwili nadbiegł chłopiec mniej więcej siedmioletni i spojrział na niego poważnym wzrokiem.

— Poproszę o moją piłkę.

— Odmawiam — powiedział Gleed, zaciskając mocno dłoń.

Nie było protestów, złości ani łez. Dziecko po prostu zrobiło

rozczarowaną minę i odwróciło się.

— Trzymaj, synku. — Gleed odrzucił piłkę.

— Dzięki. — Malec chwycił zgubę i oddalił się w podskokach.

— A jeśli — odezwał się Harrison — każda żywa w Imperium Terrańskim, od Prometeusza do Kaldora Cztery, w promieniu dziewięciu tysięcy lat świetlnych dostanie nakaz zapłacenia podatku dochodowego, podrze go i zawoła: Odmawiam? Co wtedy?

— Nici z podatku. Władza musi obejść się bez niego, bo do cholery nie ma innego wyjścia.

— To oznacza chaos. — Harrison skinął głową w kierunku fontanny i bawiących się wokół niej dzieci. — Tylko że tu nie widać żadnego chaosu. Przynajmniej ja go nie widzę. Chyba nie przesadzają z tą taktyką sprzeciwu. Stosują ją rozsądnie, na jakichś wzajemnie akceptowanych zasadach. Ale istota tych zasad całkowicie przechodzi moje pojęcie.

— Moje też.

W pobliżu zatrzymał się starszy mężczyzna. Popatrzył na nich niepewnie i wybrał przechodzącego młodzieńca.

— Możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę furgon do Martinstown?

— Na drugim końcu Ósmej — skierował go młodzieniec. — Rusza co godzina. Przed odjazdem zakują cię w kajdany.

— W kajdany? — Starszy pan uniósł siwe brwi. — W jakim celu?

— Droga wiedzie obok tego statku kosmicznego. Antygandowie mogą spróbować cię wyciągnąć.

— Ach, tak. Oczywiście. — Dziadek ruszył spokojnie dalej, ponownie rzucając okiem na Gleeda i Harrisona. — Anty-gandowie... Samo utrapienie z nimi — wymamrotał na pożegnanie.

— Z pewnością — poparł go Glead. — Mówimy im, żeby szli do diabła, a oni nam powtarzają: Odmawiamy.

Staruszek potknął się, odzyskał równowagę, spojrział ze zdziwieniem na Gleeda i poszedł swoją drogą.

— Może ten i ów rozumie nasz język — zauważył Harrison. — Chociaż nad moim nikt nie wydziwiał, kiedy jadłem u Seta.

Glead ożywił się z nagłym zainteresowaniem.

— Gdzie raz znalazłeś wyżerkę, tam powinieneś dostać ją powtórnie. Chodź, spróbujemy. Co mamy do stracenia?

— Cierpliwość. — Harrison wstał z ławki, przeciągnął się. — Walimy do Seta. Jak nie będzie chciał się bawić, spróbujemy u kogoś innego. A jeśli wszyscy nam odmówią, pryskamy na statek, zanim dopadnie nas śmierć głodowa.

— Czego zdaje się wszyscy nam tu życzą — zauważył z pewną irytacją Gleed. — Coś ci powiem, tu i teraz... Dopną swego po moim trupie.

— Nie inaczej — przyznał Harrison. — Po twoim trupie.

11

Pojawił się Matt ze ścierką na łokciu.

— Nie obsługuję Antygandów.

— Obsłużyłeś mnie ostatnim razem — przypomniał Harrisom

— Możliwe. Nie wiedziałem, że jesteś z tego statku. A teraz wiem. — Pacnął ścierką w róg stolika, strzepując wymaginowane okruszki. — Żadni Antygandowie nie mogą liczyć na moją obsługę.

— Czy jest jakiś inny lokal, gdzie moglibyśmy dostać coś do jedzenia?

— Nie, chyba że ktoś wam pozwoli obciążyć się wdziękiem. Nikt się na to nie zgodzi, wiedząc, z kim ma do czynienia. Ale zawsze jest szansa, że popełni ten sam błąd co ja. — Drugie pacnięcie w przeciwległy narożnik. — Ja nie popełniam ich dwa razy.

— Właśnie popełniasz nowy — oznajmił Gleed. Jego głos był twardy i oschły. Trącił łokciem Harrisona. — Uważaj. — Wyciągnął z bocznej kieszeni rękę, trzymał w niej mały pistolet. Wymierzył w brzuch Matta i powiedział: — Normalnie miałbym z tego powodu kłopoty, gdyby ci na statku byli w nastroju do czepiania się o byle co. Ale nie są. Ledwo żyją przez was, dwunogie barany. — Po-

ruszył bronią. — A więc skocz do kuchni i przynieś nam dwa kopiaste talerze.

— Odmawiam — powiedział Matt, wydymając wargi i lekceważąc pistolet.

Gleed trącił kciukiem bezpiecznik, który wydał głośny trzask.

— Jest niezwykle czuły. Wystrzelił od kichnięcia. Ruszaj.

— Odmawiam.

Z nieskrywaną odrazą Gleed schował pistolet do kieszeni.

— Tylko żartowałem. Nie jest nabyty.

— Nie zrobiłoby to żadnej różnicy, nawet gdyby był. Nie obsługuję Antygandów, ot co.

— A gdybym stracił panowanie nad sobą i podziurawił cię jak sito?

— Jak mógłbym cię wtedy obsłużyć? — spytał Matt. — Zabity człowiek nikomu nie jest potrzebny. Czas, żebyście się trochę nauczyli logiki — wyrąbał na pożegnanie i odszedł.

— Coś w tym jest — stwierdził z głębokim przygnębieniem Harrison. — Po co ci trup? Co z nim zrobisz? Jaki z niego pożytek?

— Hm, czyja wiem. Wianuszek sztywnych mógłby przywołać do porządku opornych. Zaraz by nabrali chęci.

— Myślisz kategoriami Terry — stwierdził Harrison. — To błąd. Nie są Terrańczykami bez względu na miejsce pochodzenia. Oni są Gandami.

— No dobra, a kim właściwie są ci Gandowie?

— Nie wiem. Można śmiało przyjąć, że jakimiś fanatykami. W okresie Wielkiej Eksplozji Terra eksportowała

maniaków całymi milionami. Przypomnij sobie tę zgraję pomyleńców na Higieji.

— Ach, Higieja. To właśnie tam pierwszy raz w życiu paradowałem przyodziany tylko w dostojną pozę. Nie mogłem się doczekać widoku Sheltona i Bidworthy'ego, jak ich Pan Bóg stworzył. Ale naszych bohaterów strach obleciał. — Zaśmiał się do siebie. — Ci Higiejanie myślą, że kompletna nagość jest gwarancją prawdziwej demokracji, w odróżnieniu od naszej, fałszywej wersji. Jestem daleki od poglądu, że się mylą.

— Stworzenie imperium przyczyniło się równocześnie do przyjęcia idiotycznych pewników — zauważył Harrison. — Na przykład, że Terra nigdy się nie myli, natomiast ponad tysiąc sześćset planet bez wyjątku jest w błędzie. Wszyscy są tępi, tylko nie Terrańczycy.

— Zaczynasz się buntować, czy jak?

Harrison milczał. Gleed zerknął na niego i zorientował się, że dziesiąty mechanik skupia myśli na czymś innym. Sierżant poszedł za jego wzrokiem i zobaczył brunetkę, która przed chwilą weszła.

— Ładna — pochwalił. — Nie za stara, nie za młoda. Nie za gruba, nie za chuda. W sam raz.

— Ja ją znam. — Harrison pomachał dłonią, by przyciągnąć uwagę kobiety.

Przeszła lekkim krokiem przez salę i zajęła krzesło przy ich stoliku. Harrison dokonał prezentacji.

— Moja znajoma, sierżant Gleed.

— Arthur — poprawił Gleed, pożerając ją wzrokiem.

— Elissa — przedstawiła się brunetka. — Kto to jest sierżant?

— Kimś w rodzaju super-zera — odparł Gleed. — Przekazuje chłopakom rozkazy do wykonania.

Spojrzała na niego ze szczerym zdziwieniem.

— To ludzie się godzą, aby ktoś im rozkazywał?

— Oczywiście. Czemu nie?

— Muszą być urodzonymi niewolnikami. — Wzrok brunetki powędrował na Harrisona. — Czy twoje imię na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą?

Lekko zarumieniony Harrison pospiesznie naprawił błąd.

— Ale James mi się nie podoba — dodał. — Wolę Jima.

— Proszę bardzo, może być Jim. Czy Matt się wami zajął?

— Nie chce nas obsłużyć.

Wzruszyła ciepłymi, delikatnymi ramionami.

— Jego prawo. Mamy wolność, tak czy nie?

— My to nazywamy buntem — oznajmił Gleed.

— Nie bądź dziecinny — zbesztła sierżanta. Wstała i zaczęła się oddalać. — Zaczekajcie tutaj. Zobaczę, co powie Seth.

— Czegoś tu nie rozumiem — przyznał Gleed, kiedy nie mogła już ich słyszeć. — Według tego grubasa w delikatesach ich technika polega na tym, aby nas ignorować, aż uciekniemy ze złością. Ale ona... Ona jest... — urwał, szukając w myślach odpowiedniego słowa. Wreszcie znalazł je i powiedział: — Niegandyjką.

— Wątpię — zaprotestował Harrison. — Mają prawo mówić: Odmawiam w dowolny sposób. Ona też nie robi nic innego.

— O cholera, racja. Nie pomyślałem o tym. Mogą to robić do przodu i do tyłu, w dowolnym kierunku, jak chcą.

— Zgadza się. — Harrison zniżył głos. — Już wraca.

Elissa usadowiła się na krześle, poprawiła włosy i oznajmiła:

— Seth obsłuży nas osobiście.

— Kolejny zdrajca — zauważył z uśmiechem Gleed.

— Pod jednym warunkiem. Musicie zaczekać i porozmawiać z nim przed odejściem.

— Niedrogo, jeśli za taką cenę — oświadczył Harrison. Uderzyła go druga myśl. — To znaczy, że będziesz musiała skasować kilka wdzięków za nas troje.

— Tylko dla siebie.

— Jak to?

— Seth ma własne koncepcje. Nie czuje do Gandów większej sympatii niż inni.

— No więc..?

— Ale ma poczucie misji. Zresztą nie aprobeuje zwyczajnie traktowania każdego Antyganda jak powietrze. Twierdzi, że powinno się tak postępować tylko wobec upartych i za głupich do nawrócenia. — Uśmiechnęła się do Gleeda, aż mu zadrżały włoski na całym ciele. — Seth myśli, że każdy naprawdę inteligentny Antygand jest potencjalnym Gandem.

— Nawiasem mówiąc, kim jest Gand?

— Mieszkańcem tego świata, rzecz jasna.

— Chodzi mi o to, skąd się wzięła ta nazwa? Skąd ją wytrzasnęli?

— Od Gandhiego.

Harrison wyraźnie się zmieszał.

— A kim on był, u diabła?

— Starożytnym Terrańczykiem. To on wynalazł Broń.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Wcale mnie to nie dziwi — stwierdziła.

— Nie? — Zdenerwowało go, że tak pewna jest jego ignorancji. — Wiedz zatem, że w dzisiejszych czasach my, Terrańczycy, zdobywamy równie dobre wykształcenie jak..,

— Nie denerwuj się, Jim — uspokoiła go. Szczególnie koją-ce było miękkie wymówienie jego imienia. Pogłaska-ją go po ramieniu. — Chcę tylko powiedzieć, że być może Gandhiego usunięto z waszych podręczników do historii. Mógłby wam wpajać niepożądane idee, rozumiesz? Nie możesz wiedzieć o czymś, czego nie miałeś szansy poznać.

— Jeśli chcesz powiedzieć, że terrańska historia zo-stała ocenzurowana, to ci nie uwierzę.

— Nie musisz. Mamy wolność, tak czy nie?

— W granicach rozsądku.

— Jakich?

— Człowiek ma obowiązki. Nie wolno mu się od nich wykręcać.

— Nie? — Uniosła prowakacyjne, wygięte w lekki łuk brwi. — Kto wyznacza te obowiązki... Każdy dla siebie, czy jeden dla drugiego?

— Na ogół zwierzchnicy dla podwładnych.

— Zwierzchnicy dla podwładnych — roześmiała się z zabójczą pogardą. — Żaden człowiek nie jest niczym zwierzchnikiem. Nikt nie ma najmniejszego prawa rozka-zywać drugiej osobie. Jeśli ktokolwiek na Terze posiada taką władzę, to jedynie dlatego, że inni idioci pozwalają mu na to. Boją się wolności. Wolą słuchać rozkazów. Lubią

wykonywać polecenia. Kochają niewolę i całują swoje kajdany. Co za ludzie!

— Nie powinienem cię słuchać — zaprotestował Glead. Jego twarz płonęła. — Twoja niegodziwość dorównuje niemal twej urodzie.

— Boisz się własnych myśli? — zakpiła, ignorując koślawe pochlebstwo.

Glead poczerwieniał jeszcze bardziej.

— Nigdy w życiu! Ale... — głos mu zamarł na widok Seta, który przyniósł trzy kopiaste talerze i postawił na stole.

— Zobaczmy się później — przypomniał im. Był średniego wzrostu, miał wychudłą twarz i bystre, ruchliwe oczy. — Mam wam coś do powiedzenia.

Przysiadł się do nich, gdy tylko skończyli jedzenie. Siadając na krześle startł z twarzy skroploną parę i obrzucił ich taksującym wzrokiem.

— Jak dużo wiecie? — zapytał.

— Dość, by o to walczyć — wtrąciła Elissa. — Mają kłopoty z obowiązkami, kto je wyznacza i kto je spełnia.

— Nie bez racji — kontratakował Harrison. — Sami też nie możecie ich uniknąć.

— Czyżby? — zapytał Seth. — Skąd ci to przyszło na myśl?

— Wasz świat opiera się na dziwnym systemie wymiany długów wdzięczności. Skąd pewność, że dług zostanie spłacony, jeśli dłużnik nie uznaje tego za swój obowiązek?

— To żaden obowiązek — oświadczył Seth. — Obowiązek nie ma tu nic do rzeczy. A gdyby faktycznie wystąpiła kwestia obowiązku, każdy sam poczuwa się do niego.

Przypominanie o tym byłoby oburzającą bezczelnością; nie do pomyślenia, by ktokolwiek mógł go komuś narzucić.

— Niektórzy lubią prowadzić łatwe życie — wtrącił Gleed — i nic nie jest w stanie im przeszkodzić. — Przyjrzał się Sethowi dokładnie, po czym dodał: — A jak ty sobie radzisz z ludźmi bez sumienia?

— Opowiedz im przygody Leniwego Jacka — zaproponowała Elissa.

— To taka historyjka dla dzieci — wyjaśnił Seth. — Wszystkie tutejsze maluchy znają ją na pamięć. Klasyczna bajka, jak na przykład... na przykład... — wykrzywił twarz. — Nie pamiętam większości terrańskich bajek, które pierwsi osadnicy przywieźli ze sobą.

— O Czerwonym Kapturku — odpowiedział Harrison.

— Tak — podchwycił skwapliwie Seth. — Coś w tym rodzaju. Opowiastka dla maluchów. — Oblizał wargi i zaczął: — Ten Leniwy Jack przyleciał z Terry jako małe dziecko, wychował się w naszym nowym świecie, zrozumiał nasz system ekonomiczny i doszedł do wniosku, że uda mu się go przechytrzyć. Postanowił zostać drapaczem.

— Kto to jest drapacz?

— Człowiek, który utrzymuje się dzięki zaciąganiu wdzięków, lecz nic nie robi, by je spłacić, ani sam ich nie udziela. Człowiek, który wykorzystuje każdą okazję i niczego nie daje w zamian.

— U nas takich na pęczki — powiedział Gleed.

— Do szesnastego roku życia Jackowi udawało się żyć w ten sposób. Był jeszcze dzieckiem, rozumiecie? Każde dziecko musi drapać, przynajmniej do pewnego stopnia i

akceptujemy. Ale po ukończeniu szesnastu lat zaczęło wpadać w tarapaty.

— Jakie? — rzucił Harrison. Jego ciekawość była większa niż gotowość, aby się do tego przyznać.

— Szwendął się po mieście, zbierając naręcza wdzięków. Jedzenie, ubrania i tak dalej. Wszystko dostawał na pierwszą prośbę. To nie było duże miasto. Na naszej planecie nie ma dużych miast. Są tak małe, że każdy każdego zna i wszyscy lubią plotkować. Po kilku miesiącach całe miasto wiedziało, że Jack jest wyrachowanym i nieuleczalnym drapaczem.

— Mów dalej — niecierpliwił się dziesiąty mechanik.

— Wszystkie źródła wyschły — ciągnął Seth. — Gdziekolwiek poszedł, słyszał jedno słowo: Odmawiam. Nie dostawał jedzenia, ubrań, nie miał towarzystwa, rozrywek, niczego. Unikano go jak trędowatego. Wkrótce zaczął straszliwie głodować, aż pewnej nocy włamał się do czyjejsz spizarni i zafundował sobie pierwszy od tygodnia solidny posiłek.

— Co zrobili właściciele?

— Nic, absolutnie nic.

— Na pewno go to trochę ośmieliło, co?

— Niby dlaczego? — spytał lekko uśmiechnięty Seth.

— Nie wyszło mu to na dobre. Nazajutrz miał znowu pusty brzuch i musiał powtórzyć swój wyczyn. Następnego dnia też. I następnego. Wtedy ludzie wzięli się na sposób, zamknęli jedzenie pod kluczem i trzymali straż. Sytuacja zaczęła się robić coraz trudniejsza. W końcu stała tak nieznosnie trudna, że dużo łatwiej było opuścić miasto i

spróbować gdzie indziej. Tak więc Leniwy Jack poszedł sobie.

— Żeby robić to samo — domyślił się Harrison.

— Z tymi samymi skutkami i z tych samych powodów — wtórował mu Seth. — Później wędrował do trzeciego miasta, czwartego, piątego, dwudziestego. Był uparty aż do granic bezmyślności.

— Ale żył — upierał się Harrison. — Brał wszystko, niczego w zamian nie dając, jedynie za cenę włóczęgostwa.

— O, nie. Jak już mówiłem, nasze miasta są małe. A ludzie często jeżdżą od jednego do drugiego w gości. W drugim mieście Leniwy Jack musiał ryzykować, że rozpozna go ktoś z pierwszego miasta i opowie o nim. W trzecim musiał uważać na plotkarzy zarówno z pierwszego, jak i z drugiego. Stopniowo było mu coraz ciasniej. W dwudziestym narażał się na zdemaskowanie przez kogoś z dwiętnastu poprzednich miast. — Seth pochylił się ku przodowi i powiedział z naciskiem: — Nigdy nie dotarł do dwudziestego ósmego.

— Nie?

— W dwudziestym piątym przetrwał dwa tygodnie, w dwudziestym szóstym — osiem dni, a dwudziestym siódnym zaledwie jeden dzień. To już był prawie koniec. Wiedział, że pokazując twarz w mieście numer dwadzieścia osiem, zostanie natychmiast rozpoznany.

— I co wtedy zrobił?

— Wyniósł się poza miasto, próbował żyć niczym zwierzę, odżywiając się korzonkami i dzikimi jagodami. Potem zniknął, aż pewnego dnia kilku spacerowiczów znalazło go wiszącego na drzewie. Ciało miał wycieńczone

i okryte szmatami. Samotność, unicestwienie samego siebie i własna głupota połączyły się, aby zadać mu śmierć. Takie były losy Leniwego Jacka. Nie miał jeszcze dwudziestu lat.

— Na Terze — zauważył umoralniająco Gleed — nie wieszamy ludzi za samą niezdarność i lenistwo.

— My też nie — odparł Seth. — Zachęcamy ich wszelkimi sposobami, aby się sami powiesili. A kiedy to zrobią, cieszymy się, żeśmy się ich pozbyli. — Urwał i bacznie popatrzył na słuchaczy. — Ale niech was to nie martwi — podjął. — Przez całe moje życie nikogo nie doprowadzono do tak drastycznego kroku, a przynajmniej nie słyszałem o nikim takim. Ludzie honorują swoje wdzięki z konieczności ekonomicznej, a nie z poczucia obowiązku. Nikt nie wydaje rozkazów, nikt nikim nie pomiata, istnieje jednak rodzaj przymusu wmontowanego w układ warunków decydujących o stylu życia tej planety. Ludzie grają uczciwie — albo się męczą. Nikt nie lubi się męczyć, nawet głupia pała.

— Tak, chyba masz rację — westchnął Harrison, bardzo wewnątrznie zaniepokojony.

— No jasne, że mam. Ale ja chcę z wami porozmawiać o czymś znacznie poważniejszym. Chodzi o to: jakie macie naprawdę cele w życiu?

— Wojażować na szlakach międzygwiazdnych i pozostać w jednym kawałku — powiedział bez wahania Gleed.

— Ja też — dorzucił Harrison.

— Tyle to i ja wiem. Nie bylibyście w Korpusie Kosmicznym, gdyby to nie był wasz wybór. Ale nie możecie

zostać w nim na zawsze. Wszystko ma swój kres. Co wtedy?

Harrison pokręcił się niespokojnie na krześle.

— Nie myślę o tym — oznajmił.

— Któregoś dnia będziesz musiał — zauważył Seth.

— Ile wam jeszcze zostało?

— Cztery i pół ziemskich lat.

Seth przeniósł wzrok na Gleeda.

— Trzy.

— Mało — stwierdził Seth. — Domyślałem się tego.

Łatwo odgadnąć, że załoga statku wdzierającego się w takie głębiny Kosmosu składa się głównie z ludzi doświadczonych, którzy dużo przeżyli i którym niebawem kończy się służba. Do trudnych zadań wybiera się doświadczoną załogę. Kiedy wasz statek wyląduje na Terze, dla niejednego z was będzie to koniec tułaczki, prawda?

— Dla mnie tak — przyznał Gleed. Niezbyt go cieszyła taka perspektywa.

— Czas, czas... Im jesteś starszy, tym szybciej płynie — westchnął Seth. — A jednak, kiedy skończysz służbę, będziesz jeszcze stosunkowo młody. — Na jego twarzy wykwitł delikatnie złośliwy uśmiezek. — Przypuszczam, że kupisz sobie prywatny statek międzygwiazdny i będziesz kontynuował wędrówkę przez Kosmos na własną rękę?

— Głupstwa pleciesz — warknął Gleed. — Śmigacz Księżycowy to najlepszy stateczek, na jaki stać bardzo bogatego człowieka. Płatanie się tam i z powrotem między Księżycem a planetą macierzystą to średnia przyjemność, kiedy człowiek przywykł do odskoków Bliedera na drugi koniec Galaktyki. Najmniejsza nawet kapsuła do lotów w

Kosmosie jest daleko poza zasięgiem najbogatszych. Tylko rządy mogą pokryć rachunek za taki statek.

— Mówiąc „rządy”, masz na myśli wspólnoty?

— W pewnym sensie.

— Hm, a więc co zamierzasz ze sobą robić, kiedy skończą się dni twojej wędrówki przez Kosmos?

— Jestem kimś innym niż obecne tutaj Wielkie Uszy — odparł, wskazując palcem na Harrisona. — Jestem żołnierzem, a nie mechanikiem. Wybór mam więc ograniczony z braku kwalifikacji. — Podrapał się w głowę z zadowoloną miną. — Urodziłem się i wychowałem na farmie. Nadal znam się na uprawie roli. Myślę zatem, że kupię sobie niewielkie gospodarstwo i osiadę na nim.

— Myślisz, że ci się uda? — spytał Seth, przyglądając mu się uważnie.

— Na Falderze, na Higie, w Różowym Raju Nortona albo na innej planecie. Wszędzie, tylko nie na Terze. Moje oszczędności nie sięgają tak daleko. Nie uzbierałem nawet na połowę farmy na Ziemi.

— To znaczy, że nie możesz zgromadzić odpowiedniej liczby wdzięków?

— Nie mogę — przyznał posępnie Gleed. — Nawet jeśli będę oszczędzał tak długo, aż mi wyrośnie biała broda do samych kolan.

— A więc za długoletnią wierną służbę Terra oznajmia ci w nagrodę: porzuć najskrytsze marzenia, to znaczy — idź precz?

— Zamknij się!

— Odmawiam — powiedział Seth. — A dlaczego twoim zdaniem cztery miliony Gandów przeniosło się tutaj, Doukhoborsowie i Natyryści na Higie, a kwakrzy i pozo-

stali do tych swoich wyszukanych kryjówek? Bo jedyną nagrodą Terry za właściwą postawę obywatelską był zawsze kategoryczny rozkaz: zginaj kark albo się wynoś. Więc się wynieśliśmy.

— I dobrze się stało — wtrąciła Elissa. — Książki historyczne podają, że Terra była strasznie przeludniona. Poszliśmy sobie i zrobiło się luźniej.

— To nie ma nic do rzeczy — zganił ją Seth i zwrócił się do Gleeda. — Chcesz farmy, ale nie możesz jej mieć na Terze, obojętnie jak bardzo byś tego pragnął. Terra mówi: Nie... Wynoś się! A zatem musisz poszukać gdzie indziej. — Poczekał, aż jego słowa zapadną głęboko. — Teraz uważaj, możesz mieć taką farmę za nic. — Strzelił palcami. — Tak po prostu!

— Nie uda ci się mnie podejść — odparł Gleed z miną człowieka, który wprost marzy o tym, by go oszukano. — Muszą być jakieś utajone warunki.

— Każda piędź ziemi na tej planecie należy całkowicie do gospodarza, to znaczy do człowieka, który aktualnie z niej korzysta. Nikt nie podważa jego praw, jak długo ją eksploatuje. Musisz się tylko rozejrzeć za odpowiednim kawałkiem nie wykorzystanego gruntu — a jest ich mnóstwo — i zacząć go uprawiać. Odtąd będzie należał do ciebie. Z chwilą gdy przestaniesz z niego korzystać i odejdziesz, ktoś inny może go mieć za nic.

— Niemożliwe! — wykrzyknął z niedowierzaniem Gleed.

— Tak! — upierał się Seth. — Co więcej, jeśli będziesz się rozglądał wystarczająco długo i los się do ciebie uśmiechnie, może ci się trafić farma porzucona przez kogoś z powodu śmierci, choroby, przeprowadzki, ochoty

spróbowania szczęścia gdzie indziej lub z innej przyczyny. Miałbyś wówczas ziemię częściowo przygotowaną oraz dom, obory, stodołę i całą resztę.

I to wszystko byłoby twoje, wyłącznie twoje.

— Ile byłbym dłużny poprzedniemu gospodarzowi?
— spytał Gleed.

— Nic. Żadnych wdzięków. Niby dlaczego? Jeśli nie leży w grobie, to znaczy, że się przeprowadził w inne miejsce, które również nic go nie kosztowało. Nie można odnosić korzyści z obu stron, porzucając jedno i zajmując drugie.

— To według mnie nie ma sensu. Gdzieś tu jest haczyk. Gdzieś będę musiał sypnąć gotówką albo ułożyć stertę wdzięków.

— Oczywiście, że będziesz musiał. Sąsiedzi pomogą ci zbudować dom. Obarczą cię ciężkimi wdziękami. Cieśla prosi o produkty rolne dla swojej rodziny na najbliższe dwa lata. Dajesz mu i w ten sposób pozbywasz się tego wdzięk. Nie przestajesz mu dawać przez kilka następnych lat i z kolei obarczasz wdziękami jego. Twój płot wymaga naprawy albo trzeba wykonać jakąś inną ciesielską robotę, a on już biegnie do ciebie, żeby skasować ten wdzięk. I to samo ze wszystkimi, nie wyłączając ludzi, którzy dostarczają ci surowce, nasiona, maszyny albo zapewniają transport.

— Nie wszyscy będą potrzebowali mleka i kartofli — zauważył Gleed.

— Pierwszy raz słyszę o kartoflach. Nie mam pojęcia, co to jest.

— Jak mam rozliczać się z kimś, kto może brać wszystkie produkty rolne gdzie indziej?

— To proste — odpowiedział Seth. — Blacharz naprawia ci kilka maselnic. Nie chce jedzenia. Wszystko, czego potrzebuje, bierze z innego źródła. Jego żona i trzy córki mają nadwagę i odchudzają się. Na samą myśl o żywności z twojej farmy dostają białej gorączki.

— No i co?

— Ale krawiec tego blacharza, bądź jego szewc mają u niego sporo wdzięków i nie znaleźli okazji, aby je skasować. Wobec tego blacharz przynosi je na ciebie. Przy pierwszej sposobności dajesz krawcowi albo szewcowi wszystko, czym mogą wyrównać rachunki, likwidując jednocześnie swój wdzięk u blacharza. — Rozpłynął się w tym swoim półuśmiechu, dodając: — I wszyscy są zadowoleni.

Gleed rozstrząsał to przez chwilę, marszcząc brwi.

— Kuisz mnie. Nie powinieneś tego robić. Nakłanianie żołnierzy Korpusu Kosmicznego do dezercji ze służby to karalne przestępstwo. To bunt. Terra krwawo uśmierza bunty.

— Pal diabli Terre! — zachnął się pogardliwie Seth. — Tutaj mamy prawo Gandów.

— Musisz jedynie — zaproponowała Elissa słodko przekonującym głosem — nakazać sobie powrót na statek, bo to jest twój święty obowiązek, bo ani załoga, ani Terra nie poradzą sobie bez ciebie. — Odgarnęła pukiel włosów. — A potem bądź wolnym człowiekiem i powiedz: Odmawiam.

— Obedrą mnie żywcem ze skóry. Bidworthy osobiście pokieruje egzekucją.

— Nie sądzę — zaproponował Seth. — Ten Bidworthy... który wydaje się dobrodusznym gościem... wraz

z tobą i waszą załogą stoi na tym samym rozdrożu. Droga przed nim rozwidła się w dwie strony. Trzeba wybierać między jedną a drugą, trzeciej ewentualności nie ma. Wcześniej czy później pogna do domu, gryząc wargi do krwi, w przeciwnym razie wsiądzie do ciężarówki i zacznie rozwozić twoje mleko, bo w głębi duszy zawsze o tym marzył.

— Nie znasz Sykstusa —jęknął Gleed. — Zamiast serca ma stare żelastwo.

— To zabawne — wtrącił Harrison. — Aż do dzisiaj myślałem tak samo o tobie.

— Nie jestem teraz na służbie — odparł Gleed, jakby to cokolwiek wyjaśniało. — Poza godzinami pracy mogę się odprężyć i pozwolić duszy trochę poszaleć. — Wstał i odsunął krzesło. Miał zawzięty wzrok i zaciśnięte usta. — Ale wracam na służbę... Natychmiast.

— Musisz się stawić dopiero jutro o zmierzchu — zaprotestował Harrison.

— Wszystko jedno. Mimo to wracam.

Elissa otworzyła usta, lecz natychmiast je zamknęła, trącona łokciem przez Seta. Siedzieli i patrzyli w milczeniu, jak Gleed zdecydowanym krokiem wychodzi.

— To dobry znak — zauważył Seth z dziwną pewnością siebie. — Trafiło go w najsłabszy punkt. — Z diabolicznym chichotem zwrócił się do Harrisona: — A jakie ty masz ostateczne cele w życiu?

Harrison również podniósł się na nogi, czuł zamęt w głowie.

— Dzięki za jedzenie. Smakowało i było mi potrzebne. — Zamachał niepewnie ręką w kierunku drzwi. — Po-

biegnę za nim. Skoro wraca na statek, to ja lepiej też tak zrobię.

Seth znowu trącił Elisę łokciem. Milczeli, gdy Harrison przeciskał się do wyjścia i starannie zamykał za sobą drzwi.

— Owce — bąknęła rozczarowana bez żadnego widocznego powodu. — Jeden drecze za drugim. Jak stado owiec.

— Nieprawda — odparł Seth. — Są ludźmi, których ożywiają identyczne poglądy i emocje. Jak naszych praojców, którzy nie mieli w sobie niczego z owiec. — Obrócił się na krześle i skinął na Matta. — Przynieś nam dwa szemaki. — A potem rzekł do Elissy: — Wypijemy za bunt. Coś mi się zdaje, że statek źle na tym wyjdzie, jeśli postoi tutaj nieco dłużej.

12

System nagłośnieniowy statku zahuczał rozkazującym tonem.

— Fanshaw, Folsom, Fuller, Garson, Gleed, Gregory, Haines, Harrison, Hope... — i tak dalej aż do końca alfabetu. Regularny strumień mężczyzn sączył się po schodach, pomostach i korytarzach w kierunku sterówki. Skupiali się przed drzwiami w małe grupki, szepcząc między sobą, a przypadkowe strzępy ich rozmów niosły się echem w głąb statku.

— Nie chcieli odpowiedzieć na żadne pytania, tylko powtarzali te swoje *Psn!* Po chwili czuliśmy mdłości na ten dźwięk.

— Trzeba było się rozdzielić, tak jak my. Na tym placu widowiskowym przed miastem nie mają pojęcia o wyglądzie Terrańczyka. Bez kłopotu wszedłem i zająłem siedzące miejsce.

— Jeśli dziesięciu ubranych w identyczne mundury idzie razem, to nie powinni się dziwić, że ich od razu poznają. Szyk wojskowy i wasze zboczone gęby zdradzają was na kilometr.

— Słyszałeś o Meakinie? Naprawił cieknący dach, wybrał butelkę podwójnego diczu jako zapłatę i wytrąbił ją do dna. Kiedyśmy go znaleźli, był w trupa pijany i chrapał jak wieprz. Musieliśmy go taszczyć na statek.

— Niektórym się udało. A nas spławiali, gdziekolwiek pokazaliśmy nasze twarze. Chłopie, to było straszne.

— Trzeba było iść osobno, jak mówiłem.

— Połowa naszej sali pewnie leży w rynsztoku, jeszcze się nie pokazali.

— Grayder wpadnie w szal. Nie puściłby rano drugiej tury, gdyby się tylko o tym dowiedział.

— Kiedy przyjdzie moja kolej, zrobię tak: zbiegnę po trapie i będę rwał przed siebie jak wszyscy diabli, zanim się rozmyślą i każą mi wracać.

— Sammy, będziesz miał cholerne szczęście, jeśli w ogóle przyjdzie twoja kolej.

Co jakiś czas pierwszy oficer Morgan wystawiał głowę za drzwi i wykrzykiwał nazwisko wymienione wcześniej przez głośniki. Często odpowiedzi nie było.

— Harrison! — ryknął.

Z niepewnym wyrazem twarzy dziesiąty mechanik wszedł do środka. Kapitan Grayder rozwalał się za biurkiem i z posępną miną patrzył na leżący przed nim wykaz.

Z boku sztywno siedział pułkownik Shelton, a tuż za nim major Hame. Mieli zniekane oblicza ludzi, którzy muszą znosić smród, dopóki głupkowaty hydraulik nie zatamuje przecieku w toalecie.

Przed biurkiem tam i z powrotem maszerował Ambasador, mamrocząc w głąb podbródków.

— Dopiero pięć dni, a już wkradła się zgnilizna. — Zatrzymał się na widok Harrisona i wypalił ostro: — A więc to wy, dobry człowieku. Kiedy wróciliście z przepustki?

— Przedwczoraj wieczorem, proszę pana.

— Przed czasem, co? Dziwne. Złapaliście gumę, czy jak?

— Nie, proszę pana. Nie brałem ze sobą roweru.

— I bardzo dobrze — pochwalił Jego Dostojność. — Już byście byli tysiąc kilometrów stąd i wciąż naciskali na pedały.

— Dlaczego, proszę pana?

— Dlaczego? On mnie pyta dlaczego! Przecież właśnie tego chcę się dowiedzieć... Dlaczego? — Złościł się trochę, a następnie spytał: — Sami odwiedzaliście to miasto czy w towarzystwie?

— Byłem z sierżantem Gleedem, proszę pana.

— Wezwijcie go — polecił Ambasador, spoglądając na Morgana.

Ten otworzył drzwi.

— Gleed! Gleed!

Odpowiedzi nie było.

Spróbował jeszcze raz, także na próżno. Ponownie skorzystali z systemu nagłaśniającego. Nazwisko sierżan-

ta rozległo się na całym statku, od dzioba po rufę. Gleed nie chciał się pojawić wśród obecnych.

— Zgłosił powrót?

Grayder sprawdził na wykazie.

— Tak. Wcześniej. Dwadzieścia cztery godziny przed terminem. Może wymknął się na powrót z drugą turą dziś rano i nie wpisał się do dziennika? Podwójne przestępstwo.

— Jeśli na statku go nie ma, to jest poza statkiem, obojętne czy nazwać to przestępstwem, czy nie.

— Tak, Wasza Dostojność. — Po twarzy Graydera przebiegł cień lekkiego znużenia.

— GLEED! — ryknął za drzwiami Morgan. Po chwili wetknął głowę do kabiny i oznajmił: — Wasza Dostojność, jeden z ludzi twierdzi, że sierżant Gleed nie może być na pokładzie, bo godzinę temu widział go w mieście.

— Przyślijcie tego człowieka. — Ambasador machnął niecierpliwie ręką na Harrisona. — Zostańcie na miejscu, mój panie, i niech wam te uszy tak nie opadają, jeszcze z wami nie skończyłem.

Wysoki, niezdarly monter stojąc na progu zamrugał oczami, najwyraźniej przejęty zgrozą, że wchodzi do jaskini lwa.

— Co wiecie o sierżancie Gleedzie? — zapytał Ambasador.

Biedak nerwowo oblizał usta. Żałował, że w ogóle wspominał o brakującym podoficerze.

— To było tak, ekscelencjo...

— Mówcie do mnie „proszę pana”.

— Tak, ekscelencjo. — Nowa seria nerwowego trzepotania powiekami. — Wyszedłem z drugą grupą dzisiaj

wczesnym rankiem, ale wróciłem niedawno, bo rozboleł mnie brzuch. Po drodze spotkałem sierżanta Gleeda i rozmawiałem z nim.

— Gdzie?

— W mieście, ekscelencjo, proszę pana. Siedział w jednym z tych dużych autobusów dalekobieżnych. Wydało mi się to nieco dziwne.

— Do rzeczy, człowieku! Co wam powiedział, jeśli w ogóle otworzył usta?

— Niewiele, proszę pana, wasza ekscelencjo. Musiał się z czegoś bardzo cieszyć. Wspomniał o młodej wdowie, która z wysiłkiem próbuje obrabiać dwieście akrów. Ktoś mu cynk o niej i Glead wpadł na pomysł, żeby tam zajrzeć.

— Zawahał się, cofnął się przezornie o krok i dokończył:

— Powiedział też, że zobaczę go w kajdankach albo nigdy.

— Oto jeden z pańskich ludzi — powiedział Ambasador do Sheltona. — Twardy żołnierz, ponoć doświadczony, lojalny i zdyscyplinowany. Długa służba, trzy belki i emerytura do stracenia. — Przeniósł uwagę na donosiciela. — Czy mówił, dokąd konkretnie się wybiera?

— Nie, proszę pana, wasza... hm. Zapytałem, ale on wyszczerzył zęby jak małpa i powiedział: Psn! Więc wróciłem na statek.

— No, dobrze. Możecie odejść. — Ambasador odprowadził go wzrokiem, a potem zajął się Harrisonem. — Poszliście w pierwszej turze, tak?

— Tak jest.

— Coś wam powiem, mój panie. Ponad czterystu ludzi zeszło na ląd. Wróciło około połowy. Wielu znajdowało się w różnym stanie upojenia alkoholowego. Dziesięciu

trafiło do aresztu, wyjąc zgodnym chórem: Psn! Zdaje się, że będą tak wrzeszczeć, póki nie wytrzeźwieją.

Spojrzał na Harrisona, jakby zarzucając temu poczciwcowi osobistą odpowiedzialność za powstały chaos.

— W zaistniałej sytuacji jest jednak coś paradoksalnego. Mogę zrozumieć pijanych. Zawsze znajdzie się kilku idiotów, którym pierwszego dnia na lądzie odbije szajba. Ale spośród dwustu, którzy raczyli wrócić, mniej więcej połowa zjawiała się przed czasem, tak samo jak wy. Powody były identyczne: miasto okazało się nieżyczliwe, traktowano ich jak powietrze, aż mieli tego dosyć.

Harrison nie skomentował słów Jego Dostojności.

— Mamy zatem dwie całkowicie sprzeczne opinie — skarżył się Ambasador. — Zdaniem jednych miasto tak straszliwie cuchnie, że woleli wrócić na statek. Drudzy uznali je za tak gościnne, że albo opili się po uszy jakimś świństwem, zwanym podwójnym diczem, albo zachowali trzeźwość i zdezerterowali. Żądam wyjaśnień. Przecież muszą być jakieś wyjaśnienia. Byliście w mieście dwa razy. Co możecie nam powiedzieć?

— To zależy — powiedział ostrożnie Harrison — czy człowiek daje się natychmiast rozpoznać jako Terrańczyk. I czy pierwszy kontakt nawiązuje się z Gandem, który woli raczej człowieka nawrócić, niż odprawić z kwitkiem. — Zastanawiał się kilka chwil, po czym dodał: — Mundury to fatalny czynnik. Obawiam się, że Gandowie nie cierpią ich widoku.

— Chcecie powiedzieć, że są na nie uczuleni?

— Tak jest.

— Wiecie może dlaczego?

— Nie mogę tego stwierdzić na pewno, proszę pana. Jeszcze nie znam ich na tyle. To tylko domysł, ale przypuszczam, że chyba nauczono ich kojarzyć mundur z reżimem terrańskim, przed którym uciekli ich przodkowie.

— Uciekli? Bzdura! — wykrzyknął Ambasador. — Przywłaszczyli sobie rezultaty terrańskiej pomysłowości, terrańskiej techniki i terrańskich mocy produkcyjnych, by przenieść je na drugi koniec Galaktyki, gdzie spodziewali się większej swobody. — Spojrzał kwaśno na Harrisona. — Nikt z nich nie nosi munduru?

— Nikt, jeśli potrafię rozpoznać mundur. Oni chyba znajdują przyjemność w ujawnianiu swoich indywidualnych cech charakteru, nosząc najrozmaitsze dziwne rzeczy, od warkoczyków do różowych butów. Osobliwość stroju to norma u Gandów. Według nich właśnie uniformizacja stanowi prawdziwą osobliwość... Uważają ją za symbol uległości i poniżenia.

— Mówicie o nich „Gandowie”. Skąd zaczerpnęli tę nazwę?

Harrison mu wytłumaczył, wracając myślami do Elisy i tego, co mówiła. Widział ją teraz oczami duszy. A także restaurację Setha z jej kuszącymi stolikami, z unoszącą się zza kontuaru parą i dochodzącymi z zaplecza zapachami, od których ciekła ślinka. Obecnie, gdy znowu miał przed sobą ten obraz, zdawał się on ucieleśniać coś subtelnego, nieuchwytnego albo bardzo ważnego, czego nigdy nie oferował mu statek.

— Ten człowiek wynalazł też coś, co nazywają Bronią — oznajmił na koniec Harrison.

— Hm, hm, hm! I twierdzą, że to był Terrańczyk, tak? Jak wyglądał? Widzieliście zdjęcie albo pomnik?

— Oni nie stawiają pomników, proszę pana. Nie wydaje im się, by jeden człowiek mógł być ważniejszy od drugiego.

— DUBY SMALONE! — warknął Ambasador, instynktownie odrzucając taki punkt widzenia. — Nie przyszło wam do głowy by zebrać trochę istotnych szczegółów na jego temat albo chociaż się dowiedzieć, w jakim okresie historycznym pierwszy raz użyto tej cudownej broni?

— Nie, proszę pana — wyznał Harrison. — Nie pomyślałem, że to może być ważne.

— No tak. Niektórzy z was są zbyt ozięśli, by złapać żółwia podczas jego snu. Nie podważam waszych umiejętności astronauty, ale jako agent wywiadu jesteście do niczego.

— Bardzo mi przykro, proszę pana.

Przykro ci? Ty wszarzu! — szepnęło coś w zakamarkach jego duszy. — Dlaczego ma być ci przykro? To tylko pompatyczny grubas, który nie umiałby spłacić wdzięku, nawet gdyby się starał. Wcale nie jest lepszy od ciebie. Nagusy paradujące na Higiei uznały go za gorszego, bo ma odstający brzuch. A ty gapisz się na te fałdy tłuszczu i powtarzasz: Proszę pana, bardzo mi przykro. Gdyby spróbował przejechać się na twoim rowerze, zwałiby się przed pokonaniem dziesiątego metra. To tylko jeszcze jeden terrański szajbus. Śmiało, pluń mu w oczy i krzyknij: Odmawiam! Chyba nie masz pietra, co?

— Nie! — oznajmił Harrison, głośno i dobitnie.

Kapitan Grayder spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Jeśli chcecie odpowiadać na pytania, nim zostaną zadane, to lepiej od razu zgłoście się do medyka. A może na pokładzie mamy telepatę?

— Zastanawiałem się — powiedział Harrison.

— To pochwalam — wtrącił Ambasador. Wyciągnął z półki na ścianie dwa opadłe tomiska i zaczął przerzucać stronicę. — Zastanawiajcie się, ilekroć macie okazję, i niech wam to wejdzie w nawyk. Stopniowo będzie to coraz łatwiejsze i w końcu może nadejść taki dzień, że zdołacie dokonać tego bez wielkiego bólu.

Wcisnął książki na półkę i wyciągnął dwie nowe.

— Nie gapcie się tym tępym wzrokiem jak manekin w muzeum wojskowym — powiedział do majora Hame'a, który znajdował się akurat obok łokcia Ambasadora. — Pomóżcie przy tej górze wiedzy. Szukam Gandhiego, w przedziale od czterystu do tysiąca ziemskich lat wstecz.

Home ocknął się, począł ściągać książki z półki i wertować je. To samo robił pułkownik Shelton. Grayder pozostał za biurkiem i kontynuował żale nad nieobecny.

— O, jest, prawie sześćset lat temu. — Ambasador przejechał pulchnym palcem po zadrukowanych wierszach. — Gandhi, czasami zwany Bapu albo Ojcem, Obywatel Hindii. Polityk i filozf. Zwalczał władzę oryginalną taktyką, zwaną Obywatelskim Nieposłuszeństwem. Ostatnie ślady zniknęły wraz z Wielką Eksplozją, ale mogły przetrwać na kilku planetach, z którymi nie ma kontaktu.

— Widać trwają — wychrypiał Grayder.

— Obywatelskie Nieposłuszeństwo — powtórzył Ambasador, przesywając kartkę wzrokiem. Robił taką minę, jakby studiował tekst wywrócony do góry nogami albo na lewą stronę. — Niepodobna uczynić z tego bazy społecznej. To zwyczajnie nie będzie funkcjonować.

— Ale funkcjonuje — zapewnił go Harrison, zapomniawszy dodać „proszę pana”.

— Zaprzeczacie mi, mój panie?

— Stwierdzam fakt.

— Wasza Dostojność — wtrącił Grayder. — Proponuję...

— Zostawcie to mnie. — Pociemniały na twarzy Ambasador odprawił kapitana gestem ręki. Zły wzrok Jego Dostojności pozostawał na Harrisonie. — Daleko wam do miana eksperta problematyki społeczno-ekonomicznej. Wbijcie to sobie dobrze do łepetyny, mój panie. Każdego na waszym poziomie mogą okpić zewnętrzne pozory.

— Funkcjonuje — obstawał Harrison, delektując się własnym uporem.

— Tak samo jak wasz kretyński rower. Macie umysłowość roweru.

Coś pękło i rozległ się głos bardzo podobny do jego własnego.

— Świry!

Zszokowany tym zjawiskiem Harrison zamachał uszami.

— Co to ma znaczyć, mój panie?

— Świry! — powtórzył, czując, że co się stało, to się nie odstanie.

Uprzedzając siniejącego Ambasadora, Grayder wstał i z surowym obliczem zaprezentował swoją władzę.

— Macie zakaz opuszczania statku i koniec z urlopami, jeśli w ogóle jeszcze będą. A teraz, precz!

Harrison wyszedł. Jego umysł wirował, ale dusza była dziwnie uszczęśliwiona. Na korytarzu spiorunował go wzrokiem pierwszy oficer Morgan.

— Jak długo jeszcze mam ślęczeć nad tą listą, co? Skoro tacy jak wy siedzą tam przez tydzień? — Odchrząknął gniewnie, złożył dłonie przy ustach i ryknął: Hope!¹

Bez odpowiedzi.

— Przepadła wszelka nadzieja! — zawiadomił szeregowy Kinvig.

— Bardzo śmieszne — zadrwił Morgan. — Wesoło wam, że drę się na cały statek? — Ponownie złożył dłonie i sprawdził kolejne nazwisko — Hyland! Hyland!

Odpowiedziała mu cisza

Upłynęły cztery dni, nie kończące się, długie, nudne dni. W sumie minęło ich już dziewięć, odkąd statek wyżłobił bruzdę, w której nadal tkwił.

Na pokładzie zaczęły się kłopoty. Trzecia i czwarta tura, ciągle przesuwane na później, zaczynały się niecierpliwość i denerwować.

— Dzisiaj rano Morgan znowu pokazał mu listę trzeciej tury. Z tym samym skutkiem. Kapitan musiał przyznać, że tego świata nie da się uznać za wrogi i że mamy wszelkie prawo do zejścia na ląd.

— Dlaczego u licha nie trzyma się przepisów? Komisja Kosmiczna może go za to ukrzyżować.

— Wciąż ta sama śpiewka. Mówi, że nie cofa urlopów, tylko odkłada je na później. Sprytne oszustwo, no nie? Mówi, że puści nas natychmiast po powrocie nieobecnych.

— To może nigdy nie nastąpić. Niech go szlag, to tylko pretekst, żeby odebrać mi prawo do urlopu.

Był to ciężki i uzasadniony zarzut. Tygodnie, miesiące, lata ścisku w nieustannie wibrującej, metalowej butli, obojętnie jak wielkiej i wygodnej, muszą się kiedyś skoń-

czyć. Ludzie potrzebują czystego powietrza, dobrej ziemi, szerokiego i wyraźnego horyzontu, świeżego jedzenia, kobiecego towarzystwa, nowych twarzy.

Hope — nadzieja (ang. przyp. tłum)

— Postawił szlaban, akurat kiedy znaleźliśmy najlepszy sposób, żeby ich przechytrzyć. Cywilne ciuchy i udawanie Gandów, w tym cały sekret. Nawet chłopaki z pierwszej tury są gotowi do nowej próby.

— Grayder boi się ryzyka. Już stracił za dużo ludzi. Jeszcze jedna tura skurczona o połowę i zabraknie mu personelu, aby statek mógł wystartować i wrócić do domu. Ugrzęźniemy tu na dobre. Co wy na to, szajbusy?

— Ja bym się tym nie martwił.

— Mógłby nauczyć biurokratów prowadzić statek. Najwyższa pora, żeby ci okularnicy zajęli się uczciwą robotą.

— Zajęłoby to trzy lata. Wasze szkolenie trwało trzy, no nie?

Nadszedł Harrison. Trzymał w ręku małą kopertę. Wszyscy

trzej natychmiast rzucili się na niego.

— Patrzcie, kto się odszczekiwał Jego Wyniosłości i dostał zakaz opuszczania statku — identycznie jak my.

— I to mi się w tym podoba — zauważył dziesiąty mechanik. — Lepiej dostać szlaban za coś niżli za nic.

— To już nie potrwa długo, zobaczysz! Nie będziemy wiecznie tkwili i biadolili. Tylko patrzeć, jak coś wymyślimy!

— Na przykład?

— Właśnie się zastanawiamy — odparł jeden wymijająco. Nie lubił, żeby go naciskać. Zauważył kopertę. — Co tam masz? Poranną pocztę?

— Jak byś zgadł.

— W porządku. Nie lubię się wtrącać. Myślałem, że dostałeś jakieś rozkazy na piśmie. Wy, mechanicy, na ogół pierwsi łapiecie papierkowy chłam.

— To jest poczta — stwierdził Harrison.

— Nie wygłupiaj się. Nikt nie dostaje listów w tej części Kosmosu.

— Ja dostaję.

— No, w jaki sposób dotarł do ciebie?

— Worell przyniósł go z miasta kilka minut temu. Mój kumpel postawił Worellowi obiad i pozwolił dostarczyć list za likwidację wdzięku. — Poruszył dużym uchem i wyszczerzył zęby. — Znajomości, oto czego wam trzeba, panowie.

— Co Worell robi na lądzie? — spytał ze złością drugi. — Czy on ma przywileje?

— W pewnym sensie. Ma żonę i trójkę dzieci.

— Notoco?

— Ambasador doszedł do wniosku, że niektórym można ufać bardziej niż innym. Mało prawdopodobne, aby znikali ci, którzy mają zbyt dużo do stracenia. Wyselekcjonowali małą grupkę i posłali ich do miasta, by zebrali informacje o nieobecnych.

— Dowiedzieli się czegoś?

— Niewiele. Worell mówi, że te poszukiwania to zwykła strata czasu. Wytropił tu i ówdzie kilku naszych i próbował ich nakłonić do powrotu, ale każdy odpowiadał:

Odmawiam. A wszyscy Gandowie mówili: Psn! I na tym się skończyło.

— Coś się kryje za tą historią z Gandami — medytował trzeci. — Dużo bym dał, żeby ją wyświecić.

— To samo niepokoi Graydera.

— Przysporzymy mu więcej powodów do niepokoju, jeśli szybko nie nabierze rozsądku. Nasza cierpliwość wyczerpuje się gwałtownie.

— Buntownicze gadanie — skarcił ich dziesiąty mechanik. — Szokujecie mnie, panowie.

Udał się w głąb korytarza i wszedł do swojej maleńkiej kajuty. Koperta parzyła go w palce, nie mógł się już doczekać lektury. List mógł pochodzić od kobiety. Liczył na to. Rozerwał papier i rzucił okiem. Niestety.

Gryps był podpisany przez Gleeda.

Nieważne, gdzie jestem i co robię — ten list może wpaść w niepowołane ręce. Wiedz tylko, że mam szansę urządzić się bombowo pod warunkiem, że odczekam trochę czasu dla powiększenia kręgu znajomych. Reszta dotyczy wyłącznie ciebie.

— Hm? — położył się na koi i przytrzymał list bliżej światła.

— *Poznałem jednego grubaska, który ma pusty sklep. Nic nie robi, tylko siedzi i czeka. Dalej dowiedziałem się, że otworzył interes przez zajęcie lokalu. Działa w imieniu fabryki, która wyrabia skutery na dwóch kulach, no wiesz, te motocykle napędzane śmigłem. Szukają kogoś do prowadzenia lokalnego warsztatu i magazynu z częściami. Ten grubasek dostał już cztery zgłoszenia, ale wolałby kogoś z inżynierskim doświadczeniem. Człowiek, który w końcu dostanie tę posadę, obarczy automatycznie miasto wdziękiem*

funkcyjnym, cokolwiek to znaczy. Tak czy owak ten uroczy interes jest w sam raz dla ciebie. Masz go w zasięgu ręki. Nie świruj, świrze. Daj nura razem ze mną — woda jest świetna!

— Spadające meteory — westchnął Harrison. Powędrował wzrokiem na dopisek u dołu.

— *P.S. Seth da ci adres. P.P.S. Miejscowość, w której teraz jestem, to rodzinna wieś twojej brunetki. Ona myśli o powrocie. Chce zamieszkać bliżej siostrzyczki. Ja też, chłopie! Podobno ta mała to sama słodycz!*

Wiercąc się nerwowo przeczytał list po raz drugi i po raz trzeci. Wreszcie wstał i zaczął przemierzać kajutę. Imperium Terrańskie obejmowało tysiąc sześćset zamieszanych planet. Widział jedną dwudziestą. Żadnemu astronauty nie wystarczyłoby życia, by odwiedzić wszystkie. Służba była podzielona na kosmiczne grupy i każda zajmowała się własnym, względnie małym sektorem Galaktyki.

Żeby nie plotki — a tych krążyło bez liku, głównie podkolo-rowanych — nigdy by się nie dowiedział, jakie krainy wszelkiej szczęśliwości albo pseudoszczęśliwości istnieją w pozostałych sektorach. W każdym razie zdecydowanie się na życie szczura lądowego w nieznanym świecie tylko na podstawie czyjejś rekomendacji byłoby ryzykiem. Nie wszyscy myślą identycznie i mają jednakowe gusty. Co jednemu wyjdzie na zdrowie, to drugiemu zaszkodzi.

Życie emeryta — straszna nazwa na początek nowej, odmiennej, ale aktywnej egzystencji — na Terze i innych atrakcyjniejszych planetach w jego sektorze było ciężkie. Na przykład, grupa Epsilon, czternaście bardzo pociąga-

jących planet pod warunkiem, że wytrzymasz grawitację i będziesz ciągle dreptał na ugiętych nogach, jak zmachany słoń. Albo Różowy Raj Nortona, jeśli dla świętego spokoju ulegniesz syndromowi maharadży u Septymusa Nortona i będziesz cierpliwie znosił jego manię wielkości.

Daleko na skraju Drogi Mlecznej znajdował się matriarchat rządony przez jasnowłose Amazonki, świat samozwańczych czarodziejów, planeta zielonoświątkowców oraz glob, na którym na wpół rozumne rośliny uprawiały się same w hołdzie dla ludzkich władców.

Wszystkie rozrzucone w promieniu wielu lat świetlnych, ale 13 — łatwo dostępne dzięki napędowi Bliedera. Ponad pięćdziesiąt znał z własnego doświadczenia, choć była to tylko jedna dziesiąta całości. Wszystkie oferowały nowe życie i taką formę ludzkiego towarzystwa, które stanowi esencję. Lecz planeta Gandów miała coś, czego brakowało tamtym: zaletę obecności tu i teraz. Była elementem najbliższego otoczenia, z którego czerpał dane, by podjąć decyzję. Tamte nie. Traciły walory przez swoje oddalenie.

Po cichu przemknął się do przedziału Bliedera i spędził godzinę na czyszczeniu i oliwieniu roweru. Wrócił dopiero o zmierzchu. Wyjął z kieszeni małą plakietkę, powiesił ją na ścianie, wyciągnął się na łóżku i kontemplował dwie litery.

— W O

Interkom wydał trzask, odchrząknął i podał do wiadomości:

— Cały personel przygotowuje się do ogólnej odprawy jutro o ósmej.

— Odmawiam — powiedział Harrison, zamykając oczy.

Była dopiero siódma dwadzieścia rano, nikt jednak nie uważał tego za wczesną porę. Wędrowcy kosmiczni mają słabe poczucie pory wczesnej czy późnej, aby je odzyskać, muszą spędzić na łądzie cały miesiąc oglądając wschody i zachody słońca.

Kabina nawigacyjna była pusta, za to w sterowni panował znaczny ruch. Byli w niej Grayder i Shelton, pięćdziesiąt znanych mu osobiście osób i Hame, a także główni nawigatorzy Adamson, Werth i Yates oraz naturalnie Jego Dostojność.

— Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie — skarżył się Ambasador, stojąc z nachmurzoną miną przy atlasie gwiazdnym, nad którym wcześniej ślęczeli nawigatorzy. — Niecałe dwa tygodnie, a już bierzemy nogi za pas, przyznając się do absolutnej klęski.

— Z całym szacunkiem, Wasza Dostojność, ale nie mogę się z tym zgodzić — powiedział Grayder. — Klęskę można ponieść tylko w starciu z konkretnym wrogiem. I tu mają nas w garści. Oni się nie kwalifikują na wrogów.

— Być może. A jednak uznaję to za klęskę. Jak inaczej można to nazwać?

— Zostaliśmy wykiwani przez ekscentrycznych kuzynów. Nic nie możemy na to poradzić. Człowiek nie masakruje swoich braci i sióstr tylko dlatego, że nie chcą z nim rozmawiać.

— To pański punkt widzenia jako dowódcy statku. Stał pan wobec sytuacji, która nakazuje powrót do bazy i zdanie relacji. To normalna procedura. Cała służba kosmiczna jest skrupowana procedurą. — Znowu obrzucił

spojrzeniem gwiazdny atlas, jakby sam jego widok wywoływał wstręt. — Mój status jest inny. Jeśli się wycofuję, nie pozostawiwszy bodaj konsula, oznacza to dyplomatyczną klęskę, obrazę godności i prestiżu Terry. Nie jestem wcale przekonany, że powinienem wracać. Może byłoby lepiej, gdybym się zatrzymał, choć okoliczności uniemożliwiają mi efektywne działanie, a moja obecność może dać tym Gandom nie kończące się okazje do dalszych zniewag.

— Nie ośmieliłbym się doradzać panu, co ma robić — stwierdził Grayder. — Wiem tylko jedno: transportujemy wojsko i broń do wszystkich zadań militarno-obronnych i policyjnych, jakie mogą być konieczne. Nie możemy jednak wykorzystać ich w celach zaczepnych wobec Gandów, bo nie dostarczyli nam żadnego pretekstu, bo nie możemy wpływać na rząd, który nie istnieje i ponieważ cała nasza siła nie starczy do zmiażdżenia ludności liczącej wiele milionów. Potrzebowalibyśmy całej armady, aby zrobić wrażenie na tym świecie. I nawet wtedy musielibyśmy walczyć na granicy naszego zasięgu, a nagrodą byłby obszar zniszczeń niewart posiadania.

— Nie musi mi pan tego przypominać. Badałem problem z każdego punktu widzenia, aż miałem tego serdecznie dosyć.

Grayder wzruszył ramionami. Był człowiekiem czynu, przynajmniej tak długo, jak długo czyn ów miał miejsce w głębinach Kosmosu. Machinacje planetarne nie leżały właściwie w zakresie jego odpowiedzialności. Teraz, kiedy nadchodził decydujący moment, kiedy miał wracać do swego rozrzedzonego żywiołu, ogarniała go apatia. Dla niego świat gandyjski był kolejnym punktem widokowym

wśród mnóstwa innych. A miał ich przed sobą jeszcze wiele.

— Wasza Dostojność, jeśli ma pan poważne wątpliwości co do tego, czy zostać tutaj, czy wracać z nami, byłbym wdzięczny za rychłą decyzję. Pierwszy oficer Morgan przekazał mi poufną informację, że jeśli do godziny dziesiątej nie zaakceptuję trzeciej tury, ludzie przejmują sprawy w swoje ręce i po prostu wychodzą.

— Przecież tego rodzaju postępowanie może ich wpędzić w prawdziwe tarapaty.

— Sam już nie wiem. Naprawdę, nie wiem — zwierzył się Grayder.

— To znaczy, że mogą się panu przeciwstawić i ujdzie im to na sucho?

— Wpadli na myśl, by obrócić moje kręactwa przeciw mnie. Stale powtarzam, że urlopów formalnie nie wstrzymałem, a więc samowolnego wyjścia nie można pochytywać za bunt. Jak pan wie, Wasza Dostojność, odwlekam urlopy, zatem ludzie mogliby argumentować przed Komisją Kosmiczną, że gwałcę przepisy. Kto wie, czy ten argument nie przeważałby, gdyby Komisja Kosmiczna była akurat w nastroju do demonstrowania swojej władzy.

— Komisja powinna zabrać się na kilka dłuższych lotów — stwierdził Ambasador. — Mogliby odkryć różne rzeczy, o których nigdy nie dowiedzą się siedząc za biurkiem. — Uśmiechnął się z szyderczą nadzieją. — A może niechcący wyrzucić za burtę transport naszych biurokratów po drodze do domu? Takie nieszczęście powinno wyjść na korzyść szlakom kosmicznym, a może i w ogóle ludzkości?

— Jak bym słyszał Ganda — potwierdził Grayder.

— Gandowie nie wpadliby na to. Ich jedyną metodą jest mówić nie, nie, po tysiackroć — nie. I niczego więcej. Lecz aż nadto starczy do wydania sądu o tym, co tu się stało. — Z ponurą miną rozważał swoje kłopoty. — Wracam z panem — zdecydował. — Jest to wbrew mojej naturze, gdyż trąci upokażającą kapitulacją. Pozostanie tutaj byłoby wyzwaniem, ale muszę spojrzeć prawdzie w oczy — na obecnym etapie nie służyłoby ono jakimukolwiek pożytecznemu celowi.

— Mamy odwieźć pana na Higieję?

— Nie. Tamtejszy konsul jest dobrze przyjmowany przez tę gromadę nagusów. Poza tym powinienem chyba okazać się pożyteczny dostarczając Terze osobiście raport o efektach naszej ekspedycji.

— Świetnie, Wasza Dostojność. — Grayder podszedł do iluminatora i zerknął na miasto. — Straciliśmy około czterystu ludzi. Część z nich zdezerterowała na zawsze. Pozostali wrócą za jakiś, przyjemnie spędzony czas, jeśli zaczekam wystarczająco długo. Ci ostatni wygrali szczęśliwy los na loterii, zasiedli do cudzego stołu i należy się spodziewać, że przedłużą sobie urlop, dopóki zabawa będzie trwać. Wrócą, kiedy będzie im to odpowiadało i dojdą do wniosku, że jeśli już mają wisieć, to niech wiedzą za co. Tego rodzaju problemy pojawiają się w trakcie każdej długiej wyprawy. Podczas krótkich nie jest tak źle. — W ponurym nastroju spoglądał na pustą przestrzeń, na której nie pojawił się ani jeden z powracających utracjuszy. — Ale nie odważymy się czekać na nich. Nie tutaj.

— Nie, uważam, że nie.

— Jeśli będziemy dłużej zwlekać, stracimy kolejnych dwustu. Zabraknie nam wyszkolonych ludzi do pod-

niesienia statku. Jedyne sposoby na ich poskromienie to wydanie rozkazu przygotowania się do startu. Od tej chwili będą podlegać regulaminowi na fazę lotu. — Zrobił obolałą minę. — Ich juryści kosmiczni będą mieli ciężki orzech do zgryzienia.

— Dobrze, wydajcie rozkaz, jaki uważacie za stosowny — zatwierdził Ambasador. Stał obok kapitana przed iluminatorem, spojrzął na odległą drogę i patrzył, jak trzy gandyjskie autobusy toczą się po niej bez zatrzymania. Zmarszczył brwi nadal czując złość wobec dziwnego umysłu, który udaje z uporem, że żadnej metalowej góry nie ma. — Co ci ludzie tam robią?

Zerknąwszy w tym samym kierunku, Grayder chwycił mikrofon systemu nagłaśniającego.

— Cały personel natychmiast przygotuje się do odlotu! — huknął. Następnie chwycił słuchawkę interkomu i rzucił: — Kto to? Starszy sierżant Bidworthy? Słuchajcie, sierżancie, na zewnątrz kręci się kilku ludzi, pod środkową śluzą. Każcie im natychmiast wracać... Startujemy, gdy tylko wszystko będzie gotowe.

Tymczasem trapy na dziobie i rufie wsunęły się do swoich ładowni. Trap środkowy natychmiast cofnął się za nimi. Jakiś szybko myślący podoficer zapobiegł dalszym ucieczkom uruchamiając kołowrót środkowego pomostu i łapiąc tym sposobem w potrzask Bidworthy'ego oraz nieznaną liczbę niedoszłych grzeszników.

Odgrodzony dwudziestometrową przepaścią Bidworthy stał w otworze śluzy i piorunował wzrokiem tych, którzy pozostali na dole. Jego wąsy nie tylko się nastroszyły, ale i drżały. Pięciu 198 Erie Frank Russell spośród będących przedmiotem jego uwagi należało do pierwszej

tury przepustkowiczów. Jednym z nich był szeregowiec Casartelli. Właśnie on rozwścieczył Bidworthy'ego, szeregowiec. Szóstym był Harrison ze swoim nieodłącznym rowerem, wypolerowanym do połysku.

Przypiekając na wolnym ogniu całą bandę, a zwłaszcza szeregowca, Bidworthy zazgrzytał:

— Wracajcie na pokład. Żadnych numerów. Niedługo startujemy.

— Słyszysz, Mortimer? — zapytał któryś, trącając najbliższego łokciem w bok. — Wracaj na pokład. Jeśli nie umiesz skoczyć dwudziestu metrów do góry, to rozłóż ręce i poleć.

— Nie pyskować — wrzasnął Bidworthy. — Mam rozkazy.

— O kurde! On wciąż przyjmuje rozkazy! W jego wieku!

Bidworthy poskrobał gładką ścianę śluzy powietrznej, próbując daremnie przytrzymać się czegoś. Potrzebował czegoś, jakiegoś trzpienia pokrętła, jakiegokolwiek wyrzucenia, na które mógłby przelać wściekłość.

— Ostrzegam, że jeśli spróbujecie mnie...

— Cicho, frajerze.

— Oszczędzaj siły, Sykstus — wtrącił Casartelli. — Od teraz jestem Gandem. — Z tymi słowami odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę drogi. Pozostała czwórka poszła za nim.

Harrison wskoczył na rower i postawił stopę na pedale. Tylne opony oklapły z głośnym: psss-pss-ps.

— Wracać! — ryknął Bidworthy za uciekającą piątką. — Wracać! — Wykonywał szaleńcze ruchy, usiłując wyrwać pomost z jego automatycznej prowadnicy. Rozle-

gło się przenikliwe wycie syreny, wzmagając podniecenie Bidworthy'ego o kilka ergów.

— Słyszycie? — Z morderczym wyrazem oczu patrzył, jak Harrison spokojnie odkręca tylny wentyl i sięga po pompkę. — Zaraz startujemy! Ostatni raz...

Znowu syrena, tym razem szybkie serie ostrego gwizdu. Bidworthy zdążył odskoczyć do tyłu, nim opadła kłapa śluzy. Kabina powietrzna się zamknęła. Harrison znowu wsiadł na rower i położył nogę na pedale, ale na razie stał, patrzył i czekał.

Metalowe monstrum zadrżało od dziobu po rufę, po czym powoli i bezszelestnie uniosło się. Akt wznoszenia się tak ogromnego cielska miał w sobie jakiś majestatyczny splendor. Statek coraz bardziej zwiększał tempo wznoszenia, przyspieszał i przyspieszał, zamieniając się w zabawkę, w kropkę i w końcu zniknął.

Harrison miał przez chwilę wątpliwości, czuł lekki żal, ale bardzo szybko mu to przeszło. Zerknął na drogę.

Pięciu samozwańczych Gandów machaniem rąk witało autobus, który po nich przyjechał. Pomoc przyspieszyło najwyraźniej zniknięcie statku. Ci faceci wszystko chwytają w lot. Widział, jak autobus odjeżdża na swych wielkich gumowych kulach, unosząc ze sobą pięciu ludzi. Śmigło wirowało w odwrotną stronę, z buczeniem znikając w oddali.

Twoja brunetka, tak ją określił Gleed. Skąd mu to przyszło do głowy? Może coś powiedziała, co sierżant uznał za komplement, bo ani razu nie napomknęła o słonowych uszach?

Po raz ostatni rozejrzał się dookoła. Ziemię przecinała krzywa bruzda, mająca półtora kilometra długości i

trzy metry głębokości. Niedawno było w niej dwa tysiące Terrańczyków.

Potem około tysiąca ośmiuset.

Potem tysiąc sześćset.

Minus pięciu.

— Został jeden — mruknął do siebie. — Ja.

Z fatalistyczną rezygnacją wzruszył ramionami, nacisnął mocno na pedały i pojechał do miasta.

I już nie było żadnego.

KONIEC

Eric Frank Russell, pisarz brytyjski, ur. 6 stycznia 1905, zm. 28 lutego 1978. Wychowywał się w Egipcie. Ożenił się w 1930 z Ellen Russell, urodziła im się jedna córka. Był żołnierzem (podczas II wojny światowej służył w RAF-ie), pracował jako telefonista, kontroler ilości, kreślarz. Członek-założyciel British Interplanetary Society. Wieloletni członek Fortean Society. Uczestniczył w First British SF Convention w Leeds w 1937. Nagroda Hugo 1955 za opowiadanie „Elemelek” (oryg. „Allamagoosa”).

Debiutował opowiadaniem „The Saga of Pelican West” (*Astounding Science Fiction* luty 1937). Jego specjalnością były ironiczne nowele zabarwione humorem i nie stroniące od satyry (nienawidził zwłaszcza biurokracji), a także delikatne pastisze amerykańskiej SF sprzed Złotego Wieku — tu szczególnie wyróżnia się cykl 4 opowiadań, których bohaterem jest heroiczny robot Jay Score z załogi statku kosmicznego uwikłanej w szereg niezwykłych przygód: *Men, Martians and Machines* 1955). Pierwsza powieść EFR, słynny inwazyjny thriller wykorzystujący pomysł Charlesa Forta („ludzkość jest czyjąś własnością”), *Sinister Barrier* (1939, 1943; popr. 1948), zainspirowała Johna

W. Campbella do stworzenia legendarnego magazynu fantasy *Unknown* i została wydrukowana w pierwszym numerze z marca 1939. Do ważniejszych powieści EFR należą: *Sentinels from Space* („The Star Watchers” 1951; rozsz. 1953), *Next of Kin* („Plus X” 1956; rozsz. pt. *The Space Willies* 1958; popr. 1959), *Three to Conquer* (1956), *Wasp* (1957; rozsz. 1958). Inne: *Dreadful Sanctuary* (1948; zmień. 1951; zmień. 1963; zmień. 1967), *With a Strange Device* (1964, inny tytuł: *The Mind-*

warpers). Tomy opowiadań: (wiele interesujących utworów nigdy nie weszło do autorskich zbiorów): *Deep Space* (1954; *Selections from Deep Space* 1955), *Six Worlds Yonder* (1958), *Far Stars* (1961), *Dark Tides* ("1962, opowiadania grozy), *Somewhere a Voice* (1965), *Like Nothing on Earth* (1975), *The Best of Eric Frank Russell* (1978). Długie opowiadanie „Design for Greatday” rozwinął w powieść *Design for a Great Day* (1995) Alan Dean Foster. Pozycje niebeletrystyczne: *Great World Mysteries* (1957), *The Rabble Rousers* (1963). O autorze: rozdział w książce Sama Moskowitza *Seekers of Tomorrow* (1966), bibliografia Phila Stephensena-Payne’a *Eric Frank Russell* (wyd. 2 rozsz. 1988, *Galactic Central Bibliographies for the Avid Reader*, vol. 24).

W Polsce ukazał się nakładem Łódzkiego Klubu Fantastyki wybór 5 opowiadań EFR pt. *U krańca tęczy* ([1987], zawartość: „Krzeseł zapomnienia”; „U krańca tęczy”, „Nasz dobry pies”; „Jedyne rozwiązanie”; „I wtedy nie został już ani jeden”) oraz pojedyncze opowiadania: „Impuls” (w antologii *W stronę czwartego wymiaru* 1958), „Mechaniczne myszy” (w antologii *Kryształowy sześcian Wenus* 1966 pod nazwiskiem innego autora, Maurice’a A. [powinno być: G.] Hugiego) oraz „Elemelek” w miesięczniku *Fantastyka*.

Oprac. MSN

WYDAWNICTWO ALFA POLECA:

Elizabeth Ann Scarborough NIC ŚWIĘTEGO

Tom I dylogii „Światło Tybetu”. Druga połowa XXI wieku. Amerykański samolot wojskowy z kartografami na pokładzie zostaje zestrzelony nad Azją Środkową. Z opresji wychodzi cało chorąży sztabowy 5 dywizjonu Kobr NACAF-u, Viveka Jeng Vanachek. Dziewczyna trafia do obozu jenieckiego w Himalajach, gdzie jeńcy różnych narodowości prowadzą tajemnicze prace wykopaliskowe. Dochodzi do zadziwiających odkryć.

Niezwykła powieść cenionej autorki, laureatki nagrody „Nebula” (za powieść *The Healefs War* — w przygotowaniu wyd. ALFY), nawiązująca do jednego z najpiękniejszych mitów, jakie stworzyła ludzkość i do tak słynnych powieści jak *Zaginiony horyzont* Jamesa Hiltona i *Tajemnica doktora Honigbergera* Mircei Eliadego.

Elizabeth Ann Scarborough OSTATNIE SCHRONIENIE

Tom II dylogii „Światło Tybetu”. Chime wędruje przez zniszczone ziemie, gdzie zamieszkują dziwne istoty obdarzone niezwykłymi mocami i kryją się niewyobrażalne niebezpieczeństwa, przez krainy zaludnione miriadami dusz skazanych na wieczną egzystencję w mroku. Jako reinkarnacja legendarnego tertona, założyciela wioski w Szambali, Chime dąży do wypełnienia swego przeznaczenia na Ziemi, niosąc pokój i nadzieję odrodzenia rozbitemu światu.

Na zmianę poważna i lekka w tonie, rozrywkowa i poszerzająca świadomość, powieść *Ostatnie schronienie* jest

fascynującym dziełem jednego z najbardziej interesujących twórców gatunku.

JUŻ W KSIĘGARNIACH

WYDAWNICTWO ALFA POLECA:

Glen Cook

GORZKIE MIEDZIANE ŁZY

Kolejna, trzecia wielka przygoda ze świata magii, w którym politycy do spółki z czarnoksiężnikami prowadzą wojny, napisana w konwencji kryminalnej z wielkim poczuciem humoru i sarkazmem. Długonoga blondynka składa prywatnemu detektywowi Garretowi propozycję nie do odrzucenia — chodzi o szybką fuchę za bajońskie pieniądze. Detektywowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo: został wyznaczony jako ostatnia ofiara ku czci dawno umarłego boga i jego jedyną szansą ratunku jest natychmiastowe rozwiązanie najnowszych spraw!

JUŻ W KSIĘGARNIACH

WYDAWNICTWO ALFA POLECA:

Gene Wolfe

NOWOJORSKIE ODLOTY

Na tle twardych realiów życia w Nowym Jorku prze-wija się galeria niezwykłych postaci z grupką przyjaciół na czele, a do najbardziej oryginalnych należy czarowni-ca Serpentine, najbardziej „zwykrajnych” zaś — Can-dy, dziwka o złotym sercu. Atmosfera powieści kojarzy się z *Ulicą Nadbrzeżną* Steinbecka, akcja natomiast sku-pia się wokół tajemnicy, która otacza niesamowity wynalazek i legendarną Podniebną Krainę.

WKRÓTCE W KSIĘGARNIACH

WYDAWNICTWO ALFA POLECA:

Ken Mitchell

KAMIENIE DALAJLAMY

Akcja powieści jest pozornie prosta. W czasie tury-stycznej podróży do Tybetu bohater, profesor podrzędne-go uniwersytetu w małym mieście w stanie Północna Da-kota, i jego żona zabierają z Doliny Śmierci kamienie z wyrytymi na nich napisami, złożone tam w ofierze uma-łym i mające magiczną moc (małżonkowie oczywiście o niczym nie wiedzieli). Od tej chwili spotykają ich kolejno katastrofy życiowe. Jedynym wyjściem mogłoby być zwró-cenie kamieni na miejsce. W niesamowitą podróż przez serce Azji wyrusza bohater wraz ze znajomym mechani-kiem samochodowym. Pielgrzymka przez Chiny, Indie, Nepal, do Tybetu obfituje w szereg dramatycznych wyda-

rzeń, które stawiają pod znakiem zapytania logikę i porządek rzeczywistości. Fascynujące pióro — Mitchell należy do ścisłej czołówki pisarzy kanadyjskich.

WKRÓTCE W KSIĘGARNIACH

WYDAWNICTWO ALFA POLECA:

Philip K. Dick

PRZEDOSTATNIA PRAWDA

Jest rok 2025. Prawie cała ludzkość żyje w antyseptycznych osadach zbudowanych podczas III wojny światowej i trudni się wytwarzaniem skomplikowanych robotów walczących na wszystkich frontach. Nikt nie wie, że wojna skończyła się dziesięć lat wcześniej. Na utrzymaniu takiego stanu rzeczy zależy Yansowcom, elicie ludzkości, która rządzi światem poprzez prezydenta Talbota Yansa będącego produktem ich płodnej wyobraźni. Joseph Adams jest Yansowcem. Przychodzi jednak dzień, kiedy jego szef i najlepszy przyjaciel zostaje zamordowany w najbardziej tajemniczy i wyrafinowany sposób. Czy jest już za późno, by działać?

WKRÓTCE W KSIĘGARNIACH